

D2C

**Przełożył: Stanisław Głabiński**  
**VARIA - APD WARSZAWA 1993**



Projekt okładki: Jarosław Kosiorek Redaktor: Renata  
Duczyńska - Surmacz Korekta: Janina Słomińska

Autor: George V. Higgins

Tytuł oryginału: The Mandeville Talent

Copyright © 1991 by George V. Higgins

Copyright © 1993 for the Polish édition by Varia - APD

Copyright © for the Polish translation by Stanisław  
Głąbiński

Wydawnictwo VARIA - APD %KP

Warszawa ul. Hoża 63/67, tel. 625-63-44, 625-62-54

Skład: ELPAMECH Warszawa, tel. 20-82-45, fax: 24-27-  
27



**ISBN 83 - 85761 - 07 - 1**

## I

21 grudnia 1967 roku przyjezdny wypełnił kartę meldunkową motelu „Pod Mosiężną Latarnią” w Easthampton. Podpis był całkowicie nieczytelny z wyjątkiem dwóch spółgłosek przed nazwiskiem - J. i M. Recepcjonista nie zwrócił jednak na to uwagi i nie usiłował odcyfrować nazwiska. Był nazbyt zaabsorbowany lekturą *Losu człowieka* Malraux. Zaraz po świętach czekał go egzamin w Uniwersytecie w Amherst. Zapytał jedynie:

- Płaci pan gotówką czy kartą kredytową? Akceptujemy jedynie Bankamericard i Mastercard. Przepraszam.

- Gotówką - gość sięgnął po portfel. Był to biały, o mocno przerzedzonych czarnych włosach. Miał około czterdziestki, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ważył blisko siedemdziesiąt kilo. Spod brązowego londyńskiego płaszcza przeciwdeszczowego zapinanego na zamek błyskawiczny, teraz rozsunięty, widać było tweedową marynarkę i szare, flanelowe spodnie. Biała koszula była pod szyją nie zapięta, a krawat rozwiązany. Siedzący za kontuarem recepcjonista nie widział "butów przybysza, ale gdyby się wychylił, zobaczyłby czarne botki z białymi nalotami, popękane od długiego noszenia przy wilgotnej pogodzie.

- Muszę wstać bardzo wcześnie. - Akcent przybysza i modulacja jego głosu wskazywały wyraźnie, że pochodził spoza Nowej Anglii. Nie zwróciło to jednak uwagi recepcjonisty. Gość wyglądał na zmęczonego.

- Mój zmiennik zaczyna pracę około szóstej rano - odparł recepcjonista.

Przyjezdny potrząsnął głową.

## HIGGINS

- O tej porze od dawna już mnie tu nie będzie - powiedział. - Mam przed sobą długą jazdę. - Wyjął dwa dziesięciodolarowe banknoty i położył na stole.

Recepcjonista zmarszczył czoło i po raz pierwszy spojrzał na kartę meldunkową.

- Przepraszam, ale zapomniał pan wpisać numer samochodu. Musimy to mieć w papierach. Takie zarządzenie.

Przyjezdny uśmiechnął się. Był to jeden z tych zdawkowych, do niczego nie zobowiązujących uśmiechów, stosownych na każdą okazję.

- No cóż - powiedział - mogę wyjść na zewnątrz i spisać numer, ale jest potwornie zimno, a poza tym to nie miałoby sensu. To samochód wynajęty od Avisa i nawet nie wiem, z jakiego stanu są tablice rejestracyjne. -

Umilkł na chwilę. - Jeśli to panu tak bardzo potrzebne, to proszę wyjść i zanotować. Zielony samochód z tablicami z innego stanu. Jedyne zresztą samochód na parkingu.

Recepcjonista otworzył kasę, włożył banknoty dziesięciodolarowe do przegródki po prawej stronie, chwilę się zastanawiał i z przegródki z lewej wyjął banknot pięciodolarowy oraz trzy jedynki. Zwrócił resztę i powiedział:

- Gdyby pan zamawiał rozmowy zamiejscowe...

- Nigdy nie zamawiam - przerwał mu przybysz. - Nie z pokoju. Mój pracodawca nie zwraca za rozmowy po piątej. Twierdzi, że to rozmowy prywatne. Kiedy dzwonię do szefa, zamawiam rozmowę na jego

rachunek. Czasami on dzwoni i oczywiście płaci. A teraz niech pan posłucha. Jeśli wyłączy pan telefon w moim pokoju, ubiorę się, zejść na dół i powybijam panu zęby. Proszę o klucz.



## BANKIER

9

Recepcjonista chciał coś powiedzieć, ale mężczyzna powtórzył:

- Klucz.

Recepcjonista odwrócił się do tablicy, na której wisiały klucze.

- Z numerem parzystym - usłyszał głos klienta. -

Pierwsza cyfra, jedynka.

Recepcjonista zatrzymał rękę już wyciągniętą do tablicy, odwrócił głowę i zapytał:

- Co proszę?

- Pokoje nieparzyste są od strony autostrady - wyjaśnił klient. - Panuje tam duży ruch i przypuszczam, że tak będzie przez całą noc. Wszyscy się spieszą, by zdążyć przed świętami. Tak jak i ja. Zależy mi na odpoczynku. Chcę mieć pokój z numerem parzystym od strony parkingu i na pierwszym piętrze. Nie mam zamiaru drapać się na górę zimną klatką schodową.

Recepcjonista wręczył mu klucz do pokoju nr 14. Gość uśmiechnął się kwaśno.

- Założę się, że obok jest dwunastka - mruknął - Niech będzie. Wesołych świąt. Proszę mi jeszcze powiedzieć, gdzie znajdę automat z kostkami lodu i automat telefoniczny,

- U zbiegu dwóch skrzydeł budynku.

- Który z automatów?

- Oba. Automat telefoniczny tuż obok automatu z lodem.

- Dziękuję - powiedział gość, odwrócił się i ruszył ku drzwiom kuląc się w oczekiwaniu chłodu.

Ale zmarzluch - pomyślał recepcjonista i wrócił do lektury *Losu człowieka*.

## HIGGINS

Podróżny otworzył drzwi do pokoju, postawił walizkę na ławie, wziął stojące na stole wiaderko na lód i wyszedł. W miejscu gdzie korytarz się załamywał, odnalazł automat z lodem. Postawił wiaderko na jego pokrywie. Wsadził rękę do kieszeni marynarki i wyłowił kilka żetonów telefonicznych. W otwór automatu telefonicznego wrzucił żeton za dziesięć centów, wykręcił zero, a kiedy odezwała się telefonistka, podał jej numer w Nowym Jorku. Telefonistka zapytała, czy zna kierunkowy.

- Przepraszam, dwa, jeden, dwa.

Telefonistka poprosiła, by za pierwsze trzy minuty wrzucił siedemdziesiąt pięć centów.

Wykonał polecenie i odzyskał wrzucony poprzednio żeton dziesięciocentowy. Z drugiej strony podniesiono słuchawkę natychmiast. Odezwał się głos kobiety:

-Słucham?

- Jestem w Easthampton w stanie Massachusetts - powiedział. - Do niego mam jakąś godzinę drogi. Wczoraj i dziś byłem w mieście. Nic się nie zmieniło. Bank na starym miejscu. I on się nie zmienił.

Rozmawialiśmy .

- Będą jakieś problemy? - zapytała kobieta - Czy nie domyśli się czegoś?

- Nie - brzmiała odpowiedź. - Ten facet to taki króliczek. Wesoły, radosny króliczek. Wpadłem do jego biura na drinka. Drzwi szafy były uchylone. Trzyma w niej browning. Mój będzie mi niepotrzebny, chyba jako argument perswazji. Poczęstował mnie, a nawet zaprosił

na przyjęcie. Nie sądzę, bym na nie poszedł. - Zamilkł na chwilę - Przypuszczam, że nikt nie pójdzie. Będzie tam tylko on. Jeszcze przed przyjęciem.  
-A więc...?

## BANKIER

13

- A więc - powiedział - jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, będzie tak, jak uzgodniliśmy... Wyjeżdżam o trzeciej trzydzieści. Za piętnaście piąta szef dzwoni, czy wysłał naszego zajęczka do banku. Zadzwoń jeszcze, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jeśli nic się nie zmieni, odczekam piętnaście minut, wejdę do banku, zrobię swoje i wyjdę. Uda mi się.

Odwiesił słuchawkę i otworzył pojemnik z lodem. Kiedy plastikową łopatką napełniał nim wiaderko, pomyślał, że szczęście mu sprzyja - nie było wiatru. Gdyby był wiatr, przemarzłby jeszcze bardziej. Wrócił do pokoju, zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku. Następnie zdjął marynarkę i rzucił na łóżko. Z tacki na stole wziął szklankę i napełnił ją kostkami lodu. Z walizki wyjął szarą, papierową torbę, a z niej półlitrowkę smirnowki z czerwoną kartką. Nalał pół szklanki i w łazience dopełnił ją wodą z kranu. Wrócił do pokoju i włączył telewizor. Właśnie nadawano audycję publicystyczną. Położył się o 22.00. Budzik turystyczny marki Westclox, nastawiony na 3.15, działał bezbłędnie. Mężczyzna zerwał się, wszedł pod prysznic, ubrał się i nalał sobie wódki. Tym razem dołał mniej wody i nie wziął lodu. Pustą butelkę owinął w brudny ręcznik i wsadził do walizki. Wyjął z niej natomiast pudełko z nabojami do sztucera marki Remington - trzy z nich włożył do lewej kieszeni płaszcza - oraz rewolwer Colt automat 45 i wprowadził kulę do lufy. Rewolwer wsunął do prawej kieszeni

płaszcz. Omiótł spojrzeniem pokój, sprawdzając, czy niczego nie zostawił.

Na zewnątrz było bezwietrznie, ciemno. Autostradą nr 5 ruszył w kierunku południowym na Plymouth, dotarł do Massachusetts Turnpike i przez jakiś czas jechał na West Springfield do autostrady nowojorskiej. Zjechał zjazdem na Stockbridge<sup>1</sup> ciągle kierując się na południe znalazł się przy drodze nr 7. Zatrzymał się, by dwukrotnie zatelefonować z automatu. Na

## HIGGINS

pierwszą rozmowę potrzebował siedemdziesięciu pięciu centów, na drugą dwudziestu pięciu. Wrócił do wozu klnąc zimno. Zapalił silnik, ale zaraz zgasił. Wysiadł i z walizki w bagażniku wyjął pudełko z nabojami do sztucera. Naboje wyrzucił do potoczku płynącego za stacją benzynową, pudełko zmiął i wrzucił do kosza na śmieci.

O 5.35 od strony północnej podjeżdżał pod Foothills Natio- j nal Bank w Shropshire w stanie Massachusetts. Zaczynał padać śnieg. Na drugim piętrze budynku z cegły paliło się światło. Wjechał na parking. Stał już tam jeden samochód, cadillac cou- \ pe de ville w kolorze czarnym. Wiatr przycichł, śnieg padał le- i niwie.

Mężczyzna założył cienkie, skórzane rękawiczki. Zgasił światła wozu i ostrożnie zamknął drzwi. Idąc starał się stawiać nogi w ślady zrobione przez tego, który przyjechał cadillac-kiem. Lekko pchnięte drzwi ustąpiły bez oporu. Wszedł i schodami pomaszerował na drugie piętro. Poruszał się ze swobodą kogoś, kto doskonale zna miejsce. Skierował się od razu do gabinetu prezesa. James Mandeville spacerował po pokoju wzdłuż okien wychodzących na Washington Street. Przybysz najpierw otworzył drzwi, a potem zapukał.

Mandeville odwrócił się.

- To ty? - zdziwił się. Widzieliśmy się dopiero co. Nic nie ; mówiłeś. On mi powiedział, że przysyła kogoś, kto musi ze mną natychmiast porozmawiać. Sądziłem, że potrzebuje pomocy.

- No właśnie. Ja potrzebuję pomocy.

Mandeville miał minę zakrystiana, który w oczekiwaniu dat-'j ków podsuwa wiernym tacę pod nos.

- To niczego nie zmienia. Wiem, co jestem winien i kiedy mam zapłacić. Zapłacę wszystko. Jemu. Nie tobie. Ty nic nie dostaniesz.

- Nie sądzę, i on tak nie sądzi.



## BANKIER 17

- To mnie nie obchodzi - powiedział Mandeville. - Nie obchodzi mnie, co on myśli. Liczy się umowa. Pożyczka była na trzy lata. Spłacę za trzy lata. Opłaciło się.

Claretian Shores jest warte o wiele więcej, niż zapłaciłem. Kiedy on rano zadzwonił i prosił, bym spotkał się z kimś o tak niehumanitarnej godzinie, sądziłem, że chodzi o nowy biznes. O coś, co ciebie nie dotyczy. Gość podszedł do szafy, otworzył ją i wyjął z niej sztucer browning automatic dwunastostrzałowy.

- Co robisz? - zaniepokoił się Mandeville.

Bardzo ładny sztucer, Jimmy - powiedział gość. - Piękna broń. - Przypatrywał się wygrawerowanej na kolbie scenie myśliwskiej, na której myśliwy mierzył do bązanta wystawionego przez psa, po czym wyjął z kieszeni jeden nabój i wprowadził do lufy.

Mandeville ruszył w jego kierunku.

- Zostaw to - powiedział.

Gość przełożył sztucer do lewej ręki, prawą wyjął z kieszeni pistolet.

- Do łazienki, Jim - rozkazał. - Nie chciałbym powalać tak ślicznego dywanu.

- Co ty robisz, do diabła?

- Wykonuję pracę, w której jestem dobry. Do łazienki, Jim. Jeśli nie chcesz, załatwię to tu. Mnie wszystko jedno

- podszedł i pchnął Mandeville'a lufą pistoletu. - Rusz się.

- Nie możesz tego zrobić. Złapią cię...

- Do łazienki, Jim - powtórzył mężczyzna. - Plecami do wanny - O tak. - Schował pistolet do kieszeni i trzymając

oburącz sztucer wcisnął jego lufę w tłusty podbródek  
Mandeville'a.

## HIGGINS

- Nie możesz tego zrobić - Mandeville rękami podtrzymywał trzęsącą się głowę. - Znamy się, byliśmy przyjaciółmi. Wiem, że to, co zrobiłem, mogło ci się nie podobać, ale wiesz, że musiałem to zrobić.

- To z tamtym nie ma nic wspólnego - odpowiedział mężczyzna. - Ani wtedy, ani dziś nie mam ci tego za złe. Wykonuję pracę. Robię, co mi szef każe.

- Znamy się przecież...

Mężczyzna nacisnął spust. Śrut wypełniający pocisk nr 6 do polowania na ptaki na odległość piętnastu metrów daje rozrzut o średnicy 90 cm. Śrut wystrzelony z browninga, którego lufa była wciśnięta w podbródek Jamesa Mandeville'a, miał rozrzut minimalny i z łatwością rozrywał miękką tkankę twarzy i mózgu, a kiedy trafił na kości czaszki, rozsadził je. Odrzucona drj tyłu głowa wyrznięta w wiszące nad wanną lustro i stłukła je.

Nogi Mandeville'a przez chwilę stały na ziemi, po czym zaczęły się uginać. Ciało delikatnie osunęło się na wannę. Kafelki na ścianie i zbite lustro pokryte były krwią i szarą masą mózgu. Krew i szara masa wypływały również ustami i nosem leżącego. Huk wystrzału rozpląnął się niemal natychmiast.

Mężczyzna wsunął sztucer w bezwładne ręce Mandeville'a. Prawą rękę przesunął na kolbę, lewą ułożył tak, że palec dotykał cyngla. Zerwał nieco papieru toaletowego, umaczał we krwi i szarej masie, po czym pomazał tym sztucer i marynarkę zabitego. Papier wrzucił do ubikacji i spuścił wodę.

O 7.25 mężczyzna przyjechał do Bradley Field Locks, w stanie Connecticut. Wsiadł z samochodu, rewolwer przełożył do walizki, a do kosza na śmiecie wrzucił czarne rękawiczki, butelkę po wódce i dwa niepotrzebne już naboje. Potem wszedł do biura Avis, by oddać wypożyczony samochód.

## BANKIER

21

\_ Płaci pan kartą kredytową? - zapytała urzędniczka. \_  
Nie, wolę gotówką.

\_ Doskonale. . Pięćdziesiąt osiem dolarów, trzydzieści osiem centów.

Wyjął z portfela sześć banknotów dziesięciodolarowych.

- Miał pan jakieś kłopoty z wozem?

- W pewnym momencie myślałem, że już do końca życia zostanę na parkingu. Padał śnieg, a koła buksowały w miejscu. To wszystko.

Podawała rachunek uśmiechając się z profesjonalną uprzejmością.

- Mamy nadzieję, że znowu nas pan odwiedzi.

Postaramy się nie zawieść pana.

Koło kawiarni na lotnisku wszedł do budki telefonicznej i wywołał centralę. Tym razem pamiętał o podaniu numeru kierunkowego. Głos kobiety oznajmił, że przyjmuje rozmowę.

- Wykonane - powiedział.

- On będzie bardzo zadowolony - usłyszał w odpowiedzi. -Jeśli znowu będzie cię potrzebował...

- To wie, jak mnie znaleźć. Wracam w cieplejsze regiony. Przemarzałem do szpiku kości. Już zapomniałem, że tu potrafi być tak zimno.

## II

Śliskie kartki fotokopii dokumentów śledztwa w sprawie śmierci Jamesa Mandeville'a (juniora) przeleżały w archiwum około dwudziestu lat. Joe Corey otrzymał je rano od Amelii Feldt. Teraz siedząc za małym biurkiem w pokoju, który wraz z żoną zajmowali w gospodzie „Pod Jednorożcem” w Gosport w stanie Massachusetts, studiował je uważnie. Kartki się zwijały, druk był wyblakły. Tomem encyklopedii przycisnął niesforne dokumenty. Jill, widząc, jak się z nimi zмага, zapytała:

- Jesteś pewny, że chcesz się tym zająć?

- Tak - brzmiała odpowiedź.

- Dlaczego?

Odłożył trzymaną w ręce zwijającą się fotokopię, odwrócił; głowę i patrząc na nią wyjaśnił:

- Ponieważ w ciągu tych sześciu lat, kiedy jesteśmy razem, co najmniej ze dwadzieścia razy zastanawiałaś się głośno przez sen dlaczego zamordowano twojego dziadka i dlaczego nie zajęła się tym policja, a potem przeproszałaś mamę za to, że nic nie potrafiłaś w tej sprawie zdziałać. I dlatego także, iż od ukończenia studiów prawniczych nie zajmowałem się niczym równie interesującym.

I wrócił do czytania dokumentów.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - mruknęła Jill.

22 grudnia 1967 roku, między 4.20 i 4.30 policjant Robert; Gates sprawdzał drzwi i okna dwupiętrowego budynku z cegły, w którym znajdowała się siedziba

Foothills National Bank w Shropshire w stanie  
Massachusetts. Budynek stał na wzgórzach

## BANKIER

24

frontem do Washington Street. W świetle latarki Gates obejrzał każde z sześciu wielkich okien od frontu, a następnie również okienka od piwnicy. Potem zaczął obchodzić budynek. Idąc wzdłuż tylnej ściany świecił w każde z trzech okien sali operacji bankowych, sprawdzając trzy stanowiska kasjerskie. Wszystko było w porządku. Żadnych śladów, które by wskazywały, że ktoś usiłował wtargnąć do banku.

Od północy sypał śnieg. Przestało padać dopiero około 5.00 nad ranem. Wiatr był słaby i dlatego w dziesięciocentymetrowej warstwie śniegu ślady jego stóp pozostały widoczne jeszcze przez wiele godzin. Kiedy o 8.45 fotograf wykonywał zdjęcia z tyłu budynku, znaleziono jedynie ślady pozostawione przez Gatesa.

Dokonując inspekcji, jak zawsze zwrócił uwagę na budowane właśnie po południowej stronie nowe, jednopiętrowe skrzydło, o jakie miał zostać powiększony bank. Ktoś mógł się tam ukryć. Objechał samochodem plac budowy oświetlając go reflektorami swego wozu patrolowego. Samochód wyposażony był w nowe opony firmy Goodyear, rozmiary 8.50 x 16, na tylne koła miał założone łańcuchy.

Około 4.55 Gates zakończył inspekcję biur i sklepów przy Washington TStreet i tylnym wejściem wszedł do kuchni „Gospody Shropshire”. Jej właściciel Jack Davis właśnie przygotowywał sobie śniadanie. Poczęstował



gościa kawą i pączkami. Gates powiedział, że noc minęła spokojnie. Rozmawiali o błałych sprawach. Tego ranka prokurator Gates powiedział Corneyowi:  
- Od tamtego czasu przyjaźniliśmy się z Jackiem. Wtedy on

<sup>1</sup> Winifred byli tu jeszcze nowi. Rozumie pan, nabyli ten lokal Przed czterema czy pięcioma laty. Oczywiście Jack i ja byliśmy jedyni w okolicy, którzy o tak nieludzkiej godzinie byli już na

## 16 HIGGINS

nogach. On wstawał tak wcześnie każdego dnia, ja miałem w tygodniu jeden dzień wolny - i wtedy go nie odwiedzałem. Oczywiście stary Bill Slinger, który pełnił dyżury w komisariacie na tej samej zmianie, też nie powinien był spać, ale z reguły, kiedy wracałem z kawą i z pączkami, musiałem go budzić. Wprawdzie kilka razy zdarzyło się, że nie spał, ale miał wtedy jakieś kłopoty żołądkowe - w takich wypadkach był o wiele miłszym towarzyszem, gdy spał.

Ten ranek nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jack i ja rozmawialiśmy o burzy śniegowej, normalnej o tej porze roku, o tym, jaką frajdą dla turystów jest śnieg. Jack powiedział, że już połowę pokoi ma zajętych, a druga połowa była zarezerwowana. Prawdziwa zima w Nowej Anglii, dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał i odmalował Norman Rockwell. Gawędziliśmy jak zwykle o wszystkim. To zdumiewające, jak czasami taka błaża rozmowa, o której zazwyczaj zapomina się po godzinie, może utrwalić się w pamięci człowieka. Obaj dawaliśmy wyraz zdziwieniu, że radni godzili się na to, by dekoracje świąteczne świeciły się przez całą noc. Gdyby podłączono je do innego obwodu, niż ten, który zasilał oświetlenie uliczne, można by o północy wyłączać dekoracje pozostawiając palące się latarnie. Choć byłaby to wielka oszczędność, nigdy tego nie ^robiono.

„Teraz rozumiem - mówił Jack - dlaczego takie miasteczko, jak nasze, posiadające jedną szkołę, ośmiu policjantów i kompanię ochotniczej straży pożarnej,

nakłada tak wysokie podatki. Teraz dopiero na to wpadłem. Po prostu wyrzuca się pieniądze za okno. Radni muszą mieć akcje miejscowej elektrowni".

- Przez jakieś piętnaście minut staliśmy przy piecu, na którym smażyły się pączki. Zwykle kiedy przychodziłem, były już gotowe, ale tego ranka Jack zapomniał o nastawieniu budzika]

## BANKIER

28

i nieco zasnął. Zaczął smażyć pączki tuż przed moim przyjściem. Wtedy właśnie zadzwonił ten telefon, o czym piszę w moim meldunku, który ma pan na biurku. To było dziwne. Kto, do cholery, mógł dzwonić o takiej porze? Jack podszedł do telefonu. Słyszałem, jak podnosi słuchawkę i mówi: „Gospoda Shropshire”, a potem: „Nie, to pomyłka, drogi przyjacielu. Tu nie mieszka nikt o takim nazwisku. W ogóle w całym mieście nikt taki nie mieszka. Tu też nie ma nikogo, z wyjątkiem mnie i jednego gliniarza”.

Odłożył słuchawkę, wrócił i powiedział do mnie:

„Pomyłka”,

o czym też piszę w raporcie.

Pączki były już gotowe. Gdy przestygły, sześć zapakował dla mnie. Nalałem kawy dla siebie i dla Billa, a Jackowi, jak zawsze, życzyłem dobrego dnia, na co odpowiedział, że jego goście mieli zapewne dobrą noc i będą zadowoleni z dnia spędzonego w jego motelu.

Kiwnęliśmy do siebie głowami

i wróciłem do komisariatu.

Z dokumentów wynikało, że około 5.20 policjant Gates, który jechał Washington Street w kierunku północnym, zbliżył się do skrzyżowania z Berkshire Street. Śnieg przestał już padać.

Gates wspominał:

- Jim Mandeville nadjeżdżał od strony Berkshire.

Stałem i przepuściłem go, zwłaszcza że migały żółte światła. Jego kierunkowskaz wskazywał, że skręca w lewo, choć oczywiście domyślałem się, że jedzie do

banku, i dopiero potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego ktoś tak bogaty jak on, jeżdżący wielkim cadillackiem i posiadający bank, wprowadzie lokalny, ale zawsze bank, jechał do tego banku tak wcześnie rano. To zresztą jego sprawa, dokąd jechał. Pomachał do mnie ręką, a ja do niego. Oczywiście tak bogaty facet jak Jim w tak małym miasteczku

### 30 HIGGINS

jak Shropshire to figura. Nawet jak się jest gliną, lepiej być i z nim dobrze i nie zrażać go do siebie. Facet z taką forszą maj wiele do powiedzenia, zwłaszcza kiedy Rada Miejska omawiaj budżet policji.

Muszę jednak stwierdzić, że z Jimem nie mieliśmy nigdy żadnych kłopotów. Nigdy nie zadzierał nosa, nigdy nie uważał, że należy mu się jakieś specjalne traktowanie. Po prostu mieszkał w swoim dużym domu na Berkshire i razem z Mimi wychowy-1 wali swoje dzieciaki. Byli zawsze grzeczni, zawsze cię pozdrowi-1 li, zapytali, jak się masz, znali twoje imię. Oczywiście, że żyło im się lepiej niż innym, ale nigdy nie dawali odczuć, że są boga-j ci. Po prostu Mandeville miał mnóstwo forsy, ale to była jego i sprawa, nie afiszował się z tym.

Z raportów wynikało, że około 7.50, jako pierwsza, zjawiła! się w banku kasjerka miss Katherine McCormack. Do jej obowiązków należało otworzenie drzwi i wpuszczenie personelu.

Miss McCormack powiedziała Coreyowi:

- Doskonale pamiętam, że było to w sierpniu czterdziestego! dziewiątego. Właśnie wtedy Josie Shanahan poinformowała pa-na Mandeville, oczywiście seniora, że przechodzi na emeryturę i z siostrą przenoszą się na Florydę. Mój Boże, musiała już] mieć siedemdziesiąt pięć lat, ale nikomu nawet nie przychodzi-j ło do głowy, że może odejść. Pracowała jeszcze za życia ojca pa-1 na Mandeville seniora, i podobno to on powierzył jen obowiązki głównej kasjerki. Opowiadano, że pracę w ogóle] podjęła jeszcze

za życia dziadka pana Mandeville seniora, która w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia założyła nasz bank. Nie wiem. W każdym razie pan Mandeville senior zawołał mnie do gabinetu i powiedział: „Kate, jak wiesz Josie odchodzi. Zajmiesz jej miejsce?” Może nawet nie byłam zszokowana, gdyż pochlebiam sobie, że znałam się na swoim

## BANKIER

32

pracy, ale były dwie panie, które pracowały dłużej niż ja. No, prawdę mówiąc jedna może nie tak o wiele dłużej, ale zawsze. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Pan Mandeville zauważył moje zdumienie.

No więc pan Mandeville senior, a był to wspaniały człowiek, powiedział: „Wytłumaczę ci, Kate w czym rzecz. Nasz bank od lat prosperuje znakomicie, a tajemnica tego, jak sądzę, leży w ciągłości. Ciągłości naszej pracy. Doświadczenie i profesjonalizm. Christine pracuje nieco dłużej, ale jest mężatką i wyobrażam sobie, że szybciej lub później będą chcieli z mężem mieć dzieci, a więc odejdzie i będziemy szukali kogoś nowego. Sądzę więc, że ty jesteś lepszym kandydatem. Dostaniesz podwyżkę o pięć dolarów na tydzień. Sprawę uważamy za załatwioną”.

- Przychodziłam tak wcześnie wcale nie dlatego, że ktoś musi w banku rozpoczynać kolejny dzień pracy, również tak straszny jak tamten. Przychodziłam, bo lubiłam choć przez chwilę mieć to całe biuro dla siebie. Zanim pojawią się inni. I tak też było w tamtym dniu. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam był samochód pana Man-deville'a na parkingu. Stał tam tylko ten jeden samochód. Zdziwiłam się. Pan Mandeville junior w niczym nie przypominał swojego ojca. Pan Mandeville senior zawsze przyjeżdżał do banku o dziewiątej, o ósmej czterdzieści pięć. Natomiast pan Mandeville junior rzadko pojawiał się przed dziewiątą trzydzieści, czy przed dziesiątą. Miał inny stosunek do biznesu niż jego ojciec.



- Pamiętam, że czasami przyjeżdżał rano, by podpisać jakieś papiery, potem wracał do domu, by się ogolić i przebrać. Często zjawiał się w ubraniu, w którym łowił ryby, oczywiście nie w gumowych butach, ale we flanelowej, kolorowej koszuli, w starych spodniach i w takim okropnym kapeluszu. Był roz

## HIGGINS

czochrany i nieogolony, ale zawsze w doskonałym humorze. Opowiadał, że jest na nogach od drugiej nad ranem i złapał mnóstwo pstrągów. Pamiętam, jak mówił: „Zanim inni zwlekli się z łóżka, ja już miałem ryby. Z łowieniem ryb to tak, jak w biznesie - kto pierwszy nad rzeką, pierwszy złapie". I tak było wiele razy każdego roku, nawet kiedy umarł ojciec, bo pan Mandeville poprostu przywykł do tych wypraw. A w sezonie chodził na ptactwo. Strzelał bażanty i przepiórki. Raz czy dwa zdarzyło się, że na konferencję przyszedł ze swoimi psami, z dwoma przepięknymi angielskimi seterami. Bardzo ładne psy i bardzo grzecznie się zachowywały. Siedziały na konferencji jakby należały do zespołu pracowników banku.

- I te jego strzelby. Te sztucery. Miał ich kilka. Po sezonie polowań na ptactwo brał broń i szedł za miasto strzelać do rzutków. Przez długi czas myślałam, że to też takie ptaki, jak gołębie. Przypominam sobie, że pewnego dnia powiedział, że zestrzelił ich sto, a ja zdziwiłam się i odparłam: „Panie Mande-ville, przecież pan tego nie może zjeść ani nawet dać komuś. Śmiał się ze mnie do łez, a ja byłam bardzo speszona. Zawsze trzymał w biurze jakieś karabiny. Był z nich ogromnie dumny, stale je wyjmował i pokazywał znajomym. Nie znam się na karabinach. Przerażają mnie. Szczególnie od czasu, jak zostałam kasjerką. Stale sobie wyobrażam, że ktoś wejdzie i wyceluje karabin we mnie. Te jego karabiny były jednak rzeczywiście śliczne. Wszystkim się podobały.

A więc, jak mówiłam, przychodził późno, a wychodził wcześnie. Nigdy nie słyszałam, by pokazał się w banku o tej porze. Oczywiście poznałam jego samochód. Mimo, że świeciło już słońce, reflektory wozu były zapalone, a drzwi otwarte. Przyszło mi więc do głowy, że mieliśmy włamanie albo pożar, albo coś podobnego, albo może włączył się alarm i policja ściągnęła pana Mandeville'a by go wyłączył. To by tłumaczyło, dlaczego tak się spieszył, że nie zatrzasnął drzwiczek wozu.

## BANKIER

36

No więc tak. Słońce świeciło a światła wozu były zapalone. Pan Mandeville nigdy nie zostawiał zapalonych świateł, żeby akumulator się nie rozładował. I jeszcze zobaczyłam, że pracuje silnik, bo z rury wydobywał się biały dym. Znowu pomyślałam, że szef musiał się ogromnie spieszyć. Zaparkowałam, wyskoczyłam z samochodu i pobiegłam do tylnych drzwi, którymi zawsze wchodził do banku. Były otwarte. Tego nie robił nigdy. Nigdy tych drzwi nie zostawiał nie zamkniętych. I nie dlatego, by nie uciekało ciepło, ale w obawie, by nie wszedł ktoś niepożądany. Biegłam schodami na górę i wołałam: „Panie Mandeville, panie Mandeville, jest pan tam?” Wołałam tak, choć byłam przekonana, że musi tam być. Nie usłyszałam odpowiedzi. Na sali wszystko było pozamykane, jak zawsze. Wpadłam do sali konferencyjnej na piętrze, ale tam go nie było. A zatem powinnam go znaleźć w jego gabinecie, na końcu korytarza, od frontu budynku.

Szłam korytarzem i wołałam: „Panie Mandeville, panie Man-deville, gdzie pan jest?” Zdaje się, że to wtedy zaczęłam płakać. Wiedziałam już, że stało się coś złego, bo dlaczego mi nie odpowiadał? Weszłam do gabinetu, ale i tam go nie było. Nie widziałam go. Zaczęłam się zastanawiać. Czyżby zszedł do piwnicy? Może coś się stało z piecem centralnego ogrzewania?

I wtedy właśnie zauważyłam, że szafa jest otwarta. Nie wiem, jak to się stało, spojrzałam na drzwi do toalety i zobaczyłam, że na podłodze leży jego strzelba, a zaraz

potem koło strzelby dostrzegłam jego nogę.  
Podbiegłam... i znalazłam go.

### III

Katherine McCormack zamilkła i przez chwilę cichutko płakała wycierając oczy chusteczką. Podniosła głowę, przygryzła wargi i podjęła opowieść:

- Od razu wiedziałam, że nie żyje. Wszędzie była krew. Na ścianach, na zbitym lustrze, na wannie, na toalecie.

Wydaje mi się, że krzyczałam, a jednocześnie próbowałam się zastanowić, co powinnam zrobić. W pierwszej chwili pomyślałam o włączeniu alarmu, ale natychmiast uznałam, że trzeba wezwać policję.

Tak też zrobiłam. Policjanci przyjechali niemal natychmiast. Sierżant Barry i jeszcze dwóch. Wydaje mi się, że jeden, ten który przyjechał nieco później, był z policji stanowej. Sierżant Barry mówił rozkazującym tonem. Byłam tym zaskoczona. Korzysta przecież z usług naszego banku od lat. Ale oczywiście niemal wszyscy mieszkańcy Shropshire z niego korzystali. W tamtych czasach nie było wielkiego wyboru, jedynie my i Savings Bank, który nie prowadził rachunków czekowych. Nie miał na to zezwolenia. Wtedy nie było tak jak dziś, kiedy mamy wiele oddziałów największych banków i automaty wypłacające pieniądze. Pracując w kasie prawie nie stykam się teraz z klientami. Sierżant Barry, kiedy przychodził z czekami, jakimi wypłacano im pensję, był zawsze bardzo grzeczny. Był policjantem i oczywiście te чеki opiewały na niewielkie sumy, a jemu zawsze potrzebne były jakieś pieniądze. Szliśmy mu na rękę. No i były to чеki wystawiane przez urząd miasta, a więc pewne чеki.

- Sierżant był bardzo uprzejmy, przypuszczam, że musiał mieć w kieszeni więcej niż dziesięć dolarów, bo

był stanowczy i trzeba było zrobić to, czego żądał. Mnie polecił, bym nie ru

## BANKIER 40

szła swojego wozu i pozostawiła go na parking, tam gdzie był, zanim wezwałam policję. Kiedy już skończyli mnie przesłuchiwać, sierżant polecił policjantowi Gatesowi, by mnie odstawił do domu. Nikomu nie pozwolili wjeżdżać na parking, a bank był zamknięty do zakończenia czynności śledczych. Mój wóz dostałam dopiero późnym popołudniem.

Cadillac coupe de ville pana Mandeville'a wyposażony był w śniegowe opony goodrich z kolcami, rozmiary 8.50 x 15, założone na tylne koła i w opony super goodrich, 8.50 x 15, na kołach przednich. Śledztwo ustaliło, że samochód został wprowadzony na parking wkrótce po zakończeniu przez Gate-sa inspekcji o 4.15 i pozostał aż do czasu pojawienia się eksperta sądowego Owena Moore'a z Northampton. Od samochodu do tylnych drzwi banku prowadziły odcisnięte na śniegu ślady szybko idącego człowieka. Przy samych drzwiach było wiele śladów, więc tamte zostały już zdeptane. Na polecenie szefa policji Alberta Feldta parking pilnował policjant William Slinger.

Na drzwiach wejściowych nie było żadnych śladów włamania. Zbadano dokładnie wszystkie pozostałe drzwi i okna, łącznie z okienkami do piwnicy, i też niczego nie znaleziono. Wokół budynku widniały jedynie ślady pozostawione na śniegu przez policjanta Gatesa.

Katherine McCormack potwierdziła, że pan Mandeville wychodząc z banku, drzwi od swojego gabinetu zawsze zamykał na klucz. Dodała, że jedynie on miał klucze do



tych drzwi, a kiedy przyszła, były otwarte. I na nich nie było śladów włamania.

Sprawdzono samochód Katherine McCormack i stwierdzono, że był to ford galaxy , który na tylnych kołach miał założone opony goodrich z kolcami, wymiary 7.50 x 15, a na przednich goodrich super o tych samych wymiarach.

## HIGGINS

- Przy załatwianiu własnych spraw zawsze kierowałam się rai darni pana Mandeville'a seniora - powiedziała Corneyowi Katf herine McCormack. Znał się na wszystkim, wielokrotnie! ułatwiał mi zakupy po korzystniejszych cenach, czego sama ni mogłabym załatwić. Był bardzo miły i uczynny i nigdy nie odmawiał pomocy, kiedy o nią prosiłam. Kiedy umarł z równym za ufaniem zwracałam się do pana Mandeville'a juniora. I dlatego właśnie mój wóz ma takie same opony jak jego. Uważał, że t jest najlepsze ogumienie, więc i ja tak uważałam.

Na parkingu obok cadillaca znaleziono ślady trzeciego samo! chodu. Wszystko wskazywało na to, że odcisnięte zostały mnie | więcej w tym samym czasie co ślady cadillaca. Od miejsca za parkowania do tylnego wejścia do banku prowadziły ślady bot-^ ków lub kaloszy. Idący stawiał stopy bardzo dokładnie w śladyl pozostawione przez Mandeville'a i zidentyfikowanie rodzaju! obuwia było niemożliwe.

Ustalono, że nieznany i nie odnaleziony samochód zaparko^ wał tyłem, a więc frontem do ulicy. Na polecenie pana Moore'a | fotograf wykonał zdjęcia tych śladów.

Policjant Gates przyjrząwszy się śladom stwierdził, że odcisnęły je opony zimowe goodyear surbanite, dokładnie takie sa me jak te, które przed dwoma laty założył na koła swojego samochodu. Ponieważ ślady były wyraźne i głębokie, Gates uz nał, że były to nowe

opony. Zauważył również, że nie były one wyposażone w kolce.

- W tamtych czasach trzy razy w tygodniu jeździłem do Westfield, na uniwersytet - powiedział Gates Coreyowi.

- To był koszmar, mówię panu. Byłem młody, ale nie wierzyłem, że mi się uda. Co to za życie. Cała noc na służbie, a potem droga tam i z powrotem. Teraz bym tego nie wytrzymał, a i wtedy nie było; łatwo, tyle tylko, że bardzo chciałem skończyć studia.

## BANKIER

44

Nikt w mojej rodzinie studiów nie skończył. Ja pierwszy dostałem się na uniwersytet i byłem uparty. To Gil Rogers mnie do tego zmobilizował. Ojciec miał zakład malarski, w którym jako chłopak pomagałem mu w czasie wakacji. Pewnego lata pracowaliśmy w domu Gila. Oczywiście dom Gila nie był tak wielki jak dom Mandeville'a, ale nikt w mieście nie miał większego. Namawiał mnie, bym poszedł na prawo i obiecał, że zatrudni mnie w swojej kancelarii. To, co mówił Gil było przekonujące. Miał on rozległą praktykę i zarabiał doskonale, bo był w mieście znany i lubiany. Tak więc w nocy byłem policjantem, a w dzień studentem i dlatego nie powołano mnie do wojska. Oczywiście pracowałem ponad siły. Nauczyłem się jednak wiele, nie tylko z dziedziny prawa. Nauczyłem się patrzeć i wyciągać wnioski. Kiedy więc dostrzegłem te ślady, a nie zobaczyłem samochodu, który je zrobił, powiedziałem do sierżanta Paula Barry'ego: „Sierzancie, ten, co tu zajechał i zaparkował obok samochodu Mandeville'a, nie jest tutejszy. Kto jeździ na suburbanites musi ugrzęznąć. Spadł świeży śnieg, niezbyt głęboki i nie ma pod nim lodu. Gdyby jednak był lód albo gdyby spadło trzydzieści centymetrów mokrego śniegu, ten facet stałby jeszcze tutaj, a w każdym razie stałby tu jego wóz. Proszę mi wierzyć, wiem, co mówię. Przed dwoma laty chciałem oszczędzić trzydzieści kawałków i kupiłem opony bez kolców. Dojeździłem do wiosny <sup>1</sup> wyrzuciłem je. Miałem nauczki: w tym rejonie, jeśli się używa samochodu w

zimie i chce się być w domu o czasie, musi się jeździć na kolcach. W przeciwnym razie można nocować w rowie".  
~ Nie wiem, czy Paul mi uwierzył i czy w ogóle ktokolwiek mnie słuchał, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że ten facet który przyjechał tamtym samochodem, nie był stąd. Przyjechał z równin na południu.

## HIGGINS

Policjanci prowadzący dochodzenie nie byli w stanie dokonać\* identyfikacji zwłok z uwagi na rozległe uszkodzenia twarzy i ca-1 łej głowy ofiary. Wystrzał zmiął dolną szczękę, sweter i ko- i szula pod szyją były spalone, co świadczyło, że lufa sztucerajl została przyłożona do podbródka, gdy denat stał wyprostowany\* Ktoś, nie wiadomo kto, pociągnął za cyngiel. Między nogamiB denata leżał dwunastostrzałowy sztucer. Prawa ręka zabitego\* spoczywała na kolbie, lewa na zamku broni. Zamek był odsu-ł nięty, a na dywanie znaleziono łuskę po naboju śrutowym. Le- | łała w odległości czterdziestu jeden centymetrów od lewej noga trupa. Dr Thomas Lowden z Wydziału Medycyny SądowejM przed dokonaniem autopsji postawił wstępne rozpoznanie^ zgon spowodowany został wystrzałem oddanym z bardzo bli«J skiej odległości.

Wstępne oględziny lekarskie przyniosły takie oto ustalenia\* Nieżyjący był mężczyzną, rasy białej, dobrze odżywionym\* w wieku pomiędzy sześćdziesiątym a sześćdziesiątym piątym ro-1 kiem życia, wzrost 170 cm, waga około stu kilo. Miał na sobie\* szary flanelowy sweter, białą koszulę, ciemnobrązowe wełniana! spodnie, skórzane buty na gumowej podeszwie. W gabinectJJ na krześle obok biurka leżała kurtka z kapturem, rozmiar 7.SB a obok niebieski wełniany szal. Rzeczy te miss KatherinwJ McCormack rozpoznała jako należące do Jamesa C. Mandevit\* le'a, lat sześćdziesiąt dwa, prezesa Foothills National Bank.

Po dokładnym obejrzeniu zwłok przez dra Lowdena, położo\* | no je na nosze i dokonano przeszukania. Z trzeciego palca le- | wej ręki zdjęto obrączkę ślubną i stwierdzono, że na jej częśćB wewnętrznej znajdują się wygrawerowane litery. Były jednak wytarte i nieczytelne. Na lewej ręce denat nosił złoty zegarekB marki Rolex. Z tyłu na kopercie wygrawerowane były literwj J. C. M., A. D. M. W kieszeni marynarki znaleziono brązowa portfel, a w nim: 68 dolarów w banknotach, kartę kredytowa

1

## BANKIER

48

American Express na nazwisko James C. Mandeville i prawo jazdy stanu Massachusetts wystawione na nazwisko Jamesa C. Mandeville'a, urodzonego 17 stycznia 1905 r, wzrost 1.70, waga 85 kg, włosy ciemny blond, oczy brązowe, adres zamieszkania Overlook Hills Farm, Shropshire, stan Massachusetts. W portfelu znajdowało się również kilka wizytówek z nazwiskiem Jamesa C. Mandeville'a, prezesa Foothills National Bank, Shropshire, stan Massachusetts.

Szef policji Feldt oświadczył, że na podstawie znalezionych przedmiotów i wieloletniej znajomości z Jamesem C. Mandeville'em może zidentyfikować zwłoki i nie widzi powodów, żeby narażać panią Mirion Mandeville na dramatyczne przeżycia związane z oglądaniem zwłok w takim stanie.

Porucznik Warren Oldham z policji stanu Massachusetts, nadzorujący śledztwo, po tej wstępnej identyfikacji wyraził zgodę na wpisanie nazwiska James C. Mandeville do protokołu i upoważnił dra Thomasa Lowdena do zabrania ciała. Przetransportowano je do kostnicy przy Berkshire General Hospital, gdzie dokonana została autopsja.

Na polecenie por. Oldhama miejsce wydarzenia zostało zabezpieczone i poddane szczegółowym oględzinom.

Katherine McCormack opowiada:

- Do domu odwiózł mnie policjant Gates. Mieszkałam wtedy na południowym przedmieściu, w domu, w którym się urodziłam i z którego wyprowadziłam się dopiero przed trzema laty, kiedy już dłużej nie mogłam



znieść tej chałupy. A więc odwoził mnie do domu policjant, a ja myślałam, jakie to wszystko dziwne. Znalazłam trupa człowieka, dla którego pracowałam. Leżał na dywanie, z którego był tak dumny. Dywan ten kupił jego dziadek u prawdziwego Persa w Nowym Jorku, dokąd pojechał na spotkanie z ludźmi od Morgana. To oni zaprowadzili go do

## HIGGINS

tego Persa i wszyscy kupowali dywany. Pani Mandeville chciała! mieć ten dywan w domu, ale pan postanowił, że położy go w banku. Wszystkie meble w jego gabinecie mają swoją historię. Ten śliczny zegar na kominku, te pokryte skórą fotele. Kul pował je jeszcze dziadek Mandeville, a potem uzupełniaj Mandeville senior. I teraz to wszystko nie miało znaczenia! a on leżał tak strasznie zmasakrowany. Nie byłam w stanie wy! mazać tego widoku z pamięci. A nasze miasteczko było w świątecznych dekoracjach. Cała Washington Street tonęła w srebrze, zieleni i w czerwieni! Wszędzie paliły się światła. Wszystkie motele i hotele były! ustrojone. Pan Mandeville junior zawsze twierdził: „Dopóki będziemy dekorowali nasze miasto i dbali o nie, dopóty zachol wa swoją młodość”. I robił bardzo wiele, aby tak było.

Ojciec nie zawsze był zadowolony z Mandeville'a juniora 4 mówiła dalej - i miał po temu powody. Pamiętam jeszcze czasji kiedy junior chodził na uniwersytet. Wszyscy Mandeville'owi! studiowali w Uniwersytecie Browna. Otóż pan Mandeville junior, jeszcze jako student, przyjechał kiedyś do domu całkiem nowym samochodem. Był to kabriolet ford. Josie Shanahan opowiadała mi, że jego ojciec był wściekły. „To robota matki, ten nowy samochód! - krzyczał. - Czy do tego chłopaka nie dociera, że jest kryzys? Co powiedzą ludzie i naszego miasta, którym bank odmawia kredytu, bo nie mają gffl z czego spłacać, gdy na ulicy zobaczą syna bankiera w tym szalol wym,

nowym wozie, którym mógłby jeździć książę Walii?  
*Kom* puściłaś chłopaka i już się tego nie odrobi. Nigdy".  
- Tak, on rzeczywiście był rozpuszczony - mówiła. -  
Miał jedl nak dobre serce. Dbał o nasze miasto, kochał  
je. A teraz leża martwy we własnym gabinecie.

BANKIER

52

To były smutne święta. Dla nas i dla córek pana Mandeville'a. Jedna z nich była matką pańskiej żony. Wnuki już nie widziały dziadka. Tak, pamiętam tamte święta. Wszystko przygotowywało się na narodziny Jezusa, na najweselszy dzień w roku. A tu taka tragedia. Dziwne są koleje losu, smutne i bezsensowne.

## IV

Ptaki świergoliły i szczebiotały w słońcu już od czterech goj dzin i od czterech już godzin Corney był na nogach, gdy po raíl drugi parkował wynajętego forda escorta w ocienionej alejce! przed białym domem Amelii Feldt, który stał wśród świerków przy Jefferson Street w Shropshire. Gdy otworzyła drzwi, nął ekranie telewizora stojącego na kredensie w kuchni widać była właśnie ostatnie sekwencje porannego dziennika. Gospodyni miała najwyżej 160 cm wzrostu, podczas gdy Corney 185 cmi (jego żona w pantoflach na niskim obcasie była nieco wyższa)! Corney był wdzięczny losowi, że Amelia nie przywiązuje wag! do konwenansów, które w zasadzie powinny być zachowane pol między dwudziestodziewięcioletnim mężczyzną i panią w wuffj ku lat siedemdziesięciu sześciu.

„Gdyby w jej obecności ktoś zachowywał się nienaturalnie zwłaszcza gdyby potraktowano ją protekcyjnie, mogłaby gJJ zbesztać, a nawet dać mu klapsa. Ja miałem ochotę pogłaskać jaj po głowie. Przypominała mi małego sznaucera, małego szaregwJ sznaucera - miniatuę. Nie miała bródki i chodziła na dwócfj nogach, ale miała dokładnie tyle animuszu, co te małe psiaki". 1

Słyszając to Jill, powiedziała:

„A czym ja jestem dla ciebie? Twoim dużym sznaucerem?!. Kiedy rozważaliśmy, czy masz się zająć tą sprawą, powiedziałałarnj ci, że szukasz czegoś, co zaspokoi twoją ambicję. Wiedziałam! że cię to pochłonie. Ta pusta gadanina współczesnych męż!

czyżn, że «moja żona też robi karierę zawodową», nie ma zad! nego sensu. Aż piszczysz, by zrobić coś, co ma sens i co się liczy! Przecież po to właśnie tu przyjechałeś, nie zaprzeczaj".

## BANKIER

55

- Kiedy sobie coś ubrdasz, potrafisz być złośliwa - powiedział.

A teraz stał przed Amelią, która przyglądała mu się badawczo.

- Bardzo proszę, wejdź - powiedziała. - Dostaniesz filiżankę kawy. Wyglądasz jak chmura gradowa. - Podeszła do kredensu i wyłączyła telewizor.

Zamykając za sobą drzwi, przyznał:

-1 tak się też czuję. To przez te cholerne ptaszyska. Nie dają mi spać. Jestem człowiekiem miasta. Nie przeszkadzają mi samochody, hałasowanie śmieciarzy ciągnących pojemniki z blachy, klaksony o czwartej nad ranem, chociaż i w ciągu dnia w zasadzie nie wolno ich używać. Mogą strzelać, trąbić, hałasować, a ja śpię, byle było ciemno. A tu, na prowincji, gdzie panuje całkowita cisza, wystarczy, że około piątej odezwą się te ptaki - koniec ze snem. Wstałem więc o szóstej, pojechałem do Lenox na śniadanie, potem przeglądałem papiery i wreszcie przyjechałem tutaj.

Amelia postawiła kubki z kawą na małym, okrągłym stoliku usytuowanym pomiędzy dwoma zasłoniętymi oknami, które wychodziły na świerkowy lasek i trawnik od strony południowej. Gdy usiedli, zapytała:

- Czy twojej żonie też to przeszkadza?

- Chyba nie tak bardzo - odpowiedział. - Ona sama jest rannym ptaszkiem, uzupełniamy się. Kiedy ja jestem jeszcze jak ogłupiały, ona jest już całkiem rześka.

Wieczorem jest odwrotnie.

~ Katherine stwierdziła, że w czasie obu waszych spotkań byłeś bardzo rzeźki - powiedziała. - Oczarowałeś ją.



## HIGGINS

- No cóż, jestem za mądry na to, by zawracać ludziom głowa przed dziesiątą rano. A jeśli chodzi o czarowanie, mam wątpliwość, czy to potrafię. Chociaż ta dama rzeczywiście mi się pojęła. No cóż, zdaję sobie sprawę, że jestem tu człowiekiem obcym, że wtykam nos w niemiłe sprawy, jakie wydarzyły się przed dwudziestu laty, a nie mam do tego żadnego prawa...

- Oczywiście, że masz prawo, młody człowieku - przerwała mu Amelia. - W każdym razie ja tak to widzę. Coś, co dotyczy żony, dotyczy również męża, a przecież twoja żona jest wnuczm Jima.

Wzruszył ramionami.

- Mógłbym powiedzieć, że Jill jest zainteresowana sprawi teoretycznie - powiedział. - Miała przecież cztery lata, kiedy dziadek zginął. Dzieciak w tym wieku niewiele może powiedzieć o kimś, kogo widział zaledwie kilka razy, i to w czasie świąt, kiedy całą uwagę przykuwa choinka i święty Mikołaj.

- No właśnie, święta - mówiła Amelia. - To z powodu świąt twoja żona przyjechała tutaj. Jim miał być świętym Mikołajem... Doskonale pamiętam tamten dzień. Al wpadł tu w drodze do Mimi, którą musiał o wszystkim powiadomić. Przyjechał prosto z banku i kiedy zobaczyłam jego zmienioną twarz, pomyślałam, że coś się musiało stać, coś, o czym trudno rozmawiać przez telefon. I wtedy powiedział mi... Uważał, że powinien pojechać z nim do Mimi. Nie miał odwagi spojrzeć na nią w oczy. Oczywiście zgodziłam się, ale zanim wyszliśmy z

doi mu, łyknęliśmy po drinku. Al nie uznawał picia dla dodania sol bie kurazu i wszyscy wiedzieli, że jeśli pił whisky, to barda słabe, rozcieńczone, ale w tym dniu zrobiłam mocnego drinki sobie i jemu. Al wypił bez słowa sprzeciwu.

## BANKIER

59

Pojechaliśmy na Berkshire Street z tą cholerną wiadomością, której najchętniej nikomu byśmy nie przekazywali. Zza zakrętu wyłonił się ten wspaniały, biały dom... Byłeś tam kiedyś?

- O tak - odpowiedział. - Jill nie chciała pojechać tam ze mną. Stwierdziła: „Był wspaniały, ale już go nie ma. Nie mam ochoty go oglądać i przeżywać wszystkiego od nowa". Tak samo myślała jej babka, kiedy sprzedawała ten dom i miała rację. Dom jest rzeczywiście wspaniały. Stoi w parku na wzgórzu. Jill była jeszcze dzieckiem, kiedy go odwiedzała, ale wspomnienia zachowała do dzisiaj. Najlepiej zapamiętała to, że było tam tak wiele pokoi. Ona, Amy, Josh i Aaron mogli przez cały dzień bawić się w chowanego i nigdy dwa razy nie chowali się w tym samym miejscu.

- No cóż - wtrąciła Amelia. - Powinneś być zobaczyć ten dom w czasie świąt. Jim odnalazł miedziane świeczniki, które należały jeszcze do jego dziadka, wmontował w nie elektryczne żarówki i umieścił świeczniki na oknach. Jego ludzie przynosili z lasu choinkę, którą ustawiano przed domem. Hall i klatkę schodową dekorowano girlandami z wawrzynu. Przystrajano też pokój jadalny i salon. W kominkach paliły się kłody drzewa. I ten zapach! Mimi była genialnym kucharzem. Oczywiście mieli dość pieniędzy na służbę, ale Mimi nigdy by się nie zgodziła o zatrudnienie kucharza. Zatrudniali pokojówki i ogrodników, i innych, ale nie kucharza. Mimi wprawdzie nigdy na ten temat nie mówiła, ale sądzę, że uważała się za najlepszą kucharkę w całej

okolicy, a może nawet w całym stanie. Słynne byty jej pieczone indyki i szynka, niedościgniona w smaku Pieczona wołowina, a wreszcie robione z myślą o Joe puncze. Zawsze na święta był w ich domu znakomity śliwkowy puding.

Każdego roku w niedzielę przedświąteczną ich dom był twarty dla wszystkich. Nie znam nikogo z Shropshire, kogo by

## HIGGINS

nie zaproszono. Myśl o tej niedzieli przerażała Ala. Martwił sil na wiele dni przedtem. Oczywiście nie dlatego, że nie lubił JI ma. Przeciwnie. Bardzo go lubił i szanował, i nazywał „KsiJ ciem na Overlook Hills”. I nie dlatego, że nie lubił przyjeJ i spotkań z przyjaciółmi. Powód był inny: Jim zapraszał dosłovj nie wszystkich: policjantów, tych ze straży pożarnej, z urzędł pocztowego, ze szkoły i z kościołów, i oczywiście z banku. W ■ niedzielę wszystkie sklepy na Washington Street były po/amyl kane. Całe miasto bawiło się na Overlook Hills.

Oczywiście wszyscy ludzie Ala chcieli tam pójść. Rzecz jasna Al nie mógł sobie na to pozwolić i powiedzieć: „Klawo jesl Jim Mandeville wydaje świętecznie przyjęcie, a więc zamykana sklepik”. A gdyby w tym czasie wydarzył się jakiś wypadek sa mochodowy lub zapalił się jakiś dom? A tu wszyscy strażacy sl na przyjęciu na Overlook Hills. Tak więc dwóch ludzi Ala nie] mogło iść na przyjęcie, a nie muszę cię przekonywać, że bardzł im to było nie w smak. Czy jednak było inne wyjście?

Pamiętam, jak mówił: „Chcą, bym wprowadził dyżury, tak żel by każdy choć przez chwilę mógł być na przyjęciu. Wprowadzi łem te dyżury, ale zmiana następuje nie co godzinę, lecz co tra lata. Miałem bowiem świadomość, co by się stało, gdyby ludzjfl poszli tam tylko na kilka godzin. Pierwsza zmiana, wiedząc że zaraz musi wyjść, natychmiast by się upiła. Ci, co przyszli™ z dyżurów, chcieliby szybko nadrobić

stracony czas i też by sil upili. Do czego by to doprowadziło? Miałbym wszystkich policjantów zalanych i nikt nie opiekowałby się miastem".

Al zarządził więc, że co trzy lata dwóch policjantów nie szł na przyjęcie. Jego również ten dyżur nie omijał. Zatem każdego roku w to niedzielne popołudnie w komisariacie pełniło dyżur dwóch trzeźwych policjantów.

## BANKIER

63

No więc w ten piątek przed świętami - ciągnęła swą opowieść Amelia - jechaliśmy do Mimi, by wypełnić ciężki obowiązek. I kiedy zobaczyliśmy ten dom z oświetlonymi oknami, a potem niczego nie spodziewającą się, zajętą gotowaniem Mimi, poczuliśmy się tak, jakby nas przygniótł jakiś wielki ciężar. Nie mieliśmy pojęcia, co powiedzieć i kiedy wjeżdżaliśmy na parking, płakaliśmy oboje. Podeszliśmy do tylnych drzwi i zapukaliśmy. Otworzyła służąca, spojrzała na nas, cofnęła się i zakryła twarz rękami. Choć jeszcze nie odezwaliśmy się słowem, odgadła, że stało się coś nieodwracalnego. Z kuchni wyszła Mimi wycierając ręce w fartuszek, spojrzała na nas i tak jak służąca natychmiast wszystko zrozumiała. Nie padło jedno słowo. Mimi nie wiedziała, że Jima zastrzelono, ale wiedziała, że nie żyje.

Amelia westchnęła.

- Al mawiał - i uważam, że miał rację - że najgorsze chwile w jego pracy to te, kiedy musiał jechać do czyjegoś domu, by powiadomić, że syn czy córka zginęli w katastrofie samochodowej, że brat zginął w wypadku na polowaniu lub że ktoś utonął, czy coś podobnego. Najtrudniej jednak było mu wtedy w piątek przed świętami, gdy musiał pojechać na Overlook, by powiedzieć Mimi, co stało się z Jimem.

Potrząsnęła głową.

- Al uważał, że składanie takich wizyt należy do jego obowiązków. Był szefem i musiał być przykładem dla innych. Musiał robić to, czego inni woleliby nie robić. Al

zwykł był mawiać: ..Gdyby któryś z tych małpisonów doszedł do wniosku, że należy mnie wykopać i zająć moje miejsce i gdybym ja coś na ten temat zwierzył, wziąłbym faceta na bok i powiedział mu: «Czy Jesteś pewny, że chcesz pełnić rolę grabarza? Chcesz zawiadomić rodziny o śmierci najbliższych?» I to załatwiłoby problem. <sup>Sa</sup>.dżę jednak, że gdyby tego dnia znalazł się ktoś, kto zamiast



## HIGGINS

niego mógłby pojechać do Mimi, Al powiedziała by:

„Bierz mol ją posadę. Nie chcę jej więcej”.

- Musiało wam być rzeczywiście ciężko - mruknął Corey.

- Ciężko? - powiedziała Amelia. - Sądzisz, że ciężko? Jeś Al wiedział, jakiego wyznania są ludzie, których miał powiado mić o nieszczęściu, dzwonił zawsze przedtem do odpowiedni go duchownego, na przykład do rabina, jeśli ofiara wypadk była Żydem, i umawiał się, że podjedzie swoim wozem i zabi rze go ze sobą. Tak więc w tych trudnych chwilach miał morał ne wsparcie. Raz czy dwa razy, kiedy miał powiadomić żon w ostatnim miesiącu ciąży, czy jeśli miał powiadamiać rodzi ców, a ci byli chorzy na serce, zabierał ze sobą również lekarza. Gdy umarł Jim, nie mógł tego zrobić. Jim i Mimi nie chodzi do kościoła, a na dodatek każde z nich było innego wyznani On związany był z Kościołem episkopalnym, ona - z katoli kim. Wydaje mi się, że kiedy się pobierali, były z tego powód jakieś trudności. Rodziny się sprzeciwiały. To ich chyba zrazi do kościoła i teraz trudno było prosić o pomoc księdza. Al wi lokrotnie zastanawiał się, czy słusznie postąpił, myślał o ty stale, do dnia własnej śmierci, i dlatego właśnie miałam te k~ pie akt, które ci przekazałam. Al nigdy nie zapomniał o tamty dniu, śmierć Jima dręczyła go do końca życia.

Kiedy zaczynał o niej myśleć^ nie mógł spać, wstawał w środ ku nocy, ubierał się, szedł do komisariatu, siadał za biurkieflij i czytał te akta. Prosiłam, by tego nie robił.

Tracił zdrowie. On jednak odpowiadał: „Nic na to nie poradzę. Stale wydaje mi się że w tych aktach musi być coś, cośmy przeoczyli, coś pozornie! niewinnego, jakiś szczegół, który jednak mógłby wyjaśnić wszystko. Trzeba tylko na to wpaść. Nie mogę przestać o tym myśleć”.

## BANKIER

67

I wtedy powiedziałam mu: „Zrób kopie tych dokumentów. Nie tłumacz mi, że to wbrew przepisom. Jesteś szefem i to ty te przepisy ustalasz. Ustal taki przepis: «Jeśli szef posterunku nie może spać, gdyż przez całą noc zastanawia się nad jakimś poważnym przypadkiem, może zrobić kopie akt i wziąć je do domu». Zrób kopie i przynieś tutaj. Kiedy nie będziesz mógł zasnąć, wstaniesz, włożysz szlafrok, pójdziesz do swojego pokoju i będziesz mógł sobie czytać. A potem wrócisz do łóżka i jeszcze pośpisz chwilę. Musisz dbać o siebie. Obiecuję ci, że nigdy do tych akt nie zerknę. Zresztą i tak nie rozumiem, jak możesz je ustawicznie czytać, wciąż to samo od początku". A on odpowiedział: „Rzecz nie w tym, że mogę czytać, ale w tym, że nie mogę się od tego powstrzymać".

W każdym razie Al uznał, że w tym dniu ja muszę zastąpić przy nim duchownego. Może nawet było to słuszne. Ja jednak nie wywiązałam się z tego zadania zbyt dobrze. Zresztą próby ukojenia bólu Mimi przypominały próby ukojenia bólu jakiegoś posągu. Ona po prostu nie chciała uzewnętrzniać swego bólu. Czuła go, ale się z nim nie zdradzała. W każdym razie nie w mojej obecności. Byliśmy dobrymi znajomymi, ale widocznie to za mało. Alowi też niewiele pomogłam.

- Jill opowiadała mi, a ona to wie od swojej matki, że pani Mandeville przyjęła wiadomość z kamiennym spokojem - wtrącił Corey. - Kiedy babka usłyszała tę wiadomość, Jill i jej matka leciały z Chicago. Zjawiły się tu w osiem czy w dziewięć godzin później i wtedy

dopiero dowiedziały się o wszystkim. Jill była mała i pamięta jedynie wrażenie, że stało się coś strasznego. Zrozumiała, że babka nie będzie obchodziła świąt. Amelia potrząsnęła głową.

- To małe miasteczko - powiedziała. - Teraz zresztą dużo większe niż wtedy. Wszyscy się tu znają. Ludzie obserwują ba

## HIGGINS

cznie ciebie, twoją rodzinę. Gdy umiera ktoś, kto przeżył tu całe życie, chcą wiedzieć, jak to przyjmujesz, jak się zachowas. Gdy w siedemdziesiątym ósmym, w dwa lata po przejściu na emeryturę, umarł Al, odwiedzało nas mnóstwo ludzi, by złożyć kondolencje mnie, Julii i wnukom, a tak naprawdę po to, by się nam przyjrzeć, by popatrzeć, jak reagujemy. Al przed laty zwrócił mi na to uwagę. Był policjantem i znał się na ludziach. Mówił, że ludzie stale cię obserwują. I nie ma przed tym ucieczka. Obserwują w kościele, na cmentarzu. Wszędzie otaczają cię za ciekawione, przenikliwe oczy.

Gdy Mimi zdecydowała, że nie będzie wystawiała zwłok - nie tylko dlatego, że po tym, co się wydarzyło, nie można byłoby otwierać trumny - a sam pogrzeb będzie ceremonią ściśle prywatną z udziałem jedynie najbliższej rodziny i kilku zaproszonych przyjaciół, wybuchła istna lawina plotek. Zaczęto opowiadać, że Mimi była zadowolona, że z radością przyjęła śmierć Jima. A wszystko dlatego, że chciała rodzinie i sobie oszczędzić ciekawskich spojrzeń, że chciała żałobę obchodzić w ciszy, w skupieniu, w samotności.

- Kiedy Mimi usłyszała tę wiadomość, nie załamała się. Niej padła na podłogę jak kłoda, nie waliła głową i pięściami o posadzkę. Stała z rękami opuszczonymi na fartuszek, z twarzą czerwoną i spoconą od świątecznego gotowania i patrzyła na nas tak, jakby widziała nas po raz pierwszy w życiu.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, nim Mimi przy-] pomniała sobie o naszej obecności. Nie wiem, gdzie się podzia-1 ła służąca. Gdzieś po prostu zniknęła. Mimi poprosiła, byśmy] weszli do salonu i usiedli. Zrobiliśmy to. Usiedliśmy na wielkie! kanapie przed kominkiem wyładowanym drzewem, przygotował wany do zapalenia wieczorem, a Mimi powiedziała:  
- „Coś stało się z Jimem”.

## BANKIER

71

Al przytaknął i poinformował, że Jima znaleziono w jego gabinecie w banku. Nie żył. Powiedział tak po prostu. Potem dziesiątki razy Al miał żal do siebie, że przekazał to Mimi w taki sposób, że nie był bardziej delikatny, a ja dziesiątki razy mówiłam, że to nie miało najmniejszego znaczenia, bo Mimi i tak wiedziała.

„Czy wiadomo już, co było przyczyną...?” - zapytała Mimi. Al nie żyje już od dwunastu lat. Ja wiedziałam, co było powodem tamtej śmierci, i wiedziałam również, że to, co on odpowie, nie ma najmniejszego znaczenia.

Liczyło się tylko jedno - Jim nie żył. Al nigdy nie potrafił zrozumieć, a i ty, Joe, też zapewne nie rozumiesz, że każda kobieta żyjąca u boku mężczyzny w głębi serca wie, że kiedyś może przyjść ktoś, kto odchrząknie i powie, że przeżyła ze swoim mężczyzną wspaniałe lata, że lata te ma już za sobą, bo mężczyzna nie żyje. Co jeszcze do tego doda, nie ma najmniejszego znaczenia.

Wystarczy, że powiedział: „Nie żyje”. Mężczyźni żyją krócej. Robią różne rzeczy, które skracają ich życie, ale muszą to robić, nie potrafią inaczej żyć. Zbyt szybko jeżdżą, polują, piją, są żołnierzami. Czasami po prostu nie mają szczęścia. I tak umierają. Wszystkie o tym wiemy. Tylko do was to nie dociera. Nie chcecie przyjąć tego do wiadomości. Ala zabiły zmartwienia. Jima jego sztucer. Jeśli matka twojej żony opowiadała, że Mimi była bardzo dzielna, to znaczy to tylko jedno - ona się tego spodziewała, tylko nie mogła wiedzieć, kiedy to nastąpi.

..Został zastrzelony"- powiedział Al. Odniosłam wrażenie, że była zdumiona. Przez kilka minut milczała. Nie była już czerwona. „Zastrzelony?" - spytała. Na chwilę rękami zasłoniła twarz. Wstałam, podeszłam do kanapy, na której siedziała, Przycupnęłam obok niej i objęłam ją ramieniem, czego zapewne nie powinnam była robić. Czułam, jak się trzęsie. Płakałam, ciekły mi po policzkach. Wreszcie spytała: „Kto mógł za-strzelić Jima?"



## HIGGINS

- Co odpowiedział pani mąż? - zapytał Corey.

- To samo, co mówił potem, aż do dnia swojej śmierci: „NiB wiem”. Oczywiście byli tacy, którzy nie lubili Jima. Którzy min zazdrościli lub którym odmówił pożyczki. Ale żeby go zastrzwy lic? Nie widzę nikogo, kto chciałby go zastrzelić.

Potrząsnęła głową, wstała, wzięła do ręki kubek z kaw\* i podeszła do kredensu. Corey nie widział teraz jej twarzwJ Przez dłuższy czas stała w milczeniu. Wreszcie odezwała się niJJ ruszając się z miejsca:

- Wiem, tamtego dnia popełniłam kilka gaf. Głównie w stofJ sunku do Mimi, ale nie byłam z nią tak bardzo zaprzyjaźniona! i to dlatego. Były to gafy, ale nie miały większego znaczenia\* Natomiast błąd, jaki popełniłam wobec Ala w ten feralny piąJ tek, miał poważne znaczenie. Przecież to był mój mąż. Powin\* nam mu była pomóc, powinnam była znaleźć jakiś sposób... Prawą rękę zwinęła w pięść i uderzyła w blat kredensu. Coreji słyszał jej przyspieszony oddech. Jeszcze raz uderzyła w bla\* kredensu i westchnęła.

- Mój Boże, minęło tyle lat, a to wszystko wraca takie żywe. i

Przetarła czoło, podniosła kubek, wypła kawy.

Odwróciła się] powoli podeszła do stołu i usiadła na krześle.

- Wydawało mi się, że postępuję słusznie - mówiła.

KiedJJ człowiek znajdzie się w trudnej sytuacji, zawsze robi to, co wwj daje mu się słuszne. Nikt świadomie nie postępuje źle. I ja są\* dziłam, że postępuję dobrze jadąc

w tym dniu z Alerril Wydawało mi się, że postępuję  
właściwie, kiedy usiłowałam po\* ciesząc Mimi. I być  
może wtedy miałam rzeczywiście rację. AM potem, po  
pogrzebie Jima, gdy minęły te straszliwe święta\*  
Wzdłuż całej Washington Street wygaszono świąteczne  
dekoraJJ cje. Na ratuszu, na remizie strażackiej,  
oczywiście na komisa\*

## BANKIER

75

riacie, nawet na poczcie ściągnięto flagi do połowy masztu. Kupcy zdjęli z wystaw świąteczne dekoracje, choć do świąt było zaledwie dwa dni. W niedzielę, w dniu, w którym miało się odbyć przyjęcie u Jima, ulice miasta były jak wymarłe. Całe miasto wydawało się być w żałobie i rzeczywiście było.

Chwilę się nad czymś zastanawiała.

- Z wyjątkiem gospody. Jack i Winifred Davisowie stwierdzili, że nie mogą zdjąć dekoracji z uwagi na gości, którzy przyjechali z Nowego Jorku czy z New Jersey, by spędzić miłe, pogodne święta w starej dobrej Nowej Anglii. Brzęk dzwoneczków, pieczona gęś, choinki... takie tam rzeczy jak zawsze. Dobra tradycja prowincji. Gościom się to należało. Tak mówili i cóż, zapewne mieli rację. Być może życzenia gości, którzy płacą, są ważniejsze od życzeń mieszkańców miasteczka. Ta ich decyzja jednak bardzo się w mieście nie spodobała. Być może była to decyzja słuszna, ale niepopularna. Ci goście nie byli ludźmi stąd. Jack i Winifred również nie byli stąd. Jack bardzo lubił Jima i miał dla niego uznanie. Zawsze mówił, że Jim Mandeville to wspaniały facet.

Al nie był w stanie pojąć, dlaczego Jack nie zachował się jak wszyscy. Davisowie zrobili tyle wysiłku, by ich miasto zaakceptowało, by uznało za swoich, a gdy się to wszystko wydarzyło, narazili się całemu miastu, zachowali się jak obcy, jak przyjezdni.

- Skąd przyjechali? - zapytał Corey.

~ Nie mam pojęcia - odpowiedziała. - Wydaje mi się, że tak jak ty z Nowego Jorku. Przed nimi gospoda należała do Dawso-na Nicholisa. Ten jednak zmarnował ją. Al twierdzi, że Dawson Przerzwał wszystko w karty w swojej własnej gospodzie. Dawso-n<sup>o</sup>wi, który szastał pieniędzmi, Jim nie był już w stanie dawać dalszych pożyczek. Gospodę trzeba już było odnowić. Pokoje

## HIGGINS

były tak zapuszczone, że nikt w nich nie chciał nocować. A Daj wson nie spłacał długów w terminie. Jim, choć mu było przykraj zamknął mu kredyt. Wtedy przyjechał Jack Davis i kupił gosp dę.

Opowiadał ludziom, że i on, i jego żona mają już dość be względnej walki o życie, a tak zawsze mówią ludzie z Noweg Jorku, dlatego sądziłam, że przyjechali stamtąd, choć oni chyb nigdy nie wspominali, skąd są. A jeśli nawet, to nie przy mnie! Dla Jima, dla banku, dla miasta liczyło się tylko to, że gospod prowadzili dobrze, postawili ją na nogi.

Gospoda jest bardzo ważna dla miasta. Przyciąga turystów! a ci przywożą pieniądze. W tamtych czasach nikt nie płacił ta wysokich podatków jak ta gospoda. Oczywiście dzisiaj jest chy! ba inaczej. Motele, osiedla mieszkaniowe. Ale wtedy... Jac" gospodę odnowił, podatki płacił w terminie. Jim go wyraźni popierał. Jack został dokooptowany do rady nadzorczej banku w lecie jeździli razem na ryby.

Kiedy jednak Jim umarł, Jack nie zachował się tak, jak tega oczekiwano. Jakby niczego nie dostrzegał. No cóż, biznes musi się kręcić dalej.

Wzruszyła ramionami.

- W dłuższej perspektywie niewiele im to zaszkodziło - poJ wiedziała. - To, że zignorowali śmierć Jima. Żyli z turystów Przez dłuższy jednak czas nikt z miejscowych do nich nie za| szedł, ani na obiad, ani nawet na drinka. Jechano gdziekol. wiek, do Lenox czy Stockbridge, byle nie do nich. Być moż niewiele na tym stracili, ale w

małym miasteczku ludzie są pa, miętliwi. Być może są jeszcze tacy, cò pamiętają, że wtedy, tamtych dniach Jack popełnił poważny błąd.

**BANKIER**

43

\_ Ja też popełniłam błąd - opowiadała Amelia. - Kiedy widziałam, jak Al zadrećza się tym, co spotkało Jima, usiłowałam przekonać go, że powinien zapomnieć, wyrzucić wszystko z pamięci. Oczywiście i ja nie zapomniałam, ale nie przeżywałam tego tak głęboko, a gdy mówiłam o tym Ałowi, odpowiadał: Oczywiście, że to cię tak nie gnębi, ale nie ty jesteś szefem policji. Nie musisz się takimi sprawami tak przejmować. Ja odpowiadam za policję i za porządek, i za bezpieczeństwo i jak się coś takiego wydarzy, to musi mnie to gnębić".

Gabinet Warrena Oldhama, jedyny maty gabinet w biur firmy Investigations Inc., znajdował się tuż za **Sekretariate** a całe biuro zajmowało pomieszczenia na szesnastym piętrze budynku Valley Bank Tower stojącym w centrum Springfiel w stanie Massachusetts. Jedną ze ścian pokoju była ze sz' Widać stąd było salę, w której kilkanaście osób płci obojga pracowało przy stanowiskach monitorów komputerowych. Dookna na ścianie za biurkiem wychodziły na rzekę Connecticut i most Memorial. Światło wpadające przez te okna do gabinet oślepiało Josepha Corey'a, tak że musiał przesunąć krzesło, widzieć coś więcej niż sylwetkę Oldhama.

Wieczorem w „Gospodzie Pod Jednorożcem” Corey powiódł do Jill:

„Jeśli długo patrzysz pod to światło, zaczyna ci się wydawać że jesteś Marleną Dietrich i że za chwilę wejdzie jeden z jej ekranowych kochanków. W oku będzie miał monokl i ośle cię swoją urodą. Przesuniesz swoje krzesło, by widzieć jej twarz, i zaczynasz się zastanawiać, czy słusznie postąpiłaś. Fa przypomina ci teraz starego, ale jeszcze silnego orła o potęgę nych szponach i błogosławisz Pana Jezusa, że nie jesteś rybą przepływającą pod drzewem, na którym siedzi to ptaszysko”.

Oldham siedział z rękami złożonymi na brzuchu. Siwe, lekko falujące włosy były zaczesane do tyłu, pomarszczona skóra o naga nieco wystające kości policzkowe i wydatną dolną szczękę. Nos miał imponujące rozmiary. Gdy Corey podziękował, Oldham znalazł dla niego czas, gospodarz skinął głową.

## BANKIER

80

\_ Po raz pierwszy słyszę coś takiego - mruknął. - Osiem lat służyłem w armii i dwadzieścia cztery w policji i nigdy nikt mi nie dziękował za poświęcony mu czas.

- To zrozumiałe - powiedział Corey. - Tam panu za czas płacono, a teraz jeszcze płacą panu emeryturę. Ja panu nic nie płacę. Muszę więc przynajmniej podziękować.

Aha - znowu mruknął Oldham, pochylił się do przodu i oparł łokcie na blacie biurka. - A czego pan chce?

- Próbuję wykryć, kto w sześćdziesiątym siódmym zabił Jima Mandeville'a - odpowiedział Corey. - Kto i dlaczego.

- Tak? - trochę nieszczerze zdumiał się Oldham. - No cóż, rozumiem. Prawdę mówiąc, to i ja przed dwudziestu laty chciałem tego samego. Nie ma pan zbyt wielkich szans. Musi się pan nauczyć myśleć kategoriami dnia wczorajszego.

- Nie rozumiem.

- Wiem, że pan nie rozumie - powiedział Oldham. - Dlatego to mówię. Amelia poinformowała mnie, że jest pan prawnikiem. Młodym, świetnym prawnikiem z Nowego Jorku. A w jakiej dziedzinie pan praktykuje?

- Amelia Feldt? - zdziwił się Corey.

- No, a która by? Amelia Earhardt z Kalifornii?

- Amelia mówiła mi, że nie jest pewna, czy pan w ogóle żyje.

- Synu - powiedział Oldham. - W naszym wieku człowiek <sup>Sam</sup> nie ma pewności, czy żyje. Każdy dzień to jeszcze jeden podarunek losu. Byłem na setkach pogrzebów, a każdy nie tylko Pogłębia smutek, ale



niesie też świadomość tego, że kolejny ttoże być twoim pogrzebem.

~ Poradziła mi, bym zatelefonował do koszar w North Adams, gdyż tam mogą wiedzieć, gdzie się pan podziewa.

## 46 HIGGINS

- I zadzwonił pan, a oni powiedzieli, że nie mają pewności czy ktokolwiek wie, co ze mną. Już dawno gdzieś zniknął. Powiedzieli, by zatelefonował pan za kilka dni, a oni popytają. W tym czasie Amelia zadzwoniła do mnie - a ja odpowiedziałem: „Sram na tą sprawą sprzed lat”. Oczywiście nie użyłem takich słów. Amelia i Alowi nie pozwalała używać nieprzyzwoitych przekleństw, a więc i ja ich nie użyłem. Oni uważa, że to wulgarne. Jednak to właśnie pomyślałem. Powiedziałem: „Ten facet się nieco spóźnił, nie sądzisz? Powiem mi co wiem, to nie zabierze zbyt wiele czasu, a potem powiem tal czego nie wiem, na co potrzeba tygodnia”.

- Jesteś w tym, synu, jeszcze nowicjuszem - mówił Oldham. 1 Amelia poradziła ci, byś mnie szukał, a chodziło o to, by mogł mnie uprzedzić, że mnie szukasz. Aby miał czas na zastanowienie się, czy chcę z tobą rozmawiać. I gdybym zdecydował, to nie, wiesz, co by się stało? W North Adams powiedzieliby ci, że nikt o mnie nic nie wie. Teraz ja chciałbym się czegoś dowiedzieć. W jakiej dziedzinie pracujesz?

- Prawo skarbowe i giełdowe. Fuzje i przejmowanie akcji. Przeważnie nielegalne przejęcia - wyjaśnił Corey. Brwi Oldhama zbiegły się, czoło pokryła sieć zmarszczek.

- Coś takiego - cmoknął. - Mówisz o handlu akcjami?

- Fuzje dla uniknięcia odpowiedzialności i przejęcia - powiedział Corey i przypomniał sobie, jak wieczorem

w ich matył pokoju w „Gospodzie Pod Jednorożcem”  
powiedział: „A *moM* on się na mnie rzuci?”

- Pracuję dla firmy Birnam, Barkley, Morris - wyjaśnił. -  
Rfll prezentujemy najczęściej stare korporacje. Czasami  
bywa nowi właściciel, ale stosujący tradycyjną taktykę  
działania. Zespoły które niechętnie decydują się na  
zmianę taktyki, ostrożni ubezpieczające się na każdym  
kroku, coraz częściej stają wobel

## BANKIER

84

problemów, których nie rozumieją. Lubią interesy spokojne, dające niezbyt wielki, ale pewny dochód. Oczywiście, przy obecnym tempie operacji trudno tak pracować. Wokół krążą stada rekinów, które tylko czekają na ofiarę. I to właśnie my pomagamy się bronić. To nasze główne zadanie.

- Innymi słowy bronicie tubylców oszustów przed atakami oszustów nowicjuszy, oczywiście za godziwą zapłatą.

- Tak, całkiem godziwą - przytaknął Corey - ale w pełni na nią zapracowujemy. A pan już chyba zbyt długo przebywa w swoim prowincjonalnym świecie. Nie wiem, co pan wie o giełdzie i akcjach, ale z tego, co pan mówi, wnioskuję, że niezbyt wiele. Trzeba mieć dar przewidywania. Przewidzisz trafnie - stajesz się bogaty, nietrafnie - bankrutujesz.

Oldham prychnął.

- Słusznie, i to wyjaśnia, dlaczego Coca-Cola wycofała z rynku stary produkt, a wypuściła nowy.

- Idiotyczna decyzja - wtrącił Corey. - Powinni się byli nas poradzić.

Oldham milczał, a Corey opowiadał potem Jill: „I ja też milczałem. Siedzieliśmy jak dwóch starych Indian przy ognisku nie wypowiadając słowa. Wydawało mi się, że trwało to godzinę. Słońce musiało minąć ze dwa południki, czy jak się to choler-stwo nazywa. Tam za szybą chodzili ludzie i rozmawiali o Michale Aniele, a ja w milczeniu patrzyłem na niego, on na mnie. W pewnym momencie chrząknął, oparł się o fotel, podniósł

głowę, jakby miał zamiar wychylić kieliszek, wstał, zasłonił okna storami i odwrócił się.

~ Czas na obiad - powiedział. - Jedyne idioci chodzą w Springfield na obiady do restauracji, z wyłączeniem „Mario” oczywiście.

## 48 HIGGINS

Zjedli sałatę, potem, zanim Corey uporał się z jedną trzecią sznycla, Oldham pochłonął porcję pieczonej wieprzowiny! w szarym sosie. Kończył też drugi kieliszek czerwonego wina podczas gdy Corey wypił dopiero połowę pierwszego. Oldham chrząknął:

- Są sprawy, których nie rozumiesz.

- Wiele jest takich spraw - przyznał Corey. Oldham znowu chrząknął.

- No cóż, trzeba sobie pojeść - pogłodził się po podbródku. I

- Oczywiście, ale wcale nie trzeba pożerać wszystkiego jak rei kin. Nic z talerza nie ucieknie.

- Tak, ale stygnie. To, co zimne i martwe, wcale mnie nie pol cięga. Widziałem tego zbyt wiele, a pan nie.

- Oczywiście - przyznał Corey. - Ja w ogóle zimnego, marj twego nie widziałem.

Oldham skinął głową. Podniósł kieliszek i poprzez szkło po | patrzył na Coreya.

- Czterech to idealna grupa do obrabowania banku - powiM dział. - Trzech wchodzi do środka, a jeden zostaje w samoch\* dzie. Rabują i uciekają z forszą.

Prowadząc w tej sprawie śledztwo zaczynasz od tego, co najj prostsze - znasz motyw. Czterech facetów potrzebowało fors! Bank miał tę forsię. Tamci weszli i zabrali. - Łyknął wina.

- Twoim zadaniem jest wykrycie, kim byli ci ludzie.

Czasam są z tym kłopoty. Na ogół faceci nie dzwonią do ciebie i nie m\* wią: „Uważaj dzisiaj na oddział

Hampden Trust w Indian Ol | chard. Będziemy tam

mieli pewien interes do załatwienia! Wiesz jednak doskonale, o co facetom chodziło. Wiesz, co zai brali. Wiesz, co z tym zrobią. Wysuwasz czółki, wysyłasz swoifi!

## BANKIER

88

ludzi i wcześniej czy później przeważnie ich dopadasz. Nie zawsze, ale w większości wypadków. Ci ludzie kierują się motywami, które ich wcześniej czy później zdradzają. Nie wiesz jedynie, kim są ci ludzie. Nie złapiesz ich tylko wtedy, jeśli okazują się mądrzy, ale to się zdarza bardzo rzadko. Banki obrabowują przeważnie chłopcy. Grają na wyścigach. Noszą drogie garnitury. Podrywają dziewczęta. Mają duże samochody. Ekspedienci sklepowi nie obrabowują banków. Tak więc łapiesz ich i jest to przeważnie zdumiewająco łatwe. Prawdziwi włamywacze, tacy, których możesz złapać, jeśli dopisze ci wyjątkowe szczęście, muszą mieć wiele forsy. Oni jednak nie szastają nią. Planują każdą akcję wtedy, kiedy mają jeszcze pieniądze z poprzedniej. Tak zawsze robią. Tylko amatorzy wydają całą forszę. Bardzo niewielu włamywaczy po napadzie na bank potrafi żyć skromnie. Przyczaić się i czekać. Przeważnie nie chcą wracać do zwykłego, szarego życia. Wyznają zasadę: masz wielką forszę, żyjesz na szerokiej stopie. Ten, co napada na banki, musi być szczególnym typem człowieka, by rzeczywiście zrobić karierę. W ogromnej większości wypadków, jeśli już ktoś ma temperament, który popycha go do rabunku, nie ma cierpliwości, by potem schować forszę pod materac, siedzieć cicho jak pod korcem i czekać. Rabuje, bo nie ma forsy, a jak już ją ma, to trzeba wydawać. Każdy jest niewolnikiem własnego charakteru. Nie możemy być lepsi, niż jesteśmy.



- Przypominam jednak, że bank Jima Mandeville'a nie został obrabowany. Zabito natomiast człowieka.

- A więc sądzi pan, że to było morderstwo? - zapytał Corey.

~ No cóż - powiedział Oldham. - Kolumb odkrył Santo Domingo, a przypuszczał, że coś całkiem innego. Jednak przyzna

## HIGGINS

ję, rzeczywiście sędzę, że ktoś go załatwił. Bardzo wątpię, by tal ki człowiek jak Jim Mandeville zachował się następująco:

- Po pierwsze - by z jakichś nieznanym nikomu przyczyn zerl wał się z łóżka przed świtem, ubrał się i pognał do banku. Nafl bardziej prawdopodobne jest to, że otrzymał wezwani\* telefoniczne. To jedynie tłumaczy, dlaczego facet, który potraw się zmusić do wstania tak wcześnie jedynie w sezonie połowM pstrągów, zrywa się o porze, w której nawet pstrągi jeszcze śpią i wylatuje z domu, choć nie może lecieć nad rzekę. Oczywiście\* miał jakiś powód, ale to nie były pstrągi. Kiedy więc wyeliminuje się wszystkie powody, z wyjątkiem jednego, to ten jeden je powodem rzeczywistym.

Problem polega na tym, że nie wiemy, kto dzwonił. Kiec pracowałem nad tą sprawą, nie udało mi się tego ustalić, wą pię, czy panu to się uda.

Ten, co dzwonił, miał po temu swoje powody i jeśli jeszczej żyje, można by go oskarżyć o współudział w morderstwie. Je nie żyje, to ani pan, ani w ogóle nikt się już od niego niczeg nie dowie. I wątpię, by ktokolwiek chciał dziś grać chojralj i zgłosił się do pana czy do kogokolwiek innego i powiedział „To właśnie ja dzwoniłem tego ranka do Jima MandevilleJ i wpuściłem go w maliny, w wyniku czego został załatwiony”.

Po drugie: Wróćmy na chwilę do napadów na banki. Rabus obrabowują banki, by zdobyć forszę. Jeśli Jim Mandeville *mi* jakieś złe cechy charakteru, a miał -

zabijał ptaki i drobną zwi<sup>3</sup> rzyne, był zarozumiały na punkcie swoich umiejętności bal kierskich, no cóż... Jeszcze do tego wróćę. Wady, jakie i ■ mam, i pan, a jeśli jeszcze nie, to będzie pan je miał, jak się : starzeje. Wieczorem tego dnia w „Gospodzie „Pod Jednorożcem' rey opowiadał Jill:

## BANKIER

92

- Zapytał mnie, ile mam lat, a gdy odpowiedziałem, że dwadzieścia dziewięć, popatrzył na mnie nachmurzony i mruknął:

I ja też kiedyś miałem dwadzieścia dziewięć. Nie pamiętam nazbyt dokładnie, ale wiem, że musiałem mieć. Nic w tym szczególnego. Dlatego pewnie nie pamiętam".

„To musi być straszny facet" - zawyrokowała Jill.

„Oczywiście - zgodził się Joe. - Spotykałem o wiele sympatyczniejsze gady niż on. Był kiedyś zawodowym żołnierzem i jak przypuszczam, nikt mu nigdy nie wytłumaczył, że wojna już się skończyła. On na zawsze pozostanie na wojnie".

- Jima Mandeville'a - mówił Oldham - zgubiły nie złe cechy jego charakteru, lecz pieniądze. Nawet nie jego własne pieniądze. Miał coś, co chcieli mieć inni. On z tego czegoś nie chciał zrezygnować i tamci go zabili.

- A sądzę, że tym czymś była posiadłość. Były place. Place, które zakupił od zakonu. Człowiekowi, który go zabił nie zależało na tych placach. On zabił dla pieniędzy, które za to otrzymał. Wykonał swoje i zapłacili mu. Ten, co do niego dzwonił, też go nie zabił. I on to zrobił dla pieniędzy. Ten, co zabił, i ten, co dzwonił, zostali wynajęci przez tego, co chciał dostać te place, a którego w tym czasie w ogóle nie było w okolicy. Wygrzewał się w łóżku wiele mil stąd. To jednak on był tym mądrym, ostrożnym bandytą. Zapewniam pana. Dlatego właśnie nikt go nie złapał.

- Nasuwa się oczywiste pytanie, kto to był? Kim był ten członek, który chciał dostać te place? - zapytał Corey.

- Nigdy na to nie wpadłem. W siedemdziesiątym szóstym Przeszedłem na emeryturę i zająłem się innymi sprawami. Gdyby nie to, może by mi się udało. Byłem tego blisko, kiedy odna-<sup>1a7</sup>-łem Gilberta Rogersa, adwokata pracującego dla banku. I w

## HIGGINS

ogóle dla wszystkich potrzebujących adwokata i posiadających domy i nieruchomości w Shropshire.

Sądzę, że to on dzwoni!. 1

- Tak pan myśli? Dlaczego? - pyta! Corey.

Podeszła kelnerka. Oldham zamówił kawę, a Corey dorzuciłH

-1 dla mnie proszę.

Oldham westchnął i kontynuował:

- Analizowałem wszystko. Wyeliminowałem inne możliwości. W każdym razie te, o których wiedziałem. Dzwonił ktoś, kogo Mandeville dobrze znał i komu ufał. Ktoś, kto znał i lima, i jego bank. Gdyby pan zadzwonił, nie zerwałby się i nie poleciał do banku. Gdybym ja dzwonił, też by tego nie zrobił. Jestem niemal pewny, że dzwonił Gil Rogers. Był radcą prawnym banku i osobistym adwokatem Jima Mandeville'a. Wiedział doskonale, co Jim odziedziczył i co kupił, i gdzie pożyczzał pieniądze. On spisywał akt własności i nabycia parceli od zakonników, które przed laty otrzymali od pewnego oszusta, facet zapisał je na konwent, by nie płacić podatku od nieruchomości. Potem przyszło te podatki płacić ojcom, a ci nie mieli forsy i musieli parcelę sprzedać. Wtedy, pod koniec lat pięćdziesiątych, niewiele kosztowały i Jim Mandeville natychmiast je kupił. Ponad sto akrów parceli graniczących z Overlook Hills. Połowę sumy musiał pożyczyć. Pięćset tysięcy dolarów. Suma niemała, ale mała, jeśli się weźmie pod uwagę wartość parcel.

Rozmawiałem z Rogersem, ale twierdził, że on nie dzwonił. Dodał, że moje pytanie go zaszokowało. Podobno był w domu, spał i kiedy usłyszał, co się stało, był załamany. Oczywiście nawet jeśli dzwonił, tak by właśnie powiedział, a ja nie potrafił' bym udowodnić, że kłamie. Rogersowie mieszkają w Shropshire, a rozmowy lokalne nie są rejestrowane.

BANKIER

96

Fakt, że potem załatwiał sprzedaż tych parceli, o niczym nie świadczy. Zleciła mu załatwienie tej transakcji Mimi Mandevil-**le**. Był przecież adwokatem rodziny. Ona nie chciała mieć już nic wspólnego ani z domem, ani z tymi parcelami.

\_ Z akt wynika, że szef policji Feldt sześciokrotnie przesłuchiwał panią Mandeville - powiedział Corey. - Wygląda na to, że **po** śmierci męża rzeczywiście nie była zainteresowana zatrzymaniem tych nieruchomości.

- Chyba tak - zgodził się Oldham.

Kelnerka przyniosła kawę, a kiedy odeszła, ciągnął dalej:

- Nie zrozum mnie źle. Nie kopię umarłaków. Al Feldt i jego żona byli dla mnie ogromnie mili. Przyjmowali mnie w swoim domu. - Wyprostował się, łyknął kawy i kontynuował: - Ponieważ tak bardzo ich lubiłem, najprawdopodobniej popełniłem błąd. Pozostawiłem Ałowi całkowicie wolną rękę w kontaktach z Mimi. Corey milczał, a Oldham mówił tonem niemal przeproszącym:

- Byli starymi przyjaciółmi, a ona robiła wrażenie załamanej. W **śledztwie** o morderstwo pierwsza zasada brzmi: Wymagło-wać porządnie współmałżonka.

Wydaje mi się, że ja odstąpiłem °**d tej** zasady.

Widzi pan, możliwe, że ona wiedziała o czymś, z czego nie **zda**wała sobie nawet sprawy, ale nie można też wykluczyć, że **Współdziałała** w morderstwie. Możliwe czy nie, nie ma to zna-czenia. Nie wykluczyłem żadnej z



tych ewentualności, a więc **nie** wykonałem mojego zadania tak, jak **należało**.

- Jak pan widzi, mogła, po pierwsze, wiedzieć, kto to zrobił, **choć** sobie tego nie uświadamiała. To zdarza się wcale czę-<sup>to</sup>- Ludzie nie na wszystko zwracają uwagę. Nie dostrzegają

## HIGGINS

ważnych szczegółów. A Al był zbyt miękkim facetem, by to z niej wyrwać. Był tu zresztą ograniczony, pan wie, co mam *m* myśli? Nie wiedział, jakie zadawać pytania, które prowadziłyby do ujawnienia faceta, co wynajął mordercę. Był doskonały\* szefem policji w małym, cichym miasteczku. Był przykładny\* obywatelem. To bardzo ważne i wystarcza, kiedy się ma do czynienia z wypadkiem samochodowym. Z powodzią. Kiedy kolmuś zginie ukochany pies lub kiedy ktoś w nocy urządza u siebie zbyt głośne prywatki. - Westchnął. - W takim miasteczku jak Shropshire nie ma się zbyt często do czynienia z planowanymi mordercami.

Pochylił się do przodu i palcem wskazującym-stuknął w blat stołu. Zmarszczył czoło.

- Kiedy jednak ma się do czynienia z zabójstwem na zamówienie, taki szef policji nie może sobie poradzić. - Nalał śmiei tanki do kawy i przyciągnął filiżankę. Wziął łyżkę i zamieszał. Potrzęsnał głową. - Al po prostu nie wiedział, o co pytać. Nil wiedział, jak naciskać. Ona była jego starym przyjacielenj W każdym razie i Al, i Amelia byli o tym przekonani.

- A pan nie sądzi, że Feldtowie i Mandeville'owie byli przyjaciółmi? - zapytał Corey.

Oldham wzruszył ramionami i nie przestawał mieszać kawy.

- Feldtowie sądzili, że są przyjaciółmi, może i byli. Nie jestem pewien, czy Mandeville'owie myśleli tak samo. - Przestaj mieszać kawę i patrzył na Coreya.

- Jim Mandeville nie był głupcem, a jego żona była od niego mądrzejsza. Byli bardzo przebiegli, szczególnie wtedy gdy kpi kietowali mieszkańców miasteczka. Nawozili glebę, by zebrał jak najlepsze plony. Dobry, poczciwy człowiek, jakim był M Feldt, nazywał Jima „Księciem”. A więc miał tendencje do głcjl

## BANKIER

100

ryfikowania tego, co tamten robił. Jim Mandeville imponował mieszkańcom Shropshire. Starał się, by tak było, bo to pomagało w interesach i pomagało miastu, a co pomagało miastu, było dla niego korzystne. Jacka Davisa lubił, bo ten doskonale prowadził gospodę.

Wziął go do rady nadzorczej banku, bo chciał go w ten sposób kontrolować. Uważał, że jeśli tamten pożyczycza u niego pieniądze, będzie robił to, co mu się powie.

Gdyby Jack stwarzał mu jakieś problemy, mógł go tak załatwić, że tamten znalazłby się na ulicy.

Potrząsnął głową.

- Niech się pan nie okłamuje. W każdym razie nie tak, jak okłamywali się Al i Amelia. Jim Mandeville był niezwykle wyrafinowanym facetem. Chciał, by go szanowano, chodziło jednak nie tylko o szacunek.

Wiedział, że pewne sprawy mogą się potoczyć po jego myśli - i wtedy można się na nich poważnie wzbogacić.

I chciał, by zapadały takie decyzje jakich on sobie życzył. I tak właśnie było, kiedy kongregacja zakonna postanowiła sprzedać parcele nad jeziorem. Kupił je i wiedział, dlaczego. Gdyby żył, działki zostałyby zagospodarowane, teren uzbrojony. To był wyśmienity plan. Tak dobry, że ktoś, kto o tym wiedział, zdecydował się go pozbyć.

Właśnie dlatego te świąteczne przyjęcia tak się Jimowi opłacały. Płacił za whisky, za indyki, za szynkę, ale zapewniał sobie decyzje dotyczące rozwoju miasta, tak że plany obejmowały działki zakupione od konwentu. Uzyskiwał zwrot kosztów ze znaczną nawiązką.

Jak pan widzi, byłem z panem bardzo szczery - kontynuował. ~ Tak jak nie byłem w tamtych latach, kiedy jeszcze pozostawałem w czynnej służbie. W tej sprawie się nie popisałem. Miałem rozległy teren działania i kiedy jakiś lokalny policjant chciał mi Pomagać, nie miałem nic przeciwko temu. Mimi jednak powi

## HIGGINS

nieniem był przesłuchać sam. Była to niezwykle zimna kobie Uważała się za arystokratkę. Grała taką rolę, bo jak sądzę, magalo to Jimowi w interesach. A kiedy umarł, też nie mi powodów do wyrzeczenia się swojej roli. Po co mieszać się] pospółstwem i pokazywać mu swój ból? A więc zamknęła s? w sobie.

A jeśli tego bólu w rzeczywistości nie było? Jeśli to jej opan wanie było wyrazem skrywanego zadowolenia, satysfakcji? C przypadkiem nie była już Jimem znudzona do ostateczności Wygląda na to, że była.

Miała jakichś przyjaciół spoza Shro~ hire, którzy się w miasteczku nigdy nie pokazywali. Spotyk się gdzieś na wakacjach, w podróży. Może oni mieli kontakt szczególnego rodzaju? Może przez nich Mimi wynajęła kogoś Kogoś, kto jej prowincjonalnego męża wysłał do Pana Bogal A potem ona sama się przyczaiła, odczekała, aż ja zrezygnuję z śledztwa, a jej pozostanie jedynie Al z tą swoją głęboką wiarą yj przyjaźń. I potem sprzedała te parcele. To wszystko jest bardzo prawdopodobne, synu, bardzo prawdopodobne.

Jednak tylko prawdopodobne - ciągnął Oldham - Alowi coi takiego oczywiście przez myśl nie przeszło. Nie brał pod uwagi tego, że Mimi mogła załatwić męża. Mnie to jednak przyszło dd głowy. Powinienem był to wyjaśnić, a nie pozostawić wszystkiej go Alowi. - Westchnął głęboko. - No cóż, nie jestem łaskawi dla babki pańskiej żony.

Corey wzruszył ramionami.

- Już nie żyje - powiedział. - Nigdy jej nie spotkałem, a żona ledwo ją pamięta. Natomiast śmierć dziadka ciągle zaprzęta jej głowę. Zająłem się tym, bo to, co robiłem do tej pory, ogłupiaj A żona chciała się tu przenieść. I im bardziej się w to wgłębiała tym bardziej mnie to wciąga. Takiego amatora jak ja! Tyle wątków nie zbadanych i wiodących nie wiadomo dokąd. Nil

## BANKIER

104

mam wątpliwości, że Jim Mandeville został zamordowany. I chyba nawet można zrozumieć powody. Chcę znaleźć tego, co to zrobił, i dowiedzieć się, dlaczego.

\_ Kto, nie wiem - przerwał mu Oldham. - Wiem, dlaczego. Zabito go, bo wyłaniała się okazja zrobienia doskonałego interesu. Tak dobrego, że ktoś wynajął fachowca, który zabił, a interes zrobił sam.



## VI

Właściciel gospody „Pod Jednorożcem”, jak sam zwykł ma| wiać, „w poprzednim życiu z poprzednią żoną” był księgowym. Dlatego też w obszernym i wygodnym pomieszczeniu czytelni reklamowanej w kolorowej ulotce gospody znaleźć można było na półkach komplety zarządzeń finansowych i poradniki podatkowe za okres minionych czterdziestu lat.

- Mogło być gorzej - stwierdziła Jill Corey wertując katalogi - Wyobraź sobie, że mógł być właścicielem zakładu pogrzebowego. Jakąż literaturę zaserwowałyby nam wtedy!

- Prawdę mówiąc, byłoby to o wiele lepsze - powiedział Joe: Corey. - Mielibyśmy kilka dobrych traktatów na temat balsamowania zwłok, procedury pogrzebowej, sinicy, a więc coś, co właśnie teraz byłoby mi o wiele bardziej przydatne niż „Sto najtrafniejszych wyroków Trybunału Handlowego” czy inne podobne szpargały, jakie tu widzisz. A tak, ponieważ pada, możemy sobie usiąść przy kominku i poczytać jakieś wyroki sądowe w sprawach o przestępstwa podatkowe.

- Nie rozczulaj się tak nad sobą - przerwała mu. - Nie popalaj we frustrację. Ja ci wcale nie każę grzebać się w tajemniczej śmierci dziadka.

- Nie każesz?

- Oczywiście - potwierdziła. - Jeśli chcesz to rzucić i wrócić do normalnego życia, zgadzam się. Wystarczy mi świadomość

że mąż był gotów zostawić wszystko i iść za mną.

- Czy to u ciebie zapowiedź lepszego humoru po obiedzie? "1

BANKIER

107

\_ Być może - odpowiedziała. - Co wcale nie wyklucza równie dobrego humoru wieczorem. A co z tobą? Nie zmęczyłeś się poranną wyprawą?

- Nie - uśmiechnął się. - Dobry humor po południu wcale nie musi wykluczać równie dobrego wieczorem.

\_ A więc zachowywał się agresywnie - stwierdziła. Siedziała przed toaletką i poprawiała przed lustrem makijaż.

Joe leżał wyciągnięty na łóżku, które było dla niego za **krótkie**, jako że wykonano je w połowie XIX stulecia dla ówczesnych gości gospody.

- Nie był taki przystępny jak ty, jeśli to właśnie miałaś na **myśli** - odpowiedział.

- Czy wyglądało na to, że może zagrazać w jakiś sposób twoim interesom? - zapytała.

- Oczywiście. Porucznik Oldham pochodzi ze starej szkoły. Nie wyzwolił się z nawyków i przyzwyczajzeń nabytych przez dziesięciolecia. Kiedy podejmował śledztwo w sprawie **zabójstwa**, był szefem. To, co powiedział, było święte i nikt nie miał **prawa** mieszać się do czegokolwiek. Kiedy przeszedł na **emeryturę**, nadal trwał w przekonaniu, że w sprawach, które **prowadził**, jego głos jest decydujący. Czy jednak istotnie jego głos był wtedy decydujący? Tak mu się oczywiście wydawało, i wydaje **nadal**, i nie cierpi intruzów włączających na jego terytorium. Nie **znosi** zwłaszcza amatorów wścibiających nos w nie swoje sprawy, dokuczliwych, zacierających ślady. W pojęciu Warrena Old-**hama** barierki, jakie przed dwudziestoma trzema

laty ustawił **Wokół** budynku banku, w którym  
znaleziono trupa, stoją tam **do** dnia dzisiejszego, i bez  
jego zgody nikomu nie wolno ich Przekroczyć. Trudno  
to zrozumieć. Nie posuwałbym się aż tak **daleko**, by  
twierdzić, że Warren Oldham nikomu nie wierzy, ale

## HIGGINS

z całą pewnością nie zawiera szybko przyjaźni.

Najpierw pr głąda się człowiekowi i nigdy nie spieszy się z oceną. Ma nadzieję, że jeśli wykażę się stanowczością, konsekwencją i uporem, po upływie sześciu miesięcy lub roku zaczniesz mi ufać. Na razie jednak jestem podejrzanym typem, który go nudzi i uporem wtyka nos w jego sprawy.

- Może masz rację - szcotokowała teraz włosy. - Być może wie, że coś przeoczył, i obawia się, byś ty tego nie znalazł i nie skompromitował go w dwadzieścia lat po śledztwie.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Oczywiście wie, że coś przeoczył. Jest przekonany, że twojego dziadka mordowano. Jak sam mówi, wie również i to, że „jakiś skurwysyn postarał się wszystkich oszukać, a ja kupiłem to razem z innymi, ponieważ nie potrafiłem udowodnić, że jesteście oszukiwani. W rezultacie ten skurwysyn mnie pokonał”. Oni przypuszczają, że tym skurwysynem jest Rogers. - Wtchnął. - Być może powinienem być zostac księgowym. Łatwiej\* by mi wtedy poszło z Oldhamem niż w sytuacji, w której jeste młodszą wersją Rogersa.

Usiadł na łóżku i powiedział:

- Chciałbym zapalić papierosa.

Odsunęła krzesło do tyłu i z pewnej odległości przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

- Nie wolno ci palić, wiesz o tym. Jeśli nie oszukujesz, nie palisz od ośmiu miesięcy. Przestałeś kaszleć i

chrząkać. Przyje nie pachniesz i dobrze śpisz. Nie  
wypalasz dziur w ubraniu i n, masz stresów.

- Niemniej chce mi się zapalić - upierał się. - Z papierose  
lżej się żyje.

Stała bokiem do lustra.

## BANKIER

111

\_ Czy nie sądzisz, że powinnam przejść zabieg powiększenia piersi? - zapytała. - Są teraz nieproporcjonalnie małe w stosunku do mego wzrostu. Figurę mam w porządku z wyjątkiem piersi. - Położyła rękę na lewej piersi. - Powinnam też częściej gimnastykować nogi.

\_ Nie sądzę, byśmy powinni wydawać forszę, której nie mamy, na nikomu niepotrzebne zabiegi - mówił spokojnie, ale z wewnętrznym przekonaniem. - Uzgodniliśmy już, że kupujemy dom, nasz pierwszy wspólny dom, i odkładamy pieniądze na pierwszą wpłatę. Jeśli coś zostanie, kupujemy psa i jeśli się uda, dwa samochody. Nie sądzę też, by była ci potrzebna gimnastyka nóg czy jakaś specjalna dieta. Oboje pracujemy i oboje spędzamy cały dzień na nogach. Z tego żyjemy. Nie będziemy zarabiali, nie będziemy jedli. Schudniesz, a twój biust stanie się jeszcze mniejszy. I jak się będziesz czuła? Osłabniesz, nie będziesz się mogła gimnastykować jak teraz. Dopiero wpadniesz w depresję.

Odwróciła głowę od lustra i patrzyła na niego.

- Nic odpowiada mi poziom tej konwersacji - stwierdziła. - Mę pod prysznic.

Zdjął nogi z łóżka i oświadczył:

-1 ja muszę się opłukać.

~ Powiedział mi, że dzwonił do prokuratora okręgowego <sup>1</sup> Podał mu moje nazwisko - jedli właśnie zupę cebulową w restauracji „Turning Brook Inn” i Corey podniósł głowę znad ta-<sup>lerza</sup>. - Nie mogę

powiedzieć, by zaprzyjaźnił się ze mną, ale kiedy zjedliśmy obiad, stał się bardziej przystępny. Powiedział: "Niech pan nie oczekuje niczego szczególnego. On niewiele <sup>Wle-</sup> To równie młody facet jak pan. Tutejszy zresztą. Skończył Prawo i pracował w urzędzie prokuratora federalnego. Mówio



no mi, że był dobry. Wsadzał różnych tam do ciupy i nie płakał nad nimi. W takiej pracy trzeba być twardym".

Rzecz w tym, że on nie zna sprawy, nawet jeśli jej akta si u niego. Kiedy zabito Jima Mandeville'a, nie było jeszcze prokuratorskiego okręgu w Berkshire. Shrosphirc należało do okręgu w Hampden. W tamtych latach sprawę prowadził John Adams. W ogóle wszystko wyglądało inaczej. Nie było tyle IM dzi. Prokurator wpadał trzy razy do roku, rozmawiał z szeryfeni z policjantami, wypytywał, co się dzieje, i to wystarczyło. Terał ludzi dwa razy tyle, lepsze drogi, więcej okręgów prokuratotj skich. Ten podział nastąpił jednak w wiele lat po śmierci Mi deville'a".

- A więc sprawę zapudłowano - powiedziałem mu wted Schowano do szuflady i jakby o niej zapomniano. Ale dlaczego

tak zrobiono? Dlaczego nikt się tym nie interesował?

- Wahał się z odpowiedzią, i wreszcie wydusił z siebie: „nie była prosta sprawa. Lekarz sądowy był wyjątkowym głułkiem, ale również najmądrzejszy byłby w kropce. Nie mógłby stwierdzić, że to było samobójstwo. Nie mógłby również st **fnA** dzić, że było to morderstwo, gdyż na to nie było dowodów.

Sztucer był pokryty krwią i nie potrafiliśmy powiedzieć < czego. W ogóle skąd tyle krwi w tym już niemłodym facecw Nie rozumiałem, jak się to stało, że facet odstrzelił sobie cały tył głowy, a potem zakrwawił sobie ręce i broń. Nie rozumiałem | wtedy i nie rozumiem dzisiaj. Ktoś musiał go tym wymazać.

A jeśli ktoś to zrobił, to chyba tylko po to, by zniszczyć ślady | palców. Jeśli one tam były. Facet, który go załatwił, musiał być profesjonalistą. To są moje domysły, ale niczego to nie zmienia. W każdym razie była tam masa zakrzepłej krwi i nie mógł jej było usunąć nie usuwając śladów. Może jednak morderca zapomniał o rękawiczkach.

## BANKIER

115

W rezultacie po tylu latach siedzę tu przed panem i mogę powiedzieć, że wiem, co się wydarzyło. Ktoś, kogo Mandeville znalazł i komu ufał, zadzwonił do niego w nocy do domu. Ten ktoś wiedział wiele o Mandeville'u, znał jego gabinet i wiedział, że trzyma tam sztucer.

Do tego gabinetu wchodziło niewielu ludzi. Tylko tacy, którym Mandeville rzeczywiście ufał. Z innymi rozmawiał albo w sali konferencyjnej, albo przy jednym z biurk na parterze w hali operacyjnej. Jim Mandeville nie był człowiekiem dostępnym. On tylko takiego udawał. Do gabinetu zapraszał jedynie tych, których dobrze znał. Swoje strzelby i sztucery często zabierał do domu, by je oczyścić, naoliwić, wypolerować. Ten ktoś, kto dzwonił, musiał być w gabinecie kilka dni przed całym wydarzeniem, gdyż dobrze wiedział, że sztucer tam jest.

Co więcej, znał jego kaliber. Mandeville bardzo ostrożnie obchodził się z bronią. Al Feldt, który zrobiłby dla niego absolutnie wszystko, dałby mu nawet zezwolenie na posiadanie karabinu maszynowego. Mandeville był jednak ogromnie ostrożny. Nigdy nie odkładał do szafy broni naładowanej. Kiedy się wybierał na polowanie czy na strzelanie do rzutków, naboje miał zawsze w samochodzie albo w kieszeni kurtki. Sztucer był również nienaładowany. Ten, kto się nim posłużył, musiał mieć własną amunicję, a więc znał kaliber broni.

Wcale nie twierdzą, że ten, co pociągnął za spust, i ten, co dzwonił, to jedna i ta sama osoba. Raczej nie. Sądzę natomiast, że ten, co dzwonił, wiedział, co nastąpi po jego telefonie. Prawdopodobnie był on w zмовie z tym, który chciał, by Mandel sprzątnięto, ale myślę, że nigdy, ani przedtem, ani potem, nie spotkał faceta, który strzelał. Pański uczony kolega miał chyba rację. Ten, co strzelał, był zawodowcem. Douczonym, ostrożnym i szybkim w działaniu. Najprawdopo

dobniej nigdy nie poznał człowieka, który mu płacił. ZateleM nowano do niego, ktoś umówił się z nim w jakimś barze i tam przekazano mu kopertę wypchaną pieniędzmi. Wsunął kopci w kieszeń, dokończył drinka i wyszedł. Pojechał, gdzie kazał i wykonał robotę, której się podjął, po czym szybko wrócił tam, skąd przyjechał. Teraz będę zgadywał, ale prowadziłem wiele spraw i najeża ściej odgadywałem prawidłowo. Otóż sądzę, że ten profesjonalista odbył rozmowę telefoniczną z facetem, której! Mandeville ufał. On właśnie powiedział naszemu profesjonalij ście, że wszystko gra, a cel wyjeżdża właśnie do banku. Profesjonalista ubrał się i do kieszeni wsadził rewolwer. Pojechał #j banku i zobaczył wóz Mandeville'a. Wylazł z samochodu i poszedł do tylnego wejścia. Otworzył i wszedł po schodach na piętro. Powiedziano mu wcześniej, gdzie jest gabinet, a może bi już tam kiedyś. Idąc na górę wyjął z kieszeni rewolwer. Wszei do gabinetu, gdzie czekał już Mandeville. Zaskoczył go, gds nie był tym człowiekiem, który dzwonił i nakłonił go do przew ścia do banku. To był ktoś inny, ktoś z. rewolwerem w ręce i\* ogóle co ten facet tu robił? Cud boski, że nie dostał od razuM wału, co nam wszystkim oszczędziłoby mnóstwa kłopotów.

Nasz profesjonalista trzymając Mandeville'a na muszce rewolweru wyjął z szafy sztucer. Załadował go jednym naboje śrutowym, czego na ogół się nie robi. Kazał Mandevilie'ow wejść do łazienki, po czym przystawił lufę sztucera do podbrół ka bankiera. Mandeville

podniósł ręce. Być może prosił o dał wanie mu życia.  
Oczywiście nie zdało się to na Profesjonalista pociągnął  
na cyngiel i było po wszystkim. *Kfm* i mózg  
Mandeville'a rozprysły się na kafelkach ścian. Mordefł  
wymazał w tym sztucer, który następnie włożył w ręce  
trupa, **II** takiej pozie znaleźliśmy Mandeville'a. Zabójca  
wyszedł tą sa<i drogą, którą wszedł. Bez przeszkód. W  
pobliżu nikt nie *mi&M*

BANKIER

119

^ Nikt niczego nie słyszał i nie widział. Morderca wsiadł do wozu i wyjechał z parkingu i w kierunku północnym".

\_ Dlaczego północnym? - zapytałem Oldhama.

„Były tylko dwie możliwości - odpowiedział. - Jadąc na południe trzeba przejechać przez miasto i zawsze istnieje ryzyko, że ktoś cię zobaczy. A jeśli w tym małym miasteczku ktoś zobaczy cię o tej porze, może zapamiętać. Kiedy jedziesz na północ, ryzyko spotkania kogoś jest mniejsze. Dojeżdża się do między-stanowej autostrady i można jechać, dokąd się chce - do Albany, do Springfield czy do Hartford. Można tam oddać samochód i zniknąć.

Szansę złapania mordercy są znikome, jeśli nie wiadomo, kto go wynajął. Trzeba znać motyw działania. Ten, co wynajął mordercę, jest jednak sprytny, przyczytał się. Uważał, że wdowa też niczego nie ujawni, i miał rację. Gdy tylko pochowano jej męża, Mimi Mandeville myślała wyłącznie o tym, jak wynieść się z Shropshire. Doszła do wniosku, że jej życie bez Jima będzie łatwiejsze daleko od tego miasteczka. Wezwała więc swego przyjaciela i adwokata Gilberta Rogersa i powiedziała mu: "Gil, sprzedaj to wszystko», a Gil wykonał, o co go poproszono.

Nie wiedziała tylko jednego, na co i myśmy też nie wpadli: że część majątku była już sprzedana. Bardzo mi wstyd, że przeoczyliśmy ten szczegół".

Gdy kelnerka zabrała talerze z nie dojedzonym stekiem, Co-rey powiedział do Jill:

- Twój dziadek był bogaty, ale na skalę małego miasteczka. Miał więcej forsy niż którykolwiek z mieszkańców Shropshire, <sup>ale</sup> to mu nie wystarczało. Kiedy konwent postanowił sprzedać <sup>le</sup> Parcele nad jeziorem, Mandeville wiedział, że ziemia ta za



dziesięć czy dwadzieścia lat będzie warta wielokrotnie więcej! Czas dla niego nie miał znaczenia. Był w znakomitej formie i miał pięćdziesiąt pięć lat i planował życie co najmniej do dziei wiećdziesiątki. Miał więc czas na zrobienie majątku.

Nie miał natomiast dość gotówki, by sfinansować transakcje! Założył więc depozyt powierniczy, którego sygnatariuszami byli on i Gil Rogers, a z depozytu mieli korzystać on i Mimi, a w wypadku ich śmierci - córki, twoja matka i ciotka. Ziemi ni! można było sprzedać do chwili pełnej spłaty długów. Nieruchd | mość więc czekała spokojnie i nabierała wartości.

Twój dziadek był również człowiekiem przewidującym i mądrym - kontynuował opowieść. - Wiedział, że warto zainwestować w nieruchomość konwentu, ale gdyby chciał korzystać jedynie z własnych funduszy, musiałby naruszyć zasoby banku. To oznaczało, że musiał zaciągnąć pożyczkę. Był zbyt doświadczonym bankierem, by narażać własny bank. Zaczął się więc starać o pożyczkę hipoteczną, wieloletnią i nisko oprocentowaną. Pożyczkę zaciągnął na szczególnych warunkach. Przez dziesięć lat nie płacił nic, a po tych dziesięciu latach miał zapłacić od razu całą sumę plus pięćdziesiąt procent wynikających z oprocentowania. Jak tę sumę zamierzał zebrać, to już jego sprawa.

Oczywiście podejmował pewne ryzyko. Liczył, iż wartość pa! celi wzrośnie tak, że bez trudności pokryje pożyczkę z oprocentowaniem. Ryzykował również udzielając pożyczki. Pięćdziesięciu latach Mandeville

mógł się okazać niewypłacalny,  $M$  było wprawdzie mało prawdopodobne, choć niewykluczone! Mógł przedwcześnie umrzeć, wartość pozostawionego mierni mogła nie wystarczyć na spłatę zadłużenia, a spadkobiercy mogli odmówić spłacania długu z innych źródeł. Tak więc ryzyka

BANKIER

123

wały obie strony, ale tylko w taki sposób powstają wielkie fortuny.

Nikt nie potrafił przewidzieć tego, co przyniosło życie. Administracja Johnsona zabrnęła w wojnę wietnamską i liczne programy rozwoju kraju, które finansowała bez podnoszenia podatków, co oczywiście spowodowało ogromną inflację. Na arenę wkroczył powojenny wyż demograficzny. Gospodarka regionalna rozwijała się o wiele szybciej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. W rezultacie ci, co zainwestowali w nieruchomości, zrobili ogromny majątek. Należał do nich Jim Mandeville. Krzepki, w doskonałej formie, w sześćdziesiątym siódmym roku był o wiele bogatszy niż w chwili, gdy zaciągał pożyczkę. To, co przed ośmiu laty było zwykłą transakcją prowincjonalnego bankiera, nabrało charakteru poważnego przedsięwzięcia, liczącego się nawet dla bossów wielkiego biznesu. A bossowie ci wcale nie mieli zamiaru siedzieć spokojnie i patrzeć, jak za ich forszę facet zrobił złoty interes. Wcześniej nie przewidzieli tego, ale teraz zamierzali wykorzystać okazję.

Patrząc na to z perspektywy lat nietrudno dojść do wniosku, że kładąc swój podpis pod aktem zaciąganego kredytu Jim podpisał na siebie wyrok śmierci.

-1 nikt nigdy nie podjął próby ustalenia, skąd był ten kredyt? To wręcz niewiarygodne - zdumiała się Jill.

- W tej sprawie Oldham nie miał nic do powiedzenia - wyjaś<sup>n</sup>-ał Joe. - Sam się do tego przyznał z twarzą tak smutną, że aż <sup>s</sup><sup>e</sup>. serce ścisnęło.

Powiedział mi tak: „Dotarliśmy jedynie do pewnej korporacji w Delaware. Takiego konsorcjum udzielającego pożyczek hipo-ecznych. Dokumenty, jakie nam przesłano, nie wyjaśniały ni-CZego. Dotyczyły po prostu konsorcjum kilkunastu banków ^ różnych stanów. Oznacza to, że za ich plecami stał ktoś, czyi

mi pieniędzmi obracano. W dwa lata po śmierci Mandcvill« nieruchomość zmieniła właściciela. Był początek lat siedemdziesiątych, a ja pracowałem nad wieloma innymi sprawami. M Feldt i Paul Barry, tam w Shropshire, nadal to rozpracowywali ale pocziwiec Al nic nie mógł zrobić, a Paul był przywiązany do miejsca. Kiedy dostałem te papiery z Delaware, przekazałem je Ałowi Feldtowi. Sam nie miałem czasu, by tam jechać, a oni nie mieli możliwości działania poza granicami miasta. A może też nie stało im wyobraźni.

A wnioski, jakie się nasuwają, są następujące: ktoś opłaci mordercę, tyle że nie mamy pojęcia kto. Tak sprawa wygląda al dziś".

-1 co masz zamiar dalej robić? - zapytała. Westchnął głęboko.

- No cóż, jutro jadę do prokuratora okręgowego w Beikshii i powołując się na Oldhama zapytam, czy pozwoli mi zajmować się sprawą. Oldham twierdzi, że to równy facet i nie będzie m przeszkadzał pod warunkiem, że jeśli uda mi się rzeczywiście wykryć sprawcę, zasługa przypadnie jemu.

-1 ty się na to oczywiście zgodzisz - wtrąciła.

Uśmiechnął się nieco ironicznie.

- Ten prokurator okręgowy to niegłupi facet. To przecież ■ ży w jego interesie. W związku z kłopotami budżetowymi ttM mały personel. Każdy chętny do roboty za frajer jest mile wi dziany. Jeśli wykryjesz podejrzanego, zasługa spada na jego ze\* spół. Nawet takiego chętnego sam wpisze na listę pracowników biura.

Oczywiście pieniędzy z tego nie ma, ale może być publicy, co młodemu adwokatowi nie zaszkodzi.

## VII

Burton Magoun był potężnie zbudowanym czterdziestoletnim mężczyzną. Miał wydatny nos i nieco przerzedzone już włosy. Jego biuro zatrudniało sześciu asystentów, o czterech mniej, niż potrzebował, ale na więcej nie zezwalał budżet.

Gdy Joe Corey wszedł do biura prokuratora okręgowego w Pittsfield, Magoun nic pofatygował się nawet, by wstać zza biurka.

- Darujmy sobie grzecznościowe wstępy - powiedział. - Nie jesteśmy starymi przyjaciółmi, którzy odnajdują się po latach. Zgodziłem się na to spotkanie, gdyż zadzwonił stary Oldham i powiedział, że pan może nam w czymś pomóc. Mam pięciu przepracowanych asystentów i jednego, który się do niczego nie nadaje. Za dwa lata startuję ponownie w wyborach na prokuratora okręgowego. Gdyby zjawił się tu Atylla i zaoferował swoją pomoc, to bym z nim rozmawiał. Dlatego spotykam się z panem. No więc w czym chce mi pan pomagać?

Kiedy Corey wyjaśnił, Magoun westchnął.

- To niewiele. Oldham jest przekonany że jedynym przestępstwem, jakiego nie rozwikłał, to porwanie dziecka Lindberga. Oczywiście jest w błędzie. Ludzka pamięć jest zawodna. Sprawa Mandeville'a, to przeszłość. Przejrzałem akta i zgadzam się z Oldhamem i - jak sądzę - z panem. To morderstwo z premedytacją. Ten, co to zrobił wiedział dokładnie co robi i dlaczego. Tam, gdzie w grę wchodzi kupa forsy, ludzie angażują fachowców, a ci wykonują pracę jak należy. Normalnie.

~ Normalnie nie jest chyba odpowiednim słowem -  
przerwał Corey - Gdyby to było normalnie, to już  
byśmy się wszyscy wy



różni. - I dodał szybko: - Oldham twierdzi, że motywem jej ziemia zakupiona od konwentu. Katherine McCormack sz» pnęła mi kilka słów na temat mieszkań i domów, jakie tam zostały zbudowane po zakupieniu tej ziemi przez Mandeville'a. 1

- Sprawdziłem wyciągi akt podatkowych. Katherine ma rację\* Prawie pięćdziesiąt procent podatków zbieranych rocznie przez miasto pochodzi właśnie z wybudowanych tam domów. W wici kszości należą one do ludzi, którzy tam nie mieszkają na stałe, Do jakichś narciarzy, muzyków, narkomanów czy innej zamiejskiej hołoty. Są to jednak faceci nadziani.

- Nie da się ukryć, te domy i mieszkania, to dla miasta dojni krowa. Wszyscy na tym zarabiają. Nawet radca prawny radl miejskiej, nasz uczoney przyjaciel Robert Gates, który w radzie nadzorczej osiedla zajął miejsce zmarłego Gilberta Rogersa. 1

- Człowiek, który kryje się za korporacją z Delaware, zainwestował w te nieruchomości, to człowiek, który wynajął zabójcę. Nie można wykluczyć, że ten człowiek już nie żyje, cf oznacza, że nie można go oskarżyć i postawić przed sądem w takim wypadku pan nie zdobędzie na tym rozgłosu, nawet )%t śli sprawa zostanie rozwikłana. Zresztą i tak nie ma pan środl ków, ludzi i sił na podjęcie sprawy.

- Mnie ta sprawa interesuje z powodów rodzinnych i czysW prywatnych. Spędziłem pięć lat na wygodnej posadzie i mam tego wyżej uszu. Ukończyłem prawo, by być prawnikiem, a nw tkwić w biznesie.

- Chciał pan zrobić forszę - skomentował Magoun.
- Właśnie - przyznał Corey. - Moja żona natomiast robi jfl co lubi.
- To znaczy co? - zapytał prokurator.

BANKIER

131

\_ Jest nauczycielem w college'u. Uczy historii Ameryki - wyjaśnił Corey. - Przez pięć lat wykładała w Uniwersytecie Nowojorskim. Doktorat zrobiła na uniwersytecie Columbia, a przedtem zrobiła magisterium w Brown. Jej ojciec jest prawnikiem w Chicago. Ona sama myślała kiedyś o tym, by iść na prawo w ślady taty. Rozpoczęła studia na uniwersytecie w Yale, gdzie ja właśnie byłem na trzecim roku. Prawo nie przypadło jej do gustu, ale ja tak.

- To pan jest z Nowego Jorku - stwierdził Magoun. - To czemu chce się pan tu przenieść?

- Nie jestem przywiązany do Nowego Jorku, choć żyło się nam tam wcale, nieźle - wyjaśnił Corey. - Mniej więcej w czerwcu do Jill zadzwonił pewien profesor z Brown i powiedział jej, że właśnie na udar mózgu zmarł nagle nauczyciel historii. Miał trzydzieści dziewięć lat. Są więc w kłopotcie, szukają kogoś na jego miejsce. Profesor zapytał, czy Jill byłaby zainteresowana tym stanowiskiem. Jakiż asystent profesora w wieku dwudziestu dziewięciu lat nie byłby zainteresowany katedrą na uniwersytecie w Nowej Anglii. Wprawdzie Jill lubiła swoją pracę, ale Nowa Anglia to przecież Mekka naukowców. Jej matka i ciotka są stąd, wychowały się w Overlook Hills. Obie zresztą osiedliły się gdzie indziej, czego matka Jill żałowała do końca życia.

~ Jill zadzwoniła do mnie do biura i zaproponowała:  
„Choć <sup>raz</sup> potraktuj mnie tak, jak traktujesz swoich

klientów i zaproś mnie dziś na kolację. Chcę ci coś powiedzieć."

~ Oho, to musi być coś poważnego - roześmiałem się.

~ Tak, ale nie powiem ci przez telefon. A więc  
wytworna !'ó-lacja w Monte o ósmej. Zgoda?

HIGGINS

- Myślałem, że jest w ciąży - powiedział Corey. -  
Naprawo! tak myślałem. Oczywiście straciłem głowę,  
pan wie jak to jest. J

- A nie chcecie mieć dzieci? - zdziwił się Magoun. -  
Rozw miem, doskonale to rozumiem, ale jak się ma  
piątkę własny! szkrabów, to trochę za późno...

- Ależ chcieliśmy - zapewnił Corey. - Oczywiście, że  
chcieliśmy. Zawsze mieliśmy to na uwadze. Czas  
jednak mijał, zawsz znajdowały się jakieś powody, by  
odłożyć to na przyszły rok. Jaj kariera zawodowa,  
potem moja, potem konto w banku. A pol tern  
postanowiliśmy przenieść się do Connecticut. Nie mieli  
śmy czasu, nie mieliśmy opiekunki do dziecka, nie  
mieleśrrJ innych rzeczy i tak odkładaliśmy to z roku na  
rok. Nim więł spotkałem się z Jill, przemyślałem to  
wszystko jeszcze raz oj początku i już ją w wyobraźni  
zapewniałem, że to wspania!fl! Nasze pierwsze dziecko!  
Jak wiele mogło zmienić w naszym ży | ciu.

- No cóż, nie była w ciąży - ciągnął po chwili. - Kiedy  
jednał powiedziała mi, o co chodzi uznałem, że  
powinienem zareaguj wać tak, jak bym zareagował na  
wiadomość o dziecku. Zawoła! łem więc: „Doskonale,  
przeprowadzamy się! To dla ciebi\_j wielka szansa. Nie  
wolno jej zaprzepaścić. Kupimy duży doli i psa". A ona  
zapytała: „A co ty tam będziesz robił? Chyba był  
zwariował, gdybyś miał siedzieć w domu i sprzątać".  
„Otworzi praktykę - zaproponowałem. - Wpiszę się na  
stanową listę adj wokatów, a jeśli będzie to konieczne,  
zdam egzamin. To dobn wiadomość i dla ciebie i dla

mnie. Tego, co teraz robię, ma» już wyżej uszu". 1 tak właśnie znalazłem się tutaj.

- Rozumiem - Magoun nachmurzył się i potrząsnął głową.! Nie wiem, co robić. Coś mnie tu niepokoi. Zawsze potrafi! zwietrzyć pułapkę i nigdy nie daje się złapać. Coś, co wszystkie wydaje się całkiem niewinne, dla mnie jest zawsze podejrzani

BANKIER

135

jeśli w jakiejś sprawie nie dostrzegam niczego złego, to znaczy, że coś złego dzieje się ze mną.

\_ Nie może pan choć trochę zaryzykować? - przerwał mu Co-rey. - Nie proszę o nic szczególnego, w każdym razie nie na tym etapie. Zamordowano dziadka Jill. To dręczy ją do dziś. I ja doskonale ją rozumiem. Chociażby dla jej spokoju chciałbym spróbować wyświecić tę zagadkę. Dopóki na coś nie wpadnę, nie będę pana o nic prosił. Nasze spotkanie możemy potraktować całkiem towarzysko. Załatwiam pewną sprawę rodzinną i nikt nie może mieć o to pretensji. Ja o nic nie proszę, a pan niczego nie obiecuje.

Magoun chrząknął.

- Co miałbym obiecywać? W niczym nie mógłbym pomóc.

- Oczywiście. Pan zresztą wie, że nie może mnie powstrzymać. Reprezentuję uzasadnione interesy rodzinne. Mógłbym zaangażować adwokata lub prywatnego detektywa, którzy podjęliby śledztwo. Tak się składa, że nie muszę nikogo angażować, bo jestem prawnikiem. I wszystko jest w porządku.

-Tak, w porządku - przytaknął Magoun. - Ale proszę zrozumieć, że nie zobowiązuję się do żadnej pomocy. Musimy tu być bardzo ostrożni. Stale narzekam, że mamy zbyt ograniczone <sup>śr</sup>»dki, więc nie mogę znaleźć się w sytuacji, w której jakiś fa-wstanie i zarzuci mi: "Twierdzi pan, że nie ma pan ludzi <sup>1</sup> lodków, by skutecznie bronić interesów mieszkańców, a tym-Czasem otwiera pan jakąś sprawę sprzed dwudziestu lat. Czy

d'atego, że ofiara była milionerem?" Tak więc może pan  
robić, °° sK panu żywnie podoba, ale ode mnie niech  
pan żadnej po-mocv nie oczekuje.

\*" Rozumiem - Corey wstał.



HIGGINS

- Proszę chwilę zaczekać. - Magoun wziął notes, wydarł kawałek papieru, napisał na niej „Baldo Lanucci”, po czym wręczył ją CM reyowi.

Ten przeczytał i spojrzał pytająco.

- Niech pan nie sądzi, że panu pomagam - wyjaśnił prokura! tor. - Po prostu w czasie przeglądania akt tej sprawy. przyszł mi do głowy, że gdybym był na pana miejscu, to zacząłbym od spaceru po byłej posiadłości konwentu, zwanej obecnie Kola nią Claretiane. Po smogu Nowego Jorku napełni pan płuć świeżym powietrzem. Może też zacznie pan to miejsce roa mieć, uświadomi pan sobie dlaczego to ma taką wartość.

Nie przestając się dziwić Corey mruknął:

- W porządku.

- Jim Mandeville kupił tą posiadłość za pięćset tysięcy dolarów, które wyjął z własnej kieszeni i pięćset, które pożyczył w sześćdziesiątym roku. - wyjaśnił Magoun. - Dokładnie nie pamiętam, ale benzyna była wtedy po czterdzieści centów *m* lon, a ja zaciągnąłem pożyczką hipoteczną, bo właśnie zaczynałem pracę w Bostonie jako świeżo upieczony adwokaj i pożyczka ta była oprocentowana na pięć i trzy czwarte proces ta. A dzisiaj? Dziesięć i pół procent. Za dom z czterema sypialniami, który kupiliśmy na przedmieściu Wellesley, zapłaciliśrtf trzydzieści dziewięć patyków. W dwanaście lat później spr; liśmy go za sto czterdzieści jeden patyków. Oczywiście tutaj *t* na nieruchomości nie poszła tak bardzo w górę, jak w Bostoi ale wzdłuż wybrzeża nad jeziorem nie dostanie pan domu niej, jak osiem,

dziewięć tysięcy za metr. To każe się zastań nad tym, ile warta jest dzisiaj była posiadłość konwentu, może nie tyle co w latach boomu, ale nadal dużo. Baldo wszystko i zna wszystkich. Jeśli pan będzie dla niego miły, będzie odwdzińczyć się panu.

BANKIER

139

Brwi Corey'a uniosły się do góry. \_ Nie wiem... - mruknął.

\_ No cóż, ja też nie wiem - powtórzył Magoun. - Jeśli jednak zjawi się pan tam, powiedzmy, jutro około jedenastej rano, zaparkuje wóz na parking, niech Bóg pana strzeże przed zaparkowaniem na miejscu numerowanym, i wybierze na spacer, natrafi pan na kogoś takiego jak Baldo. Na starszego emeryta, który ma czas, dużo wie i gotów jest pomóc.

- Dlaczego właśnie Baldo?

- Po prostu nazwisko - wyjaśnił Magoun. - Miły facet. Mieszka tu od dawna. Jak pan się na niego natknie, proszę go ode mnie pozdrowić.

Gdy późnym popołudniem wrócił do gospody „Pod Jednorożcem”, Jill siedziała sama w czytelni. Ulokowała się przy stoliku do brydza, na którym wśród zapisanych kartek stał jej przenośny komputer. Zatrzymał się przez chwilę w drzwiach, patrząc na jej wyprostowaną sylwetkę, na blond włosy i ostro zarysowany profil.

Chrząknął wreszcie i powiedział:

- Hej, panno, wygląda na to, że ten cały pokój należy do pani.

Popatrzyła na niego jakby zdziwiona jego obecnością i uśmiechnęła się. Wstała, przeciągnęła się, podeszła doń i pocałowała go.

~ Witaj nieznanemu gościu. Czuję, że będziesz mi musiał wykasować obolałe plecy. Pomoże im tylko twój słynny masaż. Te ^zesła wyglądają ładnie, ale to grzędy dla kur. - Wróciła do st<sup>o</sup>łu. - Jak ci minął dzień? - zapytał.

zaczęła zbierać ze stołu papiery i pakować do teczek.

HIGGINS

- Wydaje mi się że zgodnie z planem. Ktoś, z kim mia rozmawiać, wyjechał i wraca dopiero w czwartek lub w piat Zapytali, czy mogę poczekać. Co oni sobie w ogóle wyobra-ją? Ja im poczekam! Niech faceta ściagną! Mój czas jest z cenny. Powiedziałam, że poczekam, ale w granicach rozsą

i przyzwoitości. A jak tobie poszło?

Przysunął sobie krzesło do jej stolika, usiadł i zdał доклад sprawozdanie z przebiegu dnia, podczas gdy ona złożyła pap' ry i schowała komputer do futerału.

Gdy skończył, powiedział

- To brzmi interesująco i obiecująco. Czy to facet na po mie?

- Nie wiem - odpowiedział. - Prócz ciebie nie znam niko na poziomie.



## VIII

jsj<sub>a</sub> parkingu Kolonii Claretiane Joe Corey znalazł się następnego ranka. Parking był zapełniony w jakichś dwóch trzecich. Drzwi do wielkiego, masywnego budynku głównego były otwarte, ale w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Joe Corey z pewnym trudem znalazł miejsce dla swego escorta na parkingu przeznaczonym dla odwiedzających. Słyszał świergot ptaków ukrytych w gałęziach otaczających budynek klonów i hałas silnika motorówki dobiegający od strony jeziora.

Wspiął się po czterech stopniach prowadzących do głównego wejścia i wszedł do holu. Pod ścianami ustawione były pomalowane na zielono bambusowe meble wykładane poduszkami w barwne kwiaty. Na kontuarze recepcji stał bogaty bukiet kwiatów żółtych, pomarańczowych i czerwonych, za kontuarem jednak nie było nikogo. Koło bukietu znajdował się mosiężny dzwonek, a napis obok głosił, że należy dzwonić na obsługę.

Minął hol i przez szerokie francuskie drzwi wyszedł na werandę rozciągającą się w kierunku jeziora z jednej strony i ciemnych wzgórz z drugiej.

Weranda była długa na jakieś trzydzieści metrów. Przed promieniami słońca chroniły ją zielone markizy, pod którymi stały białe ogrodowe fotele wysłane różowymi i niebieskimi poduszkami. Żaden z foteli nie był zajęty.

Na prawo od tarasu rozpoczynało się rozległe pole golfowe, na którym nikt nie grał, a za P<sup>o</sup>em był jeszcze

jeden parking. Stał tam ford mustang z turystyczną przyczepą. Jeszcze bardziej w prawo widać było brzeg jeziora, drewniany pomost i przycumowane do niego kilka niewielkich łodzi.

Zszedł na trawnik i skręcił w lewo, w kierunku południowym. Usłyszał w tym momencie turkot, w którym rozpoznał odgłos ręcznej kosiarki, nie był jednak w stanie zlokalizować źródła tego dźwięku. W chwilę potem zza załamania muru wyszedł ogrodnik w kombinezonie i w sportowej czapeczce na głowie, pchał przed sobą ręczną kosiarkę.

Wieczorem w gospodzie opowiadał Jill:

- Na widok tego faceta odetchnąłem. To miejsce było jakieś niesamowite. Wszędzie ślady ludzi, ale nigdzie ani żywej duszy. Przyszło mi do głowy, że nie przeczytałem porannej gazety. Czyżby wybuchła wojna nuklearna, a ja jestem jedynym, który przeżył?

Strzygący trawnik ogrodnik ponownie zniknął za załomem muru. Corey doszł do balustrady werandy i zaczął czekać, aż coś się ponownie wydarzy. Orodnik nadal miał opuszczoną głowę i wzrok wlepiony w trawę. Na białej, sportowej czapeczce widniały litery NY.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Corey - W poza panem nie ma tu nikogo.

Orodnik robił wrażenie faceta, który nie jest w stanie zorientować się, skąd dochodzi głos. Wreszcie zatrzymał wzrok na Coreyu i odpowiedział:

- Tu zazwyczaj w czwartki nie ma nikogo. Czym mogę służyć - Nie zdjął nawet rąk z uchwytu kosiarki.

Corey uśmiechnął się. Twarz ogrodnika pozostawała bez wyrazu.

- Dużo słyszałem o tej kolonii. Mamy zamiar, ja i moja żona tu się osiedlić. Wpadłem zobaczyć jak tu jest.



Jestem bez żoŃl To znaczy sam wpadłem. Mogę się rozejrzeć?

BANKIER

146

Ogrodnik pochylił głowę, splunął i odburknął:

\_ jyjnje pan nie przeszkadza. Coś jeszcze? \_ Nie, nic więcej. Dziękuję.

Ogrodnik wzruszył ramionami. Nie zabierał się do pracy, zapewne czekał, by Corey wyszedł na trawnik.

\_ Coś panu dolega? - zapytał po chwili.

- Nie, wszystko w porządku - uśmiechnął się Corey -  
Czekam aż pan ruszy z kosiarką. Nie chcę panu przeszkadzać.

- Pan mi nie przeszkadza - mruknął ogrodnik i zabrał się do roboty.

Corey szedł teraz młodym, lecz gęstym zagajnikiem dębów ciągnących się przez kilkadziesiąt metrów wzdłuż brzegu jeziora. Po lewej stronie widział długi rząd szarych jednopiętrowych domków. W każdym znajdowały się dwa lub trzy mieszkania, można to było poznać po liczbie drzwi wejściowych. Dachy były szpiczaste, a okna pierwszego piętra miały łukowe sklepienia i białe story. Okna od frontu wychodziły na jezioro. Od strony jeziora każdy domek miał niewielki ogródek porośnięty trawą, a w nim juały białe metalowe story i takie same krzesła. Nad stolami rozpięte były przeciwsłoneczne parasole.

- Wydawało się, że domki ciągną się aż po horyzont -  
opo-w'adał Joe żonie. - Policzyć by je można jedynie z lotu ptaka. styszałem jakieś odgłosy, świadczące o obecności ludzi. W miecie w nocv takie odgłosy nazwalibyśmy ciszą. Słyszałem, że gdzieś gra radio, ktoś kogoś woła, od razu poczułem się lepiej.

szylem też odważniej przed siebie, nadal jednak nie  
miałem

^JCcia, jak odnaleźć faceta, który wie coś więcej o tej  
kolonii

**:nty-**

cie spotkałem jakichś ludzi. Nikt nie zwracał na mnie fH  
mniejszej uwagi. Najwyraźniej byli przyzwyczajeni do  
widoku obcych. To zrozumiałe: właściciele większości  
domów wyfl mowali je przyjezdny i ludzie przywykli  
do obcych twarzy»M katorzy mogli się zmieniać co  
roku. Wędrowałem więc starając się wczuć w tutejszą  
atmosferę. Wreszcie natknąłem się nrjH ceta, który  
siedział przy stole pod parasolem na trawnicz\* przed  
swoim domem. Przed nim stał termos z kawą i dwa  
kubki, ale nigdzie nie widziałem drugiej osoby .  
Doszedłei^B przekonania, że mam przed sobą pana  
Balda.

- Mój dzielny, mądry chłopak - ucieszyła się Jill. - Jesteś  
JM dzonym detektywem.

- Facet mierzył sobie najwyżej metr sześćdziesiąt pięć  
cdj metrów, oczywiście na stojąco - powiedział Corey. -  
Miał bujną, siwą czuprynę, może była to peruka, ale  
raczej nie. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat. Faceci w  
tym wieku zaczynają na ogół tyć, choć niektórzy  
zachowują niezłą sylwetkę. Ten należał właśnie do tych  
ostatnich, to znaczy do takich, którzy po przekroczeniu  
pięćdziesiątki przestają się w ogóle staraj  
Człowiek przy stoliku uprzejmie pozdrowił Coreya, mu  
miłego poranka.

I panu również lego życzę. Rzeczywiście śliczny r W  
sam raz na mały spacer.

Człowiek przy stole ukazał rząd białych zębów.

- Oczywiście, ale nie ma żadnych powodów do pośpi  
Napije się pan ze mną kawy?

- Bardzo chętnie - Corey przyjął zaproszenie. Wsa  
trawniczek przed domem i wyciągnął rękę - Miło mi pa  
znać, nazywam się Joe Corey.

Wieczorem opisując tą scenę Corey wyznał żonie:

BANKIER

150

-Dźwig wyciągający z rowu samochód po wypadku chwytła wrak z taką siłą, z jaką Baldo uchwycił moją prawicę.

\_ Baldo Ianucci - przedstawił się. Corey usiadł, a tamten nalał mu do kubka kawy. Kawa była już ze śmietanką. Ianucci odstawił termos, usiadł i patrzył w oczy gościa, po czym zapytał *i* twarzą bez wyrazu:

\_ Co pan sądzi o tym miejscu?

- Fantastyczne - odpowiedział Corey. Łyknął kawy. Była gorąca i mocna i nie było w niej za dużo śmietanki.

- Sześćset pięćdziesiąt mieszkań w dwustu pięćdziesięciu i jednym domkach.

- Dwa, trzy w domku?

- Tak, przeważnie trzy. Kilka z czterema. Mój i jeszcze kilka innych mają po jednym mieszkaniu. Przynajmniej sam jadam swoje obiady.

- Nie rozumiem - zdziwił się Corey.

- Ścianki działowe są cieniutkie i sąsiedzi żyją na kupie. Mają fmażoną rybę na obiad i pan czuje rybę w swoim mieszkaniu. " czasie weekendu odwiedzają ich wnuki, i pan ma je u siebie. Nic nie mam przeciwko rybom smażonym. Mam nawet łódkę <sup>1</sup> czasami coś złapię na obiad, ale wolę sam decydować o tym, Wedy wacham ryby. Lubię mile dzieci, nie znoszę rozwrzeszczanych. Jeszcze bardziej nie znoszę rozwrzeszczanych rodziców. <sup>1</sup> d,a,ego mamy domek sami dla siebie.

" Pan tu nie mieszka sam? .

~ Nie, z żoną. Od końca lata do wiosny mamy tu ciszę i spo-) • To nam odpowiada: przez pół roku mieszkamy tu samot-<sup>le</sup>> a drugie pół w liczonym towarzystwie.

HIGGINS

- Wszedłem na kolonię przez główny budynek - powiedzie Corey - i nikogo właściwie nie widziałem. Spotkałem lylic<sub>0</sub> ogrodnika. Takiego w sportowej czapeczce. Gdy zapytałem dlaczego nikogo nie widać, odpowiedział, że to czwartek.

Ianucci zachichotał.

- To był kleryk - powiedział. - Stary kleryk nie rzuca słów na wiatr. Po prostu nie ma ich zbyt wiele i nie chce nimi szafować. A ten czwartek? To bardzo proste.

Otwarte próby muzyczne w teatrze w Tanglewood.

Administracja funduje przejazd autobusów. Lokatorzy, przeważnie ludzie w moim wieku, to miłośnicy muzyki. Miłośnicy muzyki poważnej to na ogół ludzie niezbyt zamożni. Bilety na próby są znacznie tańsze niż na prawdziwe koncerty. Wielu tu żyje z emerytury, a więc cena biletu ma znaczenie. Większość nie mogłaby sobie pozwolić na taj bilet raz na tydzień. Te czwartki są tu popularne. Ludzie przygotowują kanapki i wsiadają do autobusów. Nie płacą za parking w mieście, nie wydają na jedzenie. Korzystają z okazji Taki czwartkowy wyjazd wygląda jak ewakuacja. Wyjeżdżają r\*> no, spędzają tanio miły dzień i wieczorem wracają zmęczeni, ale zadowoleni.

- Potem opowiadają przyjaciołom jak się tu wspaniale żyje. i następnego roku ci przyjaciele chcą wynająć tu miesz.kan§ Właściciele nie mają kłopotu z wynajmem. Wszystkie mieszkania zajęte, więc każdy, kto może, stara się tu mieszkanie kup# Tu w okolicy jest więcej



takich kolonii, ale żadna nie prosperuje tak dobrze, jak ta. Kolonia Claretian przynosi najlepsze dochody. Tym lepsze, im gorzej idzie innym. - ZamiU\* zastanawiał się przez chwilę i dolał sobie kawy do kubka.

- Chciał pan jeszcze coś powiedzieć - zachęcił go Corey.

- Tak. Właściciele tej kolonii to spryciarze. Gdy przed piętnastu laty zaczęto budowę takich kolonii, wszyscy z wyjątkiem

naszychy właściciele troszczyli się o luksusy i wygodę. Oferowali nie tylko wygodne mieszkania na lato, ale i baseny kąpielowe, korty tenisowe, ujeżdżalnie koni, bary, kluby, żaglówki i wędkarstwo. W niektórych koloniach odbywały się nawet sobotnie koncerty. Taka gospodarka wymagała oczywiście takiego wysrubowania cen mieszkań, że mowy nie było o ich sprzedaniu. Była i inna metoda. Budowano jak najtaniej, administrację powierzono ludziom przypadkowym, którzy szybko całą kolonię doprowadzili do ruiny. Nie remontowane budynki rozwalają się, korty i pola golfowe porastają chwastami, w kuchniach śmierdzi. Nikt tam nie chce mieszkać.

Właściciele Kolonii Claretian byli mądrzejsi. Jako pierwsi, jeszcze pod koniec zeszłego stulecia, pojawili się tu nowojorscy bankierzy i zabrali się za budowę. Ten główny budynek, który postawili na początku, jest jak fort. Ma dziewięćdziesiąt lat, a wygląda, jakby go postawiono wczoraj. Dziś nie zbudowano by czegoś takiego za żadne pieniądze. Po prostu nie ma już takich budowniczych na świecie.

Teraz niech pan spojrzysz na tę przestrzeń. Nic tu nie zmieniano dla fantazji. Wszystko jest tak, jak Pan Bóg stworzył. Bóg nie stworzył pól golfowych. Nie stworzył kortów tenisowych. A to dlatego, że Pan Bóg jest mądry i przewidujący. Wie, że korty<sup>1</sup> Pola golfowe wymagają pielęgnacji, co cholernie kosztuje. Natomiast jeśli ktoś ma ochotę na kąpiel, to kąpie się w jeziorze: jezioro jest pod bokiem i nie wymaga nakładów. Nakładów

Wymaga basen, więc basenu tu nie ma. Tu pielęgnuje się traw-"ki, bo na to nie trzeba wielkich pieniędzy.

"~ I na tym też oszczędzają. Jeden ogrodnik z ręczną kosiarką!

•<sup>e</sup> miałem pojęcia, że jeszcze takie produkują - dorzucił Co-rey.

knucci parsknął śmiechem.

- To wcale nie dla oszczędności. Ręczne kosiarki pracują \$4 cho. Nie był pan nigdy na wakacjach, gdzie marzył pan o ciszy i spokoju, a tu rano, kiedy chce się jeszcze spać czterech face-tów zapuszcza silniki kosiarek i kosi. Okropność! Przed laty chcieliśmy sobie zrobić frajdę i pojechaliśmy w lutym na Flory, dę. Kosztowało masę, bo to szczyt sezonu. Ładne domki, ciepło, pola golfowe. Zapowiadało się wspaniale. Ale ju<sub>z</sub> pierwszej nocy włączyli deszczownice podlewające trawniki. Jakby tysiąc słoni siusiało pod moim oknem. Zasnąłem o szóstej rano, a w chwilę potem wystartowały kosiarki. Mowy nie było o śnie. Tu jest cisza.

Z domu wyszła przystojna brunetka około czterdziestki. Miała na sobie dzinsy, luźny pulower i była bosa. W rękę trzymała kubek z kawą.

Ianucci przedstawił Corey'a żonie, która usiadła przy i dolała sobie kawy.

- Dlatego właśnie Kleryk pcha ręczną kosiarkę - wyjaśnił nucci. - chodzi o walkę z hałasem. Te trawniki, które pan wid przed domami, należą do właścicieli lub lokatorów. Dł o nie. W głównym budynku jest dziewięćdziesiąt miesz wszystkie zajęte. Tak we wszystkich domkach. Jak pan wid biznes kręci się tu przez cały rok. Kiedy przyjdzie jesień i sko | czą się koncerty, tu życie wcale nie zamiera. Czasami odby się tu jakieś konferencje. Zimą zjeżdżają tu narciarze, ale I wielu. Wszyscy jadą do Vermont, gdzie są tereny zjazdowe, konferencji jednak mają tu wcale dobry dochód, i to przez < rok.

- Tak, teraz rozumiem co pan miał na myśli mówiąc, że j  
ściciele kolonii byli mądrzejsi - powiedział Corey.

- Po drodze zauważył pan zapewne, że nie ma tu baru,  
stauracji, nawet sali jadalnej. Jedynie hol - to wszystko.

Gd

BANKIER

158

pan wpadł jutro, to by się pan przez ten hol nie przecisnął. Na weekend przyjeżdżają uczestnicy jakiejś konferencji. Konferują, a potem nie mają gdzie wydać pieniędzy. Tu dostaną jedynie śniadanie i obiad. Nudne to. W nocy nie skoczą do baru, bo baru tu nie ma. To jest dobre dla starszych panów, dla bossów. Młodszy jadą do miasta. Po prostu wyrywają się na wolność spod skrzydeł starszych - zamilkł na chwilę. - Czy wie pan, do czego zmierzam? - zapytał. - Dlaczego administracja jest taka cwana?

Corey pokręcił głową.

- Nie, nie wiem. Na razie usłyszałem od pana, że administruje się tutaj bardzo ostrożnie i oszczędnie. \*

Ianucci pochylił się do przodu.

- Ani pan, ani ja nie należymy do spryciarzy. Dopiero po latach zrozumiałem, w czym rzecz. Proszę tylko pomyśleć: planuje pan całą przedsięwzięcie, buduje pan solidne budynki, rezygnuje pan z wszystkiego, co nie przynosi dochodu, nie ma nawet kiosku z prasą i ani sklepu. Innymi słowy planuje pan wszystko tak, by dawało zysk. I zapomina pan o barze? W takim miejscu jak to, bar zawsze przynosi dochód. To chyba jasne dla każdego. Tu przyjeżdża mnóstwo gości, ciągle są organizowane jakieś konferencje: bar byłby żyłą złota. Nie ma jednak baru <sup>1</sup> wszyscy jeżdżą do miasta. Do restauracji Jacka Davisa. Jakby ktoś, kto to planował, chciał by Davis się wzbogacił. A może właściciele chcieli uniknąć kłopotów z samorządem miasta? A tymczasem Jack miał wpływy. Był w radzie nadzorczej banku. M<sup>o</sup>gł

się skutecznie bronić przed konkurencją. Można się było  
też z nim dogadać.

°twartą dłonią uderzył o blat stołu.

160

HIGGINS

- Jestem jednak przekonany, że było inaczej. Ten, co to pi. a. nował, kierował wszystkim - również i Jackiem. On zatrud' Jacka. Ktoś to wszystko obmyślił - i to na lata przed mord' stwem. Jack został po prostu przysłany jako forpoczta. Przysłał no go, by założył przyczółek.



## IX

przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Corey zmarszczył brwi i zapytał:

- Czy to Jack Davis telefonował i wyrwał Mandeville'a z łóżka?

Ianucci wyprostował się i usiadł wygodniej.

■ - Wątpię - odrzekł. - Mógł to zrobić, ale wątpię. Był w radzie nadzorczej banku i Jim Mandeville go lubił, głównie dlatego, że dobrze prowadził gospodę, na której ciążyła pożyczka udzielona przez bank. Tak w każdym razie twierdzi Amelia.

- Amelia Feldt? - zapytał Corey.

- Oczywiście, jaka inna Amelia może wchodzić w grę? - zdziwił się Ianucci.

- Nie wymienił pan nazwiska - mruknął Corey. - A więc już pan wie, że z nią rozmawiałem. Nie mówiłem o tym Magouno-wi. Albo wiedział o tym i podzielił się z panem tą wiadomością, albo też rozmawiał pan z Amelią po mojej wizycie u niej.

- Dzwoniłem do niej wczoraj wieczorem - Ianucci miał całkiem niewinny wyraz twarzy. - Czy jest w tym coś złego?

~ Oczywiście że nie - zaprzeczył Corey. - Tyle że w tej całej sPrawie dzieje się coś, co zaczyna mnie bawić, a zarazem zdu-miewać. Okazuje się, że ktoś, z kim się kontaktuję, zawsze wie, ?kim rozmawiałem przedtem. Michelle potrząsnęła głową i przyglądała się swoim rękoma.

Ianucci naburmuszył się. Wieczorem Corey powiedział  
żonie: "oglądał bardzo groźnie. Naprawdę można się było  
prze-  
straszyć».

HIGGINS

- Drogi przyjacielu - jego głos był jak warczenie buldoga.! Jestem starym człowiekiem i nie mam zamiaru wysłuchiwać; uczeń czy oskarżeń ze strony jakichś młodzików. Rozumie pa Chętnie będę z panem współpracował, jeśli pan nie hę w tym przeszkadzał. Do wczorajszego wieczoru nigdy w nie zamieniłem z Amelią ani słowa. Nigdy nie widziałem jej oczy. Burt przez swego asystenta, który przypadkiem byjl w pobliżu przysłał mi akta sprawy. Zwykle, kiedy dostaję akt | przeglądam je. W aktach przeczytałem jej nazwisko. Pomyś łem, że ona na pewno coś wie i zadzwoniłem do niej.

- Tak zawsze się robi. Rozmawia się z ludźmi, którzy m wiedzieć więcej niż my. A gdybyś chciał jeszcze bardziej sz głowych wyjaśnień na ten temat panie Sherlock, to dodam, wziąłem książkę telefoniczną, otworzyłem, wyszukałem naz sko „Feldt" i wykręciłem numer. Co w tym dziwnego? Za dam, że pan zna te akta. Sądziłem więc, że i pan się z; skontaktował. Ona zresztą potwierdziła to w rozmowie ze m Czy teraz jasne?

- Oczywiście. Przepraszam, nie miałem nic złego na myśl usprawiedliwiał się Corey.

Michelle wstała i oświadczyła:

- Przygotuję coś do zjedzenia.

lanucci wziął ją za rękę. Nie spuszczał oczu z twarzy Cofjfl ale mówił do niej już całkiem innym tonem.

- Usiądź, kochanie. Ja to zrobię. - Ona usiadła, a on wstjj jeszcze raz spojrział na Coreya i ruszył w kierunku domu. % padła cisza. Z dala dobiegał szum fal jeziora

uderzający! w burty łódek zacumowanych przy nadbrzeżu.

- Tak, wygłupiłem się - stwierdził Corey Popatrzyła na niego i odpowiedziała cicho:

BANKIER

165

\_ To fakt, a on też potrafi być czasami nieprzyjemny.

\_ Na takiego wygląda - zgodził się Corey. -

Zauważyłem to, a więc tym bardziej zachowałem się jak idiota.

Uśmiechnęła się.

\_ Nie da się ukryć. I mnie, zanim go dobrze poznałam, udało się go raz czy dwa razy rozdrażnić. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że zachowuję się głupio.

Zresztą tym razem opanował się. Chciał pana dotknąć, ale nie użył ostrych słów, co mu się nieraz zdarza. Może się już trochę zestarzał? - uśmiechnęła się znowu. -

Każda żona powinna się z tym liczyć. Jednak mnie jakoś nigdy nie przyszło do głowy, że i on również... dojrzeje - dokończyła.

Corey doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi słuchając jej w milczeniu, zażenowany i pełen winy. Tylko w taki sposób może sprawić, by udzieliła mu rady, jak wy dostać się z niezręcznej sytuacji.

Michelle tymczasem opowiadała:

- Poznałam go w Hartford na wiosnę w sześćdziesiątym dziewiątym. Nasz zakład produkował silniki samolotowe dla Marynarki i Lotnictwa. Do F - 4 i A - 4 Phantom. I jakieś inne silniki dla potrzeb cywilnych. To były zakłady General Electric w Hartford - wyjaśniła, bo zorientowała się że Corey nie wie<sup>0</sup> jakich zakładach mówi. - Tak, produkowaliśmy silniki odrzutowe. I były z tym jakieś problemy. Usiłowali poprawiać, ale<sup>wciąż</sup> było źle. Chodziło chyba o łopatki wirnika. Pracowałam tie w produkcji lecz w dziale personalnym.

Prowadziłam ewidencję pracowników, wydawałam  
przepustki i takie tam sprawy- O tych problemach  
technicznych dowiadywałam się  
Plotek i rozmów w bufecie. Ja byłam szefową  
sekretariatu, co

imponowało dwudziestoletniej panience, która w gruncie rz&. czy jest zwykłą urzędniczką.

Baldo pracował w tym czasie w Departamencie Wywiadcji w Ministerstwie Obrony. Kiedy piloci zaczęli się skarżyć na nafsze silniki, niektórzy senatorowie i kongresmani wpadli \Jwściekłość: podejrzewali sabotaż, domagali się śledztwa. Trwa\*ła przecież wojna w Wietnamie i nie można było wykluczyć^Bjacyś długowłosi przeniknęli do fabryki produkującej dla wcf ska.

Departament Wywiadu wysłał więc Balda, by przeprowadził śledztwo. Pierwsze kroki skierował oczywiście do działu personalnego. Musieliśmy pokazać mu teczki personalne, powiel dzieć coś o ludziach. Baldo może onieśmielać jeszcze dzisiaj więc wyobraża pan sobie, jaki był w tamtych czasach. Miał przy tym szerokie uprawnienia. Mógł zażądać wstrzymania produkcji i zamknięcia zakładu. Ludzie straciliby pracę, a niektóra może nawet znaleźliby się w więzieniu. Wtedy dopiero budzfl strach.

Oczywiście nasz zakład nie był klasztorem - ciągnęła, i Dziewczęta, tak właśnie mówiłyśmy o sobie, więc dziewczęta? miały mnóstwo okazji, by poflirtować. Pracowało tam wielu młodych ludzi, którzy bardzo dobrze zarabiali. Skojarzyła SM tam niejedna para. Miasta oczywiście nie można było porównjl\* wać Nowym Jorkiem, ale było tam sporo barów i lokali. Chcę przez to powiedzieć, że Baldo wcale nie przyjechał *m* wyspę samotnych kobiet. Dookoła było mnóstwo

ciekawym\* chłopaków z dużymi pieniędzmi. A on miał już czterdzieści j\*" den lat. Wiedziałam o tym z jego dokumentów. Kiedy się j€ nak pojawił, wszystkie dziewczyny zaczęły się nim i nteresowat

JHJ

Ze wszystkich stron słyhać było pytania: Kim jest ten laeł\* Czy jest żonaty?



BANKIER

169

Nie przypominał może Elvisa, ale też nie był taki jak inni. I ja miałam chłopaka, z którym chodziłam już od roku. Miłego, przystojnego chłopaka, ale w Baldzie było coś fascynującego. Sama nie wiem co.

\_ 1 on musiał to zauważyć. Te błyszczące oczy i rumieńce na policzkach dziewcząt, kiedy wchodził do naszego działu. I wie pan, jak reagował? Ignorował nas, co oczywiście budziło jeszcze żywsze zainteresowanie, i tak było do dnia, kiedy mnie zwymyślał.

- Co się stało? - zapytał Corsey.

- Głupia sprawa - odpowiedziała Michelle. - Ktoś, czegoś nic dopatrył i Baldo nie otrzymał swojej pensji. Przed przyjazdem do nas prowadził przez kilka miesięcy jakąś sprawę w Newport w Wirginii.

Urzednicy w Ministerstwie nie zawiadomili odpowiedniego działu, że zmienił miejsce pobytu. Ktoś zaniedbał swoje obowiązki. To rzecz jasna nie była moja wina.

- On uważał inaczej. „Prosiłem, żeby pani to załatwiła! - krzyczał. - A pani potrafi się tylko uśmiechać i przewracać oczami. Zaczynam rozumieć, dlaczego w tym zakładzie wszystko tak idzie. Jeśli wszyscy pracują tak jak pani! Dla was praca to nieustające party. A teraz proszę posłuchać uważnie i przeczając innym. Pracując byle jak nikt nie wygrał wojny i nie zbudował dobrego samolotu. Dla was to zabawa, a tam \* Wietnamie giną nasi chłopcy. Giną, bo wam się nie chce produkować dobrych silników. Was to może nie interesuje, ale m-

le bardzo, i zajmę się tym. Odechce wam się żartów,  
^Pewniam was! A teraz proszę wziąć się w garść i  
znaleźć moje <sup>pleni</sup>iądze. I to natychmiast!"  
" p°wiedział to, odwrócił się na pięcie i wyszedł.  
"~ O rany! - szepnął Corey.

HIGGINS

- Wie pan, co zrobiłam? - uśmiechnęła się Michelle. - 2»  
dzwoniłam do działu płac tego ich Departamentu  
Wywiad,, i zwymyślałam tam jakąś dziewczynę.  
Wszysey w moim wydziale byli zaszokowani, a ja  
najbardziej. Ta mała słodka Michelle, wsze  
uśmiechnięta, zawsze uprzejma, a tu nagle tyle w niej  
zjo. ści i jadu. Tak nagadałam tamtej dziewczynie z  
Ministerstwa tak na nią naskoczyłam, tak ją  
wystraszyłam, że obiecała załatwić wszystko  
natychmiast. Kiedy rzuciłam słuchawkę na widełki  
zorientowałam się, że wszyscy na mnie patrzą. „Co się  
tal gapicie? - zapytałam. - Jestem z siebie zadowolona”.  
Wiedziałam, że zobaczyli we mnie kogoś, kogo nie  
znali. Ja sama nie znałam.

- Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że nic patrzą  
na mnie, ale na drzwi. Odwróciłam się, w drzwiach stał  
Baldo. Nie wiedziałam jak długo, nie wiedziałam co, i  
ile usłyszał. Chyba jednak dość dużo. - Uniosła w górę  
brwi i spojrzała na pierścionek z brylantem, który miała  
na palcu. Potem popatrzyła na Corey'a i lekko się  
uśmiechnęła. - Nie miałam pojęcia, że tal właśnie można  
złapać męża, ale ja właśnie złapałam.

Roześmieli się oboje, a ona pochyliła się do przodu i  
ciągnęła lekko konfidencjonalnym tonem:

- Czy pozwoli pan, że udzielę mu kilku rad?

- Oczywiście - powiedział. - Przyjmę każdą pomocną  
dłoń.

- Baldo przygotowuje na obiad kurczaki. Kurczaki w  
senega" skiej sałacie. Uwielbia senegalską sałatę.

Gdybym nie protestowała, jedlibyśmy ją każdego dnia. Ja też ją lubię, ale nie codziennie. Jednak od czasu do czasu Baldo przygotowuj obiad. Dzień wcześniej patroszy kurczaka, gotuje, kroci. Tę kroci seler. To przygotowuje się tuż przed podaniem. Seler musi być świeży. Niektórzy jedzą sos na zimno, ale nie Baldo.

BANKIER

173

musi być świeży i odpowiednio ostry. Z curry. Sos robi straszli-ostry. Raczej robił dopóki żołądek się nie zbuntował.

\_ A więc - pogroziła mu palcem - proszę pamiętać, że lubi pan sałatkę senegalską, panie Corey. Rozumie pan?

\_ Rozumiem. - potwierdził.

\_ Nawet jeśli pan nie lubi. Zwłaszcza jeśli pan nie lubi - podkreśliła z naciskiem.

- Lubię zupę senegalską. Sałatki chyba nigdy nie jadłem. Poprawiła się na krześle.

-Zapewniam pana, że jeśli lubi pan zupę, polubi pan i sałatkę. Nie będzie więc problemów.

-1 jeszcze jedno - ciągnęła. - Sympatyczne u Balda jest to, że nie chowa urazy długo. Kiedy się wyzłości, wyładuje - zapomina o wszystkim. Koniec. Może kogoś dotknąć, ale nie jest pamiętliwy. Jeśli pan go znowu czymś nie sprowokuje, będzie jak baranek, zobaczy pan.

- Dobrze wiedzieć - przyznał Corey.

- Po telefonie Burta, który dzwonił wczoraj, był naprawdę P°dniecony. Powiedział: „Burt przysłała mi tu jakiegoś faceta, z% zc mną porozmawiał. Ten facet odgrzebuje sprawę Man-deville'a. Prosi, bym mu pomógł”.

~ A więc Burt, nie zawiódł mnie, pomyślałam.

Dzwoniłam do kego w czerwcu i błagałam, by znalazł coś Baidowi do roboty.

e chodzi o pieniądze, lecz o to, by miał zajęcie. Coś, co by go ^"teresowało, zajęło mu czas. Oczywiście

uprzedziłam Burta', 8° zabiję, jeśli powie Baidowi o  
moim telefonie. Widocznie straszył, bo nie powiedział.  
idzi pan, nie można człowieka, który całe życie  
pracował, adzić beczynnian na łące, by wachał kwiatki.  
Jak wół. A już  
I

na pewno nie można tego zrobić z Baldem. On nigdy nie by) beczynny, gdyż nigdy nie chciał być beczynny i nie potrafił njc nie robić. Ktoś taki jak Baldo może tylko pracować. Jeśli się gQ posyła na emeryturę, to tym samym skazuje się go na śmierć. A Baldo wcale nic ma zamiaru umierać. On żyje, chce być aktywny, potrzebny.

- W czterdziestym roku wstąpił do armii i pozostał w niej po zakończeniu wojny. W sześćdziesiątym wysiano go na emeryturę: wtedy przeszedł do Departamentu Wywiadu w Ministerstwie. Gdy w osiemdziesiątym drugim, zgodnie /. przepisami, wysłano go ponownie na emeryturę, był wściekły.

- Burt Magoun, kochany chłopak... - Michelle nagle zarnj ła, bo w tym momencie jej mąż wyszedł z domu. Ianucci w obu rękach niósł wielką tacę, którą postawił na i le. Michelle zdjęła z niej dużą, szklaną misę, nakrytą czerwoną serwetką, zakorkowaną jeszcze butelkę czerwonego wina, potem kieliszki, solniczkę i pojemniczek z pieprzem, talerze laterkę z sałatą. W końcu porozkładała sztucce zawis w czerwone serwetki. Tymczasem Ianucci usiadł.

- Przykro mi, że musieliście tak długo czekać. - powiedzW choć z tonu jego głosu wcale nie wynikało, że jest mu prz Szczypcami nakładał na talerze sałatę, po czym polewał ją || sem. Michelle otwierała nieco zaparowaną butelkę wina. -by coś przygotować, trzeba trochę czasu. Tak jest ze wszystfc - popatrzył badawczo

na Coreya i zapytał: - Mam nadzieje, lubi pan senegalską sałatę?

- Nigdy nie próbowałem - przyznał się. Wieczorem p<!  
dział do Jill: "Uważałem, że najbezpieczniej będzie uf  
wszelkiego kłamstwa".



BANKIER

177

**i** Ach tak - Ianucci jadł z wyraźnym apetytem, a równocześnie tak jakoś elegancko, że nie można było zrozumieć, dlaczego sałata tak szybko znika z talerza. Corey był dopiero w połowie pierwszej porcji, gdy Ianucci już sobie dokładał. Niespodziewanie jednak wstał i oświadczył:

- Zaraz wracam. Kawa już zapewne gotowa. Muszę pędzić, bo mi się wygotuje.

Gdy tylko znikł za drzwiami, Michelle wróciła do przerwane go wątku.

- Współpracował z Burtem, gdy ten był w biurze federalnego prokuratora w Bostonie. Kiedy Balda przeniesiono na emeryturę, Burt zaproponował mu, by przyszedł do niego jako główny śledczy. Był to po prostu dar niebios. A jedynym powodem, jedynym, powtarzam, że Burt musiał go przed rokiem zwolnić, było to, że jacyś idioci w Bostonie kazali mu, by przyjął do biura prawnika kobietę. Oczywiście budżetu nie zwiększono. Podniesiono krzyk, że we wszystkich innych prokuraturach okręgowych jest co najmniej jedna kobieta prokurator, a więc tak ma być i w Bostonie. Dlatego Burt musiał przenieść Balda na emeryturę by móc na jego miejsce zatrudnić kobietę. Nie miał środków, żeby zatrudnić ich oboje.

Potrząsnęła głową.

- To było prawdziwe nieszczęście. Burt robił to naprawdę <sup>n</sup>chętnie. Baldo wszystko rozumiał ale to nie zmieniało fatów. Posłano go na emeryturę po raz trzeci,

i to nie dlatego, że <sup>e</sup> wykonywał swoją pracę, ale żeby być w zgodzie z jakimś

<sup>1</sup> etycznymi przepisami. Tym razem to odejście było już **nieodwołalne**. Był bardzo przygnębiony.

<sup>^</sup>słyszeli skrzypnięcie otwieranych drzwi.

179

HIGGINS

- Tak więc jest pan wysłannikiem niebios, panie Corey -

(U, dała ściszym głosem. - Niech pan tego nie  
zapomina, proszę,

- Przyrzekam - odpowiedział szeptem Corey.

## X

jak więc widzisz - powiedział do Jill, kiedy wieczorem rozmawiali w gospodzie „Pod Jednorożcem” - biorąc pod uwagę, że zrobiłem, co mogłem, by zepsuć to spotkanie, dzień minął mi wcale dobrze. Baldo zaproponował, by skatalogować dokumenty dotyczące Kolonii Claretian i sporządzić spis wszystkich nazwisk, jakie w nich występują”.

- A kiedy już to zrobimy - mówił Ianucci w czasie obiadu przed domem - ułożymy to wszystko chronologicznie. Dowiemy się wówczas, kto i kiedy odchodził. Nic tak nie wyjaśnia sytuacji, jak ułożenie wydarzeń w chronologicznym porządku, zwłaszcza jeśli to są wydarzenia z dalekiej przeszłości. Gdybyśmy tego nie zrobili, mielibyśmy kupę nie uporządkowanych faktów. Odpowiedź na pytanie: kiedy, ułatwia często odpowiedź na pytanie, dlaczego.

Jeśli wiadomo, kiedy jakiś fakt miał miejsce, łatwiej można zrozumieć motyw. Oczywiście motyw znamy już teraz: jest nim chciwość. Szkopuł jednak w tym, że to cecha dość powszechna. Każdy, kto zazdrościł Jimowi Mandeville'owi nabycia tej posiadłości, stałby się potencjalnym podejrzanym. W takiej sytuacji możemy doradzić Burtowi, by postawił w stan oskarżenia Wszystkich, którzy wiedzieli o tej transakcji Jima. A to, sam Przyzna pan, nie byłoby rozsądne. Musimy tę listę ograniczyć. Trzeba odnaleźć takich, których chciwość opanowała bez reszty "by mogła pchnąć aż do morderstwa. Musimy więc znaleźć nie tylko odpowiedź na pytanie: dlaczego i kiedy, ale w pierwszym rzędzie na pytanie: kto. Kto kierował się dostatecznie silnymi

"^tywarni i miał do dyspozycji wystarczające środki, by  
dopro-  
dzić do śmierci Mandeville'a.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Musielibyśmy mieć cholerne szczęście, **by** na to wpaść.

JH wsze jednak podejmowałem się najtrudniejszych śledztw zakła-dając, że dobry Bóg postara się już o to, by szczęście mi sprzyjało. To taka lekkomyślna nadzieja chłopca, jedynaka ze skrajnie katolickiej rodziny.

Katolickiej do tego" stopnia, I chłopcu nadano na chrzcie imię przyjaciela Hioba, Bildada z Szuach.

- Tu mnie pan zastrzelił - wyznał Corey. - Nigdy nie byłem oblatany w sprawach kościelnych. Nawet nie słyszałem takiego imienia.

Ianucci potrząsnął głową.

- Mogło być jeszcze gorzej - pocieszył się. - Tata mógł mi nadać jeszcze gorsze imię. Tata miał ciężkie życie, uważał, że zasłużył sobie na coś lepszego. Skarżył się na to często i **głoŚB** nawet moja matka miała tych żalów wyżej uszu. Tata **uważał**, było w tym coś głęboko krzywdzącego, **by** syn szewca z Kalafc który ukończył studia wyższe, nie mógł w Ameryce znak nej pracy - musiał otworzyć warsztat szewski w Bostonie. Ar ryka, kraj nieograniczonych możliwości! A on jest **szewc** Uważał, że dzieje **mu** się krzywda, i chciał, **by** wszyscy **o** wiedzieli. A był szewcem genialnym. Był Carusem kopyta! tego ludzie przychodzili do niego z butami i wysłuchiwali jeg żalów. To cud, że tata nie związał się z jakimiś rewolucjoni **mi** czy anarchistami. Sądzę, że nie pozwoliła **mu** na to gleb wiara.

Jego ulubioną przypowieścią w Biblii była **przypowieść** o Hiobie. Czytał ją setki razy i setki razy opowiadał. Uważał siebie za Hioba. Człowiek wierzący i praktykujący, głowa rodziny, doświadczony ciężką pracą. Ukończył Wydział Historii w uniwersytecie w Bolonii. Poza tym niczego nie umiał z wyjątkiem

zewstwa. Nie znał nawet angielskiego. Na początku lat dwudziestych przyjechali z żoną do Ameryki, ponieważ żona była w ciąży: chcieli, by dziecko urodziło się w Ameryce. Tata nigdy nie zrozumiał, dlaczego nie zatrudnił go żaden uniwersytet. Uważał to za niesprawiedliwość. To go doprowadzało do rozpacz. Miał o wiele bardziej rozwinięte poczucie sprawiedliwości niż realizmu. Sprawiedliwość stawiał ponad wszystkim. Bóg domagał się sprawiedliwości, kochał więc Boga i oczekiwał, że sprawiedliwości stanie się zadość. Nie stała.

Z czasem ludzie przestali go słuchać. Kiedy przyszedłem na świat, otrzymałem imię Bildad. Tata spodziewał się, że teraz przede mną będzie wylewał swoje żale. Byłem przecież jego synem i nosiłem imię najbliższego przyjaciela Hioba. Chyba nietrudno zgadnąć, dlaczego natychmiast po skończeniu szkoły średniej wstąpiłem do armii. Przez całe jednak życie dźwigam to brzemie nałożone na mnie przez ojca imię: Ktoś, kto ogląda moje dokumenty, unosi ze zdumienia brwi do góry. Uprzedzam pytanie i wyjaśniam: - To taki rodzinny dowcip. Proszę mówić mi Baldo.

Oczywiście z tego, co powiedziałem, nic nie wynika - dodał. - Jestem synem mojego ojca, ale zawsze wierzyłem w szczęście. ' zawsze, kiedy go najbardziej potrzebowałem, rzeczywiście mi <sup>s</sup>Przyjało. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyczerpałem całego zapasu, a zresztą może i pan ma jakiś zapasik. Czuję bowiem, że <sup>w</sup> tej sprawie cholernie będziemy potrzebowali szczęścia.



\* Zazdroszczę ci. Mnie tak nie poszło - powiedziała Jill, która Przygotowywała właśnie dżin z tonikiem, który przywieźli <sup>1</sup> -owego Jorku. - Powinniśmy przywieźć też cytrynę i nóż.

~~ %łem przekonany, że cytryny i noże mają w Massachusetts uśrniechnął się. - Mają przecież kanalizację i elektryczność,

i centralne ogrzewanie. Czasami słyszę także szum klimatyzacji. Więc miałaś dziś mniej szczęścia niż ja? Podała mu drinka i usiadła w fotelu.

- Po prostu nic nie załatwiłam - powiedziała. - Carlson pokazał się na uczelni, więc wybrałam się do biblioteki. O porze roku jest tam tak cicho jak tu, w tej czytelni na parterze w naszej gospodzie. Tyle że tam krzesła kupował ktoś, kto chciał, żeby inni będą na nich siedzieć, i to być może całymi goziami.

Po lunchu raz jeszcze zajrzałam do instytutu, ale nadal go nie było, więc wróciłam tutaj. Podobno ta rozmowa z nim to zwykła formalność. Widział moje rekomendacje, zna moje prace. Powiedziano mi, że ma o mnie jak najlepsze zdanie. Oczywiście bez tej formalności nie może mnie zaangażować. Tak jak z wszystkimi formalnościami w świecie nauki. Uważane są ogromnie ważne i niezbędne i trzeba je wypełniać, by uzasadnić wagę tego, co w opinii publicznej wcale nie jest tak ważne, zasady obowiązujące w tym środowisku i jeśli chcesz się do nich dostać, musisz je przestrzegać.

Westchnęła.

Niestety, w ogóle się nie pojawił ani nie dzwonił. Tak więc nic nie załatwiłam. A jutro? Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Może jest w drodze, a może zatrzymano go na jakiejś konferencji. W takim razie zastanawiam się, czy pozostać tu na weekend, bo może Carlson pokaże się w poniedziałek, czy wracać do Nowego Jorku. Ty musisz wracać, bo w poniedziałek powinieneś być w pracy, a ja nie mam ochoty zostać tu sama

- No cóż, na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym bardzo - przerwał jej. - Wcześniej czy później Carlson musi zjawić. Jeśli rzeczywiście nastawiony jest przychylnie do mnie

BANKIER

188

kandydatury, to wszystko pójdzie po twojej myśli. A co do powstania na weekend... Gdybyśmy byli bliżej domu, można by jechać i wrócić. W gospodzie jest dużo wolnych pokoi. Co do mnie- Wprawdzie na moim biurku czeka kilka dość pilnych spraw, ale nic się nie stanie, jeśli załatwię je we wtorek czy nawet w środę rano. Przecież wszyscy dobrze wiedzą, że noszę się z zamiarem odejścia. Nie robiłem z tego tajemnicy. Nie zamierzałem nikogo zaskakiwać. Zatelefonuję w poniedziałek i powiem, że muszę przedłużyć pobyt tutaj na dzień lub dwa. Nic się nie stanie,-i tak stamtąd odchodzę.

Popatrzyła na niego badawczo.

- To już naprawdę postanowione?

- Co postanowione? - nie zrozumiał.

- Postanowione, że nie zostaniesz prawnikiem z Wall Street, prawnikiem, który za dziesięć lat będzie zarabiał milion dolarów rocznie? Postanowione, że plujesz na to i przenosisz się na prowincję?

- Mówiłem ci, kiedyśmy po raz pierwszy dyskutowali o twojej nowej pracy, że mam zamiar przenieść się tu z tobą - potwierdził. - Znasz mnie wystarczająco długo i dobrze, by wiedzieć, że jestem jak rozkapryszony chłopak. Gdy mi coś strzeli do łba, to nie spocznę, póki tego nie zrobię. Chcę się po prostu sprawdzić. Jestem poważnym, wzorowym pracownikiem biura na Wall Street. Z czasem mógłbym zostać równie odpowiedzialnym współnikiem i współwłaścicielem. A jeszcze potem

odpowiedzialnym szefem. A kiedy wreszcie na łożu śmierci spojrzę

śecz. na moje życie, uświadomię sobie, że byłem nieszczęśliwy "bo nie robiłem tego, co mi sprawiało przyjemność.

" Oczywiście niepilno mi do żegnania się z życiem .- ale tak ty inaczej to mnie nie ominie. Natomiast mogłaby mnie omi

HIGGINS

nać przyjemność, jaką chcę czerpać z życia, a z tego wolałbym nie rezygnować. A to, co ty będziesz robiła, co my będziemy rj. bili, jest dla mnie o wiele ważniejsze niż posada w biurze Bir. nam, Barkey i Morris.

Nikt, z kim na ten temat rozmawiałem, nawet ty, choć ty w tej sprawie nie możesz być całkiem obiektywna, nie wysunął jakiegoś naprawdę rozsądnego argumentu za moim pozostaniem na Wall Street. Właściwie jedyny argument to forsa. To jednak za mało. To sprowadza się do wyboru - forsa czy ciekawe życie, jł wybieram ciekawe życie.

Drugi argument to imprezy kulturalne na Manhattanie. To miałoby sens, gdybyśmy byli ludźmi, którzy nie opuszczają żadnej premiery na Broadwayu, żadnej nowej wystawy w muzeum czy w galerii. Niestety, nie bywamy ani na premierach, ani na wystawach. W ogóle poruszamy się niemal wyłącznie na trasie dom - praca. Oczywiście chodzimy czasem na koncerty i lubimy spacerować po Piątej Alei. Przejrzałem stare kalendarze, które trzymam w biurku. Czy wiesz, ile razy w minionych dwóch lął tach byliśmy w teatrze? Siedem razy. Trzy i pół razy na rok. W poprzednich latach było jeszcze gorzej. Po prostu harujemy dniami i nocami. I to całe nasze kulturalne życie.

Następny argument to kariera. Praktyka w Nowym Jorku otwiera wszystkie drzwi. Drzwi do czego? Do władzy w Waszyngtonie, do Ministerstwa Skarbu, do Kongresu. I co z tego? Nie mam zamiaru piąć się ku jakiegokolwiek władzy w tym kraj", w tym stanie, w tym

mieście. Nawet na kolei też nie. To mrrie nie interesuje.  
Rozumiesz mnie?

- Chyba tak - przyznała z wahaniem. - Byłam  
zaskoczona kiedy powiedziałeś, że jesteś gotów zwinąć  
manatki i przenieść się ze mną na prowincję. Byłam tak  
zaskoczona, że nie wiedzie

BANKIER

192

łam, jak zareagować. Po prostu straciłam głowę. Jak asystent na swoim pierwszym wykładzie.

Widzę, że odkąd tu przybyliśmy, twój entuzjazm rośnie, ale wciąż mi się wydaje, że robisz to wyłącznie ze względu na mnie. Zresztą tak jak zawsze. I sama siebie pytam: „Mój Boże, a co będzie za rok, kiedy on to wszystko znienawidzi i nie będzie mógł już tego dłużej wytrzymać? A jak raz zrezygnuje z kariery na Wall Street, to już nie uda mu się tam wrócić. Na całe życie utknie w tych lasach. I oboje będziemy tego żałowali”.

Nie chcę, byś się dla mnie poświęcał, Joe - powiedziała. - Chcę, żebyś coś dla mnie robił - tak jak ja robię dla ciebie. To jednak nie znaczy, że masz się poświęcać - zamilkła na chwilę. - Opowiadałam o śmierci dziadka. Nie wiem sama dlaczego tak mnie to nurtuje. Zawsze nurtowało. Mama i ciotka dużo o tym mówiły. To wisi jak miecz nad naszą rodziną. Jeśli go zabito, to dlaczego? Zemsta? Zazdrość? A może to było samobójstwo? Z jakich powodów? Defraudacja? Załamanie nerwowe? Nie mam pojęcia - westchnęła. - To jednak o wiele za mało, byś dlatego miał przekreślać swoją karierę.

- Wcale nie za mało - zaprzeczył. - Zwłaszcza że wiąże się to ze stylem życia, który mi bardziej odpowiada. Mam świadomość, że wreszcie robię to, co powinienem robić.

i. /

- Ach, ty draniu - westchnęła. - Ty już masz to, czego chcia-



feś, a nadal jestem zawieszona w próżni.

## XI

Ned Polland został członkiem dyrekcji firmy adwokackiej Birnam, Barkey i Morris w styczniu 1979 roku, na dwa tygodnie przed swoimi czterdziestymi drugimi urodzinami: był więc naj. młodszy z tych, którzy kiedykolwiek dostąpili takiego zaszczytu. Przez pierwsze lata pracy na tym stanowisku Ned działał z takim oddaniem, wytrwałością, skutecznością i uporem, że niemal wszyscy pozostali członkowie dyrekcji zapomnieli, iż do jego awansu doszło z powodu nagłego załamania i konieczności hospitalizacji jego poprzednika, który okazał się nałogowym alkoholikiem i uległ zatruciu alkoholowemu w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Ned Polland był człowiekiem rodzinnym. Szafka za jego biurkiem zastawiona była zdjęciami żony i ich siedmiorga dzieci. Na jednych grali w tenisa, na innych w piłkę, na jeszcze innych łowili ryby, jeździli na nartach, bawili się na pikniku lub pływali na tratwach w Colorado.

„I w taki sam sposób Ned myśli o firmie - powiedział Joe do Jill. - To jego druga rodzina. Jeśli ktoś młodszy podaje w wątpliwość polecenia starszych, to według niego łamie prawa obowiązujące w rodzinie. obraża rodziców czy coś w tym rodzaju”

Siadając na obitym brązową skórą fotelu naprzeciwko biurka i zakładając nogę na nogę Corey zaczął:

- Ned, jeszcze przed wyjazdem rozmawiałem z Edem i uprz\*" dziłem go, że rozważam możliwość odejścia.

Polland skinął głową.

- Ed wspominał mi o tym - mówiąc to ściągnął brwi, zmafSJ czył czoło i patrzył na blat biurka. Bawił się ołówkiem turlają.<sup>0</sup>

BANKIER

196

nim p<sup>o</sup> rozłożonych dokumentach. Wydał wargi. - Nie zdzi-wjs/ się chyba, Joe, jeśli wyznam, że byłem zaszokowany.

\_ Zaszokowany? Rozumiałbym, gdybyś był zaskoczony, ale zaszokowany?

Polland wyprostował się.

\_ No cóż. Ja jestem w tej firmie od dwudziestu dziewięciu lat. W czerwcu będzie trzydzieści. To oczywiście żaden rekord. Fred Barkey dobiega do sześćdziesięciu. Przed nim jego ojciec przepracował tu siedemdziesiąt. Tyle samo co dziadek Eda Bir-nama. Ty pracujesz dopiero sześć lat i nie masz jeszcze tej perspektywy. Ja jednak mogę ci na podstawie moich doświadczeń powiedzieć, że to, o czym mówisz, jest szokujące. Tego się po prostu nie robi, nie odchodzi się.

- Przecież stale stąd ktoś odchodzi - zaprotestował Corey. - Nie chcę powiedzieć, że jest tu zbyt duża fluktuacja kadr, ale przed sześciu laty przyszło nas tu czternastu, dziś zostało czterech. Dziesięciu musiało odejść. A to tylko przykład z jednego roku studiów. Na pewno w innych latach jest podobnie.

- Joe, Joe - Polland pokiwał głową. - To nie to samo, wiesz<sup>o</sup> tym doskonale - mówił z żalem i przykrością.

..Oczywiście, że nie to samo - mówił wieczorem do Jill. - Kiedy po trzech latach pracy w twoim pokoju w biurze zjawi się słońce dyrekcji, by powiedzieć ci, że nie masz najmniejszych szans na awans, oznacza to, że dla dobra firmy powinieneś się Wynosić. Jeśli jednak ty pójdiesz

do niego i powiesz, że sam "masz zamiar się wynosić, to już. jesteś zdrajcą i dezerterem". -

Siedzieli w jadalni w swoim mieszkaniu - przegrzanym z powodu niesprawnej klimatyzacji - wśród książek, które Jill połągała z półek szukając jakichś materiałów.

„Miał taką minę, jakby wdepnął w to, co na chodniku zosta., wił przed chwilą bernardyn sąsiadów - uśmiechnął się **Joe**! Wziął z biurka teczkę z moimi aktami i oświadczył, że firnu wydała już na kształcenie mnie czterysta trzydzieści sześć tysic. cy

dolarów. Widocznie kiedy człowiek zostaje członkiem dyrekcji, zapomina o tym, że firma, owszem płaci za pracę - JB w zamian otrzymuje wyniki tej pracy.

Obliczam, że na mnie % ma zarobiła pełny zwrot tych wydatków plus trzysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów, co oznacza dochód w wysokości osiemdziesięciu ośmiu procent zainwestowanych pieniędzy. Jest bardzo niewiele możliwości tak dobrej lokaty kapitału. 1

Zamknął moją teczkę z taką miną, jakby zamykał drzwi do brudnej toalety, zdjął okulary i zaczął je przecierać".

- No tak. Ale widzę, że podjąłeś już decyzję i nie ma się próbować odwozić cię od niej - zakończył rozmowę Ned Pi land.

- Rzeczywiście nie miałyby to sensu - powiedział Joe do żony. - Poszedłem na lunch w podłym nastroju. Kiedy wróciłem zastałem na biurku kartkę, że Ed chce mnie widzieć.

- Słyszałem Joe, że mieliście dziś rano z Nede małą pogawędkę - powiedział Birnam w chwilę po połknięciu porcji frytek, którymi się opychał. Jak zawsze jadł lunch w biurze. Tłumaczył to następująco: „To taniej, a poza tym lekarz i żona nie pozwalają mi jeść tłusto, a więc jem tu, gdzie mnie nie mogą zobaczyć". Przysunął do siebie kanapkę z rozbefem i jeszcze jedną porcję frytek,

wyprostował się i patrzył na stojące<sup>0</sup> przed biurkiem Coreya. - Siadaj, siadaj wreszcie mruknął-' Przecież nie podłożyłem pod ten fotel bomby. Przynajmniej r szcze nie.

Kiedy Corey usiadł, Birnam ciągnął:

BANKIER

200

\_ Ned żąda, by cię wyrzucić pod zarzutem dezercji. Był zdenerwowany i nie jestem pewien, czy miał na myśli dezercję z wojska, czy ze stanu małżeńskiego. Jedno jest pewne: uważa, że trzeba wobec ciebie postępować ostro i stanowczo. Może nie będzie się domagał zesłania do obozu pracy, ale z całą pewnością zawieszenia pensji. Masz motorek w tyłku, kolego i nie możesz już usiedzieć na miejscu?

Corey wzruszył ramionami.

- Na to właśnie wygląda, Ed. - powiedział - Do dziś zaliczałem Neda do swoich przyjaciół. Kiedy wychodziłem z jego gabinetu, byłem wściekły, ale już na lunchu się uspokoiłem. Teraz jest mi trochę głupio. O co ten cały wrzask? Wróciłem z wakacji nie przypuszczając, że moje plany wywołają tyle zamieszania. Po prostu żona dostała ofertę pracy, której nie może odrzucić. Chcę z nią wyjechać i spróbować czegoś nowego. Być może powinienem już dawno usiłować coś zmienić moim życiu... Wcale nie zwariowałem. Tu wiodło mi się znakomicie. Dużo się nauczyłem. Teraz nadszedł czas, by nauczyć się czegoś nowego. To wszystko.

Birnam się nachmurzył.

- Chciałbym, żeby tak było - mruknął. - Właściwie to ci zazdroszczę. Jednak dla Neda Pollanda i dla innych to wcale nie

Jest takie proste. Nie zdziw się, jeśli nie wszyscy będą dla ciebie mili.



Niemili dla mnie? Ja też mogę być niemiły dla nich -  
odpowiedział Corey. - Choć tak naprawdę nie widzę  
żadnego powodu by ktoś miał być dla kogoś w tej  
sprawie niemiły.

~ To jest niemiłe dla nich. Mają pretensje do ciebie, że  
im sprawiasz kłopot - westchnął. - Sądzę, że nic na to nie  
można poradzić - pochylił się do przodu i oparł łokcie na  
biurku.

108 HIGGINS

- Ta sprawa, którą masz zamiar się tam zająć, to jakieś mor-derstwo, tak?

- To coś więcej - odpowiedział Corey. - To morderstwo w rodzinie. W rodzinie żony.

- I to cię tak zaintrygowało?

- Może raczej zainteresowało - sprostował Corey. - To coś nowego i interesującego.

Birnam uśmiechnął się.

- I mnie się też wydaje interesujące. Nigdy w życiu czymś takim się nie zajmowałem. Nikt w firmie się czymś takim nie zajmował. A może i nie chciał. Wiesz, jak to mówią, chacun a son gout. Wprawdzie nie sądzę - ciągnął - by ta sprawa czy jakaś inna, z którą się zetkniesz w tych puszczech na północy, mogła mieć związek z którymś z naszych klientów, niemniej zdajesz sobie sprawę, że podpasz pod paragraf Rogera.

Musimy przyjrzeć się wszystkim sprawom, jakie prowadziłeś od chwili, gdy przekroczyłeś próg tej firmy. Okropne zajęcie, ale nie możemy ryzykować, że jakiś klient zaskarży nas, bo ktoś, kto fl | kiedyś pracował, teraz wykorzystuje gdzieś informacje, które zdobył u nas.

- Znam tę zasadę, ale nie wiedziałem, że nazywacie ją paragrafem Rogera.

- Jedynie w gronie rodzinnym - wyjaśnił Birnam. - To tab rodzinny dowcip. Roger to mój brat, starszy o osiem lat. zawsze nade mną przewagę i wszelkie dane po temu, by zosta\* głównym spadkobiercą. Ojciec kochał

kobiety, ale uważał, że światem rządzą mężczyźni.  
Dlatego też od kołyski nas do tego przygotowywał.  
- Nie chcę powiedzieć, że ojciec był niezadowolony z mojego  
przyjścia się na ten świat. Wychowywał mnie dokładnie  
tak

BANKIER

204

ff10 jak Rogera. Ja jednak byłem synem zapasowym: jak zapasowe koło w bagażniku. Potrzebne, nawet niezbędne - ale wolałbyś go nigdy nie używać.

Roger miał trzydzieści trzy lata, kiedy zaczął tu pracować. Od razu uznano go za gwiazdę - zasłużył na to. Roger to wspaniały mężczyzna, o wiele mądrzejszy niż ja, ożeniony ze wspaniałą dziewczyną, z którą ma trójkę udanych dzieci, w tym pierwsze go wnuka moich rodziców, ochrzczonego oczywiście imieniem Roger Czwarty. Mój brat był jak aktor, który gra rolę senatora stojącego do kampanii prezydenckiej. Widzowie od pierwszej minuty wiedzą, że to właśnie on wygra. Specjalizował się w prawie giełdowym i został uznany za eksperta w tej dziedzinie. Wszyscy, od Atlantyku po Hawaje, zwracali się do niego o pomoc i radę.

- Kiedyś towarzyszyłem ojcu, który w jachtklubie podejmował obiadem naszych klientów z kół bankowych. W pewnym momencie jeden z nich zaczął wychwalać Rogera: „Roger, to naprawdę ktoś. Kiedy zabiera głos, wszyscy na sali zamieniają się w słuch. Mają świadomość, że słucha się przyszłego ministra skarbu czy szefa Urzędu Rezerw”. Ojciec nawet nie mrugnął °kiem i odpowiedział: „Dziękuję, rzeczywiście jestem z niego bardzo dumny. Tak samo jak z Eda”. I przeszedł do innych tematów.

~ Czy było ci kiedyś zimno i gorąco jednocześnie? Mnie wte-właśnie tak było. Gdy usłyszałem, co ojciec powiedział, obla\* 'em się rumieńcem, spociłem i zatrząsłem z zimna. Tata nigdy, Przenigdy nie przyznał,

że jest z kogoś zadowolony, dumny. ^<sup>le</sup>raz tak wyraził się o mnie. Wiedziałem, iż zrobił to, ponieważ byłem tam. Nagle uświadomiłem sobie, dlaczego tam by-<sup>le</sup>n. Tata bowiem już dawno doszedł do wniosku, że ktoś tak ta<sup>le</sup>entowany jak Roger powinien osiągnąć coś więcej, więcej  
|

niż tekę ministra. Czyż nie powinien być kimś, kio mianuje mi. nistrów? Kimś, kto mieszka w wielkim białym domu'.' Kimś czyje pojawienie się oznajmia orkiestra wojskowa? W takim r& zie powinien przygotować się do objęcia firmy: podczas gdy Roger powinien przygotowywać się na spotkanie swojego łosi w Waszyngtonie.

- Tymczasem los splatał nam figla - kontynuował Birnam. I Zjawił się Jack Kennedy, a Roger podążał za nim krok w krok, chociaż był zazartym republikaninem. Roger pragnął czynić coś dobrego. Kierując się jakimś nadrzędnym poczuciem obowiązku zrezygnował z osobistych ambicji. Przeniósł się do Waszyngtonu, by pracować dla agencji zajmującej sic problemami biednych na Południu, szkołami publicznymi, śniadaniem dla ubogiej młodzieży i przystankami autobusowymi. Tu zetknął się z atmosferą niechęci do administracji rządowej, która wpycha swój nos we wszystko, choć nikt jej o to nie prosi. Przeszedł na stronę wrogów, bandy kolorowych i lekkoduchów, którzy chcieli zniszczyć nasz tradycyjny styl życia. Ojciec był zawsze hojny dla różnych murzyńskich szkół czy organizacji, ale Roger poszedł zbyt daleko.

- Kiedy Roger z Gail i z dziećmi przyjeżdżali na święta, w do? mu panowała napięta atmosfera. Była to jednak kaszka z mleczkiem w porównaniu z konfliktami, jakie miały miejsce w firmie. Birnam znalazł się w obozie przeciwnika. Niepojęte. Przede wszystkim trzeba było coś szybko zrobić, by uspokof klientów, dać im

pewność, że Roger nie użyje swojej wiedzy przeciwko nim. I tak właśnie powstał paragraf Rogera.

- Mówię o tym nie bez powodu. Bobby Kennedy ściągnął Rogera do Ministerstwa Sprawiedliwości, zaangażował go do walki ze zorganizowaną przestępczością. Roger jako doświadczony żołnierz z entuzjazmem przyjął nowe zadanie. Oczywiście z całą

BANKIER

energiją wydając wojnę mafii. Ojciec absolutnie nie aprobował tego, co robi Roger - ale to, czym zajmował się teraz było dlań nawet do przełknięcia. Widywało się więc Rogera w telewizji, jak krytykuje gubernatorów z Południa i atakuje policję. Lubił swoją pracę i pozostał w ministerstwie aż do przejścia na emeryturę.

I długi czas nie działo się nic strasznego. Nasza firma nie prowadziła interesów mafii, a mafii obawiali się wszyscy i na jej karb kładli wszelkie zło, jakie się wydarzyło w naszym kraju.

Wieczorem Corey opowiadał żonie:

- Do tego momentu byłem przekonany, że Ed opowiada to wszystko, by mnie uspokoić. Myślałem, że chce mnie nakłonić, bym jakoś ułagodził Neda i sprawił, by moje odejście odbyło się w spokojnej atmosferze. Byłem jednak w błędzie.

Birnam odkasznął i skupił się w sobie, jakby zbliżał się do ważnego finiszu.

- No i Roger wojował z mafią - ciągnął. - Po sprawie związku dokerów zabrał się do różnych afer korupcyjnych i po nitce do kłębka zaczął się zbliżać do niektórych naszych najpoważniejszych klientów.

- Rozumiem - powiedział Corey.

~ Początkowo nie orientowaliśmy się w kierunku i zasięgu śledztwa - opowiadał Birnam. - Byliśmy więc niemile zaskocze-

- kiedy jeden z naszych klientów z Chicago zadzwonił z awan-Ura., że biuro Rogera domaga się od niego ujawnienia ksiąg



nansowych za okres ostatnich trzech lat. Wydawało się  
nam, że podpis Rogera na wezwaniu jest zwykłym  
prypadkiem.  
odchrząknął.

- No właśnie. Zwykły, przypadek. Trzeba było jednak przeko. nać o tym naszego klienta. Trzeba było go zapewnić, że Rog<sub>er</sub> nie wyniósł z firmy żadnej informacji na temat jego finansów, Ale nie było to łatwe.

Powiedziałbym, po prostu niemożliwej<sup>^</sup>

- W okresie następnych szesnastu miesięcy nie było tygodnia, by któryś z naszych klientów nie skarżył się na Rogera, który rozsyłał po całym kraju wezwania do składania zeznań finansowych. Ojciec i ja dosłownie odchodziliśmy od zmysłów. Nigdy nie zajmowaliśmy się prawem kryminalnym i musieliśmy prosić o pomoc jakąś firmę z San Francisco, by broniła naszych klientów przed Rogerem. Od kompletnego szaleństwa uchroniło nas jedynie to, że Roger wziął się za co innego i przestał się zajmować przestępczością finansową.

- Jak widzisz, nie możemy dopuścić, by coś takiego kiedykolwiek się powtórzyło - wyjaśnił Birnam. -

Dlatego właśnie stosujemy ten paragraf Rogera.

Oczywiście w twojej sprawie to wygląda nieco inaczej.

Być może w tę sprawę rzeczywiście zamieszana jest

mafia. Jeśli tak, to bardzo by ci się przydało

doświadczenie Rogera. On jest już na emeryturze, ale

pamięć ma doskonałą. Gdybyś chciał, mógłbym

zorganizować ci spotkanie z nim, zanim stąd

wyjedziesz. On ci może wiele wyjaśnić.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, Ed. Będę ci ogromnie zobowiązany.

Birnam wzruszył ramionami.

- Nie chciałbym, byś z zachowania Neda wyciągał wnioski, ?r jesteś w firmie persona non grata. Nic z tych rzeczy. Byłeś doskonałym pracownikiem i gdybyśmy ci dawali świadectwo p\*8' cy, to napisalibyśmy o tobie: „znakomity”. Zresztą może kiedyś będziemy potrzebowali kogoś, kto by nas reprezentował w *t/r*

BANKIER

212

puszczach na północy. Kogoś, kogo znamy, komu wierzymy, leto mógłby dla nas pracować. Mamy już takich w Europie, w Anglii-

\_ Masz na myśli takiego niezobowiązującego współpracownika - konsultanta? - zapytał Corey.

- Tak, konsultanta, czy jak tam - potwierdził Birnam. -

Nazwa obojętna. Tam na północy mamy wielu klientów. Kilku naprawdę ważnych. Niektórzy mieszkają w swoich posiadłościach, a od czasu do czasu chcieliby skorzystać z czyjejś porady. Już od dawno mówiliśmy, że potrzebujemy swojego człowieka.

Przedtem nie mieliśmy kandydata, a teraz jesteś ty.

Znamy cię i lubimy. Jeśli nie masz nic przeciwko, postawię ten wniosek na najbliższej radzie dyrekcji.

- Oczywiście, że nie. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- To doskonale - ucieszył się Birnam. - Kiedy Roger przeszedł na emeryturę, podjął współpracę z firmą o nazwie Systemy Bezpieczeństwa. Jest to firma w Wirginii, która doradza, jak uchronić się od mafii, od przemytników, od różnych form nielegalnego biznesu. 1

my, i nasi klienci korzystamy z jej usług. -Mamy więc

kontakt z Rogerem. Jeśli będzie ci mógł pomóc w sprawie, którą ty się zająłeś, jestem pewny, że ci pomoże.

Za dwa tygodnie mamy tu rodzinne spotkanie.

Powiem mu o tobie. Zobaczymy, jak zareaguje.

Wyznam nieskromnie, że wiem jak. Wy jesteście do siebie bardzo podobni.

## XII

O godzinie 16.10 ostatni goście zjedli obiad i opuścili restaurację „Okno na Świat” znajdującą się na 107 piętrze wieżowca World Trade Center. Gdy Corey wy dostał się z zatłoczonej windy, z ulgą stwierdził, że w sali klubowej pozostał jedynie krzątający się za bufetem barman. Zajął stolik przy oknie z widokiem na południowo-wschodni cypel Manhattanu i East River, która wyglądała jak niebieskoszara wstęga roztopionego metalu. W miłym powietrzu klimatyzowanego wnętrza [ehlodz.il](http://ehlodz.il) rozgrzane piekielnym upałem ciało.

Nie oczekiwał telefonu od Rogera Birnama. Przez ostatnie dwa tygodnie, a więc od powrotu z Shropshire nie miał głowy do niczego: zajęty był inwentaryzacją spraw, które prowadził w biurze Birnam, Barkey i Morris od dnia, kiedy pojawił się tam jako świeżo upieczony magister prawa, do dziś. To potwornie nudne zajęcie zabrało mu czternaście dni. Wychodził z domu wcześniej rano, kiedy roznosiciele prasy zostawiali na progu mieszkań owinięte w przeźroczystą folię egzemplarze Nef York Timesa. Jeszcze półprzytomny mijat starszą panią, która o lej porze wyprowadzała swoje dwa pieski i pozwalała im dyskretnie załatwić się na chodniku, poczym szybko znikala nie usuwając śladów psiego wykroczenia, co zgodnie z rozporządzeniem samorządu miejskiego, było jej obowiązkiem. Mij\* powracających z pracy na nocną zmianę Latynosów i Murzynów. Kupował w ulicznym barze dużą kawę w papierowym kubku i nigdy nie

reagował na próby sprzedawcy, Pakistańczyk\* który usiłował mu wcisnąć pączki.

- Wydaje mi się, że o to mu właśnie chodzi -  
powiedział«? Dale Restic, którą skierowano do pomocy przy sporządzaniu

BANKIER

215

inwentaryzacji. Jego angielszczyzna jest skrzyżowaniem bełkotu taksówkarza Latynosa ze slangiem kioskarza, który nauczył się kilkudziesięciu angielskich słów, ale nie wie jak ich używać. Czasami można to zrozumieć, ale nigdy nie można mieć pewności, że zrozumiało się właściwie.

Było mu żal Dale.

„Jest bardzo nieśmiała - powiedział do Jill. - Zupełnie nie wie, jak ma się zachować. Dwa lata po studiach byłem chyba tak samo nieśmiały jak ona. Jest cholernie inteligentna. Na swoim roku w Chicago miała trzecią lokatę. Teraz jednak jest jakaś zagubiona, jakby zastraszona. W firmie przerzucają ją z miejsca na miejsce, z wydziału do wydziału. Zapewne modli się w duchu do Boga, by dał jej cierpliwość i siłę na przetrwanie tego okresu próbnego. A to jeszcze rok. Na pewno jest jej ciężko. Ja już zapomniałem, co to znaczy w pierwszych latach pracy odczuwać ten paraliżujący lęk przed szefami. Dopiero po jakimś czasie, po zakończeniu okresu praktyki, zaczyna się traktować ich po koleżeńsku. Początki jednak *H* niemiłe. Człowiek ma ochotę prosić ich, by pozwolili \* dotknąć rąbka swoich szat, by uchylili zasłonę tajemnicy otaczającą firmę, ich pracę, ich sukcesy. I ona to właśnie teraz przeżywa. Nie może pojąć, że ja, stojąc na progu krainy szczęścia i obfitości o której ona śni i marzy, nagle z wszystkiego rezygnuję. Jest Pokonana, że zwariowałem”.

~ A może rzeczywiście zwariowałaś? - spytała Jill -  
Może "boje zwariowaliśmy? Może powinniśmy nie  
tylko odnowić Prenumeratę «New York Timesa», ale  
nawet zacząć czytać tego Szrnatlawca? Może to, że  
podnosimy gazetę z progu, kładziemy  
a s,ole i nigdy jej nie czytamy, to za mało? Może to jest  
tak: ' ^ teśrny na Wyspie Szczęścia, podchodzi do nas  
bogini, podaje nam puchar z ambrozją, a my  
odpowiadamy: „Dzięki, poprosi



my o coca-cole". Może nie doceniamy tego wszystkiego, **cjH** mamy. Jak profani zrobimy coś, co jest tragicznym błędem. **M**

Popatrzył na mieszkanie, w którym panował nieopisany bała-gan. Pokój i przedpokój wypełniały kartony oblepione taśmą, Jill kupiła jej aż dziesięć rolek. Kartony stały jeden na drugi-ledwie można się było przecisnąć.

„Nie sędzę”, burknął.

Uśmiechnęła się.

„Nie masz żadnych wątpliwości?”

„Tak daleko bym się nie posunął. Są chwile, kiedy zadaję so bie pytanie: dlaczego opuszczam Ziemię Obiecaną? Ale cze> ściej to pytanie brzmi: jak to się stało, że się znalazłem w tym burdelu?”

Położyła mu rękę na ramieniu.

„Daj spokój, Joe . Wiem, że chcesz rozwiać moje wątpliwości i przekonać mnie, że robisz to z radością. Fakty jednak są takie: rzucasz doskonałą, świetnie płatną pracę, w której oczekiwała cię świetlana przyszłość. Każdy na twoim miejscu musiałby mieć wyrzuty sumienia...”

„No cóż, ja nie jestem każdy - przerwał. Wielki Boże, kobieto patrz uważnie na to, co porzucam. Pracownik tej firmy mu\* mieć patologiczne upodobania do podporządkowywania Cierpieć na chroniczną niepewność, nieśmiałość, uległość.

Tak to właśnie wygląda. - podniósł głos, żeby brzmiał bardziej przekonująco. - Oczywiście lubię Eda Birnama. Był Z\* wsze szczery i lojalny wobec mnie. To on załatwił

mi pracę, \*-i mnie popierał. Od samego początku.  
Zabiegał o to, bym godzi' wie zarabiał i, opiekował się  
mną na wyboistej drodze praktyl\* Tak, to miły facet.

\_ Zastanów się jednak, dlaczego to robił, co z tego miał. Lubił mnie i ja lubiłem jego. Ja także byłem wobec niego lojalny i szczery. Pytałem go, gdy czegoś nie rozumiałem i prosiłem o rady, do których potem skrupulatnie się stosowałem. Pracowałem wydajnie i firmie zwracał się każdy wydany na moją pensję dolar. Ed popierał kogoś, na kogo mógł zawsze liczyć. Był to układ korzystny dla obu stron. Nigdzie nie jest napisane, że to miała być umowa na wieki. Nigdzie, nigdy, nikomu niczego nie przysięgałem. Powiniennem był to wyraźnie powiedzieć Edo-wi i poradzić mu żeby się wypchał".

„Nie powiedziałaś tak, bo jesteś na to za mądry - mówiła powoli. - Wiesz, że jeśli rozstaniecie się jak przyjaciele, on może jeszcze to i owo dla ciebie zrobić".

„Może zrobić i może nie zrobić" - wzruszył ramionami.

„Tak, masz rację. Ale jeśli nie rozstaniecie się jak przyjaciele, to z całą pewnością on zrobi coś, co tobie nie przypadnie do gustu" - pokiwała głową.

„Też prawda - przytaknął. - Jednak to, co robię jest jak przyjęcie zaproszenia do kąpieli w fantastycznej grocie kapitana Nemo. W rezultacie znajdę się w uścisku ogromnej ośmiornicy, tej samej, która oplotła «Nautilus».

Roger Birnam wkroczył do restauracji «Okno na Świat» o godzinie 16.50. Miał bujną, srebrzystą czuprynę, opaloną twarz o rysach senatora, ubrany był w elegancki garnitur w sza-rej wełny. Omiótł salę wzrokiem i natychmiast zauważył Co-reya. Podszedł do

stołu nonszalanckim krokiem gentelmena <sup>s</sup>Pacerującego  
nad brzegiem Tamizy i lekko pochylając głowę -Pytał:  
~~ Czy mam przyjemność z Josephem Coreyem?

«Oczywiście natychmiast wstałem z miejsca - powiedział wje czorem do Jill - Kazał na siebie czekać czterdzieści minut, a ja myślałem tylko o tym, że muszę mu okazać szacunek. Mówię cj zaczynam tracić godność. Gdyby to widziała moja mama, byłaby zdumiona, a ojciec pełen niesmaku».

- A czy był jakiś powód, żeby się tak zachować?

- Absolutnie nie - wyznał - On dość mętnie zaczął opowia-dać o jakichś nudnych bankierach, którzy zajęli mu całe popołudnie referując dokumenty, tymczasem on mógłby je przeczytać w kilkanaście minut. To niby miały być przeprosiny z jego strony. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno jak to potraktuję. Człowiek o jego pozycji zawsze przychodzi o czasie, to znaczy o czasie, jaki mu pasuje".

Birnam spojrział na lemoniadę, które stała przed Coreyem, sam zamówił drinka o nazwie Bombay Gibson.

„Chciałem się zapaść pod ziemię ze wstydu i szybko zamówiłem takiego samego drinka". - powiedział Corey do Jill.

Birnam uśmiechnął się charakterystycznym dla Birnamów

uśmiechem i zmienił temat.

- Ed zdradził mi, że schodzi pan z pokładu, Czy mogę zapytać co jest powodem tej decyzji? Jest raczej nietypowa.

- Chodzi o wydarzenia sprzed dwudziestu lat. O morderstwo.

„Potem pokrótce zreferowałem mu całą sprawę - informowałem Jill - Powiedziałem to, co wiem od ciebie, od Oldhama, od Amelii, to co usłyszałem od Burta Magouna i od Balda. Zreferowałem zwięźle. On słuchał w milczeniu, czasami kiwał głową. Nie mogłem się zorientować, czy i co dowiedział się już przed' tern od Eda".

BANKIER

223

Kiedy Corey skończył, zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

js[<sub>a</sub> podstawie tego, co pan mówi, zakładam, że nie ma innych faktów, świadczących o czymś wręcz odwrotnym - wyciągam wniosek, że Warren Oldham ma rację. Znam Warrena od co najmniej trzydziestu lat. Poznałem go, kiedy był młodszym oficerem policji. Prowadził jakąś niewielką sprawę, która prawdopodobnie miała związek z pewną operacją dotyczącą podziemnej organizacji przestępczej w Buffalo. Zajmowałem się tą operacją. Jednak jej powiązania ze sprawą Warrena były zbyt niepewne by usprawiedliwiały skierowanie tam naszych ludzi, Warren działał na nasze zlecenie. Zresztą niewiele wykryto. W gruncie rzeczy jego sprawa dla nas nie miała znaczenia.

Łyknął drinka, odstawił szklanekę i mówił dalej:

Właściwie to przestaliśmy zajmować się tą sprawą.

Uważaliśmy, że prokurator okręgowy i kilku policjantów poradzą sobie z nią sami. - nachmurzył się i znowu łyknął drinka. - Warren był zawiedziony i usłyszałem od niego kilka gorzkich słów. - Popatrzył w zamyśleniu na Coreya, jakby się zastanawiał, czy 'en go rozumie. - Tak w tamtych czasach było. Prowadziłem skomplikowane sprawy, z zaangażowaniem ogromnych środków, szukałem sposobów, by dobrać się do skóry wielkim bossom podziemia.

Zamilkł ponownie. Coś sobie przypominał, o coś sam się ze <sup>Sob</sup>4 spierał.

~ Kiedy prowadziłem te sprawy, nauczyłem się jednego. Ci w^elcy bossowie nigdy nie przychodzili z pomocą małym bos-s<sup>o</sup>m, jeśli nie mieli pewności, że policja lokalna i biuro proku-ratora nie zostały skłonione do milczenia. Sytuacja, jaką Podstawił panu Warren potwierdza to. On ma rację. Tu coś sierzdi.



Cała sprawa wydaje mi się typowa. Takimi sprawami się mowałem. Niezbyt sprytny prowincjonalny biznesmen, który mu się powiodło, doszedł do błędnego przekonania, że bogactwo i wpływy, jakimi się cieszy u siebie na prowincji upoważniają go do podjęcia gry z grubymi rybami. Uwierzył, że się dla nich równorzędnym partnerem. Widziałem takie sytuacje dziesiątki razy: uczciwy i zamożny człowiek sam pakuje się w nieszczęście próbując załatwić coś z gangsterami. Ktoś, który nauczył kotka, by ten załatwiał się w kuwecie z piaskiem, zaczyna wierzyć, że może tak wytresować tygrysa. To szczyt braku poczucia rzeczywistości - nadzwyczaj niebezpieczny. Właściwie zawsze prowadzi do katastrofy.

„A więc on twierdzi, że dziadka zabito, bo podjął grę z mafią?

- spytała Jill. - Może tak, może nie. Ja dziadka nie znałam, ale mama tak, i ona bardzo w to wątpi. Jim Mandeville mógł być zarozumiały, mógł być dumny ze swego majątku, ale mama uważa, że nie był durniem i nie postępował głupio”.

„Roger Birnam wcale tak nie twierdzi - zaprzeczył Corey.

- Zresztą on nie znał twojego dziadka. On twierdzi tylko, że zna takich ludzi jak twój dziadek. Wielokrotnie z takimi się stykał”.

Birnam mówił dalej:

- Ci wszyscy biznesmeni padają ofiarami gangsterów, gdyż gangsterzy są od nich sprytniejsi. Potrafią się

maskować. Ci B| iwniacy nie mają pojęcia, z kim mają do czynienia. Większo zwykłych ludzi uważa, że gangsterzy wyglądają tak jak bandy z komiksów. W czarnych płaszczach, czarnych kapeluszach, pi pachą trzymają futerały na skrzypce, a w tych futerałach kara" ny maszynowe. Afiszują się z seksownymi blondynkami, może tak rzeczywiście wyglądali gangsterzy pierwszej genera" Może nawet drugiej.

BANKIER

227

Tych facetów już nie ma. Odeszli do nieba, do swoich Ojców Chrzestnych. Teraz działa trzecia i czwarta generacja. Kameleony. Postawi się takiego na tle kolorowej ściany i po trzydziestu sekundach faceta nie ma. Widzi się tylko jego oczy. Ci faceci oferują interesy, które od prowadzonych przez legalne banki różnią się jedynie tym, że zapewniają całkowitą dyskrecję.

Żadnych sprawozdań, żadnych zeznań podatkowych, żadnych notatek do prasy, nic, co ostrzegłoby konkurentów, że ich klient ma nowy pomysł.

Oczywiście za usługi trzeba płacić, ale zgodnie z umową: jeden, dwa procenty więcej niż w legalnym banku. To wcale nie za wysoka cena za pełną dyskrecję. Warto wydać tych kilka dolarów.

Nie koniec na tym. Umowa jest przestrzegana, dopóki nie uznają, że im się opłaca odsunąć biznesmena i zająć jego miejsce. Biznesmen znika, a oni przejmują kontrolę nad biznesem, zgarniają zyski, prowadzą go dalej, albo zwijają. Działają przeróżnymi metodami. Może facet lubi panienki? A może chłopców? Doprowadzanie do skandalu jest dziecinnie łatwe. Może facet lubi hazard. I tym także można wykończyć. Tak czy inaczej zniszczą faceta - osaczą go tak, że oddaje wszystko, czego tylko zażądatają. Bywa jednak, że natrafiają na twardziela, który nie da się zastraszyć. Wtedy załatwiają jego przyspieszony odjazd na tamten świat. Nie za karę, nie z zemsty. Po prostu z konieczności.

- Widzi pan - wyznał Birnam - nie lubię tych facetów, choć <sup>Os</sup>obiście nic dó nich nie mam. Ale uważam, że

hamują normalny rozwój społeczeństwa, sieją zamęt, a nawet zabijają. Dlatego ich zwalczam.

r Ma pan takie oryginalne hobby - stwierdził Corey.  
Birnam uśmiechnął się lekko.

HIGGINS

- No cóż, można to i tak określić. Taki nietypowy nałóg  
W zasadzie przeszedłem na emeryturę, ale w tej  
dziedzinie na. dal jestem aktywny. Wciąż nie mogę  
pogodzić się z tym, & oszukują i wykorzystują ludzi.

- Mam wrażenie, że i mnie opanowała ta choroba, może  
w trochę złagodzonej postaci - oświadczył Corey. -  
Może to dopiero pierwsze objawy. Nie mam nic do  
zarzucenia pracy, którą wykonywałem dla Eda w  
waszej firmie. Może jedynie to, że jest nazbyt  
sformalizowana. Trzeba ściśle trzymać się praw,  
przepisów, kodeksów. Od kropki do kropki.

- Doskonale pana rozumiem - przerwał mu Birnam. -  
Znam to uczucie. Właściwie z tego powodu odszedłem  
z firmy. Rozumiałem i szanowałem te wszystkie zasady.  
Wiem, że ludzie potrzebują adwokatów, ale czy jednym  
z tych adwokatów muszę być ja. Niech to będzie ktoś  
inny. Zrobiłem właśnie to, co pan teraz - odszedłem.  
Teraz niech pan uważa. Ja jestem już na emeryturze.  
Jestem już za stary na prowadzenie śledztwa.  
Zachowałem jednak kontakty, których pan nie ma, a  
które mogą być panu pomocne. Kim są ci faceci, z  
którymi pan się zetknął? Ten prokurator i ten jakiś tam  
Baldo? Zresztą i o panu niewiele wiem. Oczywiście nie  
zaczę teraz szperać w archiwach. Chciałbym więc, by  
mi pan pozwolił przepuścić was przez komputer. Was  
trzech. Zobaczymy, co mi o was powie. Proszę mi podać  
daty i miejsca urodzenia, numery polis  
ubezpieczeniowych. To ułatwi poszukiwania. Może pan  
je dostarczyć? Zgadza się pan na to?

Corey wzruszył ramionami.

Jeśli o mnie idzie, oczywiście tak. Burt Magoun był  
pracowni' kiem federalnym, teraz jest prokuratorem  
okręgowym, na pe\*' no nie będzie miał nic  
przeciwko temu. Baldo 9

BANKIER

231

w departamencie Wywiadu, myślę, że jego wielokrotnie sprawdzano.

Birnam pociągnął nosem, jakby węszył.

\_ O nic go nie posądzam, ale tych z ministerstw sprawdzam z reguły po dwa razy. Im tam wystawiają takie zaświadczenia, jakich tylko zapragną.

\_ Obiecuję, że go zapytam. Zobaczę go w najbliższy weekend. We wtorek zadzwonię do pana. W każdym razie bardzo dzięku-

F

Birnam uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma o czym mówić. Z największą przyjemnością pomogę przyskrzynić jakiegoś faceta, który uszedł mojej uwagi, kiedy jeszcze byłem w czynnej służbie. - I nagle spowaźniał - Mam nadzieję, że pan sobie zdaje sprawę w co się pan pakuje. To niebezpieczny biznes, a ci faceci to twardziele. Mają ogromne doświadczenie, ogromne środki do dyspozycji, nie mają skrupułów i są cierpliwi. Ja dysponowałem siłą aparatu państwa, nieograniczonymi pieniędzmi, broniły mnie sądy. Mogłem zmuszać do mówienia, wsadzać do więzienia i byłem cierpliwy. A mimo to wielu z nich uniknęło zastawianych przeze mnie pułapek. Na dodatek pracowałem nad całkiem świeżymi sprawami- Nigdy nie ekshumowałem spraw po dwudziestu latach. Musi pan mieć świadomość w co się pan pakuje. Musi pan być Przygotowany na najgorsze i nie liczyć na to, że firma, która Pan opuszcza przyjmie pana z powrotem.

- Podjąłem już decyzję - odpowiedział Corey. - Jutro żegnam <sup>51</sup>S z moim dotychczasowym życiem.

Ody następnego dnia Corey szedł do domu, przed budynkiem <sup>2°</sup>baczył ciężarówkę firmy przewozowej U - Haul. Wchodząc



po schodach usłyszał dobiegające z jego mieszkania dźwięki ro. cka.

W jadalni na podłodze siedziało czterech chłopców i jedna dziewczyna. Byli w dżinsach i w podkoszulkach z dziwnym; napisami w rodzaju: „Żyj we dnie, kochaj się w nocy”. Siedzieli w niedbałych pozycjach i popijali piwo z puszek. Coś sobie opowiadali i właśnie się z czegoś śmieli. Kartony już zniknęły, a półki na książki były puste. W pierwszej chwili pomyślał, że przez pomyłkę wszedł do cudzego mieszkania, pomylił ulice, może miasto.

- Pan Corey? - zapytała dziewczyna i nie czekając na potwierdzenie wyjaśniła: - Pani profesor Corey jest w sypialni. Nie skończyła pakowania, więc kazała nam tu czekać i wypić piwo.

Wysoki chłopak z warkoczykiem jasnych włosów na karku dodał:

- My jesteśmy studentami pani profesor. Letni semestr. Dopiero teraz Corey mógł coś wybąkać.

- Ach tak, rozumiem. Ale wydawało mi się, że macie przyjść jutro.

- Tak, ale U - Haul zadzwonił do pani profesor i... Jill ukazała się w drzwiach sypialni i dokończyła:

- Powiedziano mi, że ten wóz, który mieli podstawić jutro zepsuł się, a ten, który podstawiają, jest od poniedziałku zamówiony przez kogoś innego, więc albo dziś, albo pod koni-\* przyszłego tygodnia. - Podeszła i pocałowała go w policzek ' Dzwonili też z biura komornika i powiedzieli, że jeśli do juti\* rana nie

zapłacimy, zajmują nam meble. Uznałam więc, że lepiej  
wynosić się dzisiaj.

BANKIER

235

Zwróciła się do piątki siedzącej na podłodze:

\_ No kochani, do roboty. Rzeczy spakowane. Walizki do es-corta, pudła na ciężarówkę.

Młodzi zerwali się z ziemi i ruszyli do sypialni.

\_ Muszę się przebrać. Chciałbym wziąć prysznic. - oświadczył Joe.

- Oczywiście. Twoje dzinsy i koszula w kratkę leżą na łóżku. W łazience zostawiłam wieszak na ubranie i czysty ręcznik. Ruszaj się!

- Nie miałbym też nic przeciwko puszce piwa. Pogroziła mu żartobliwie.

- Nie igraj z losem. Pośpiesz się, Zobaczę, co się da zrobić.

- Zawsze w ciebie wierzyłem - rzucił znikając w łazience.

### XIII

Bryza nadlatująca od strony jeziora studziła emocje i łagodziła zmęczenie wywołane przez mijające właśnie święto pracy, W salonie państwa Ianuccich panowała atmosfera spokoju. Goście odpoczywali przy kominku, Michelle podała kawę i placek z jabłkami.

Stawiając na stoliku obok tacy z plackiem salaterkę z bitą śmietaną, Michelle powiedziała:

- Na razie można uznać, że jesteście urzędnici.

Przynajmniej prowizorycznie. Potem znajdziecie sobie jakieś locum i kiedy dojdziecie do wniosku, że nadszedł czas na przeprowadzkę, wynajmiecie kilku muskularnych chłopców, którzy przeniosą wam rzeczy tam, gdzie już urządzicie się do końca życia.

- Całkiem poważnie myślałam o tym, by to wszystko podpalić - mówiła JOL - Zwłaszcza kiedy w Nowym Jorku zabrałam się do pakowania. Joe cały czas siedział w biurze i właściwie mógł tam nawet zostawać na noc. Ale wracał do domu i był wtedy dla mnie bardzo dobry. Pakowałam więc to wszystko sama i kiedy uświadomiłam sobie, że haruję i haruję, a końca nie widać, pomyślałam, że przydałby się jakiś niewielki pożar. Wszystko było przecież ubezpieczone, a to, do czego jestem najbardziej przywiązana, mogłabym jakoś cichcem wynieść z domu.

- Nić by z tego nie wyszło - wtrącił Corey. - Zanim by się rozpałiło, już byś miała w mieszkaniu Hassana z węzłem, drabinką i siekierą. Zaalarmowałby go wykrywacz dymu.

- Hassan to właściciel domu, w którym wynajmowaliśmy mieszkanie - wyjaśniła JOL

BANKIER

237

^Zresztą gdyby ktoś miał podpalić ten budynek z myślą o odszkodowaniu, to zrobiłby to najprędzej sam Hassan - dodał Co-

ey - Jedynie tym chyba można tłumaczyć jego wizyty o najdziwniejszych godzinach.

\_ Początkowo nie zastanawialiśmy się nad tym - podjęła opowieść Jill. - Potem jednak zaczęło nas to dziwić.

Późnym wieczorem w soboty, wczesnym rankiem w niedziele, w południe, w dni świąteczne. Wpadał i wciąż coś reperował w ubikacji. Wariat! Wkrótce byliśmy już zupełnie pewni, że to wariat.

Baldo wybuchnął śmiechem.

- Może podejrzewał, że oglądacie sprośne filmy - powiedział - i wpadał, by was nakryć.

- Może podejrzewał, że robimy takie filmy - zaśmiał się Joe. - Kupiliśmy kamerę i produkujemy filmy porno.

Tak, Hassan był rzeczywiście dziwakiem. - Zamyślił się na chwilę. - Przypuszczam, że w Nowym Jorku procent dziwaków jest taki sam jak wszędzie na świecie. Jeśli jednak tak wiele ludzi mieszka na tak małej powierzchni, to na każdy metr kwadratowy przypada więcej stukniętych facetów i po prostu wychodząc z domu nie można się na nich nie natknąć.

-Tu też ich nie brakuje - pocieszyła ich Michelle. -

Zwłaszcza wśród pracowników uniwersytetu i studentów. Przeważnie Pochodzą z importu.

-Jak to jest naprawdę, powiem ci jutro wieczorem -

zapew-ni<sup>la</sup> ją Jill. - Mam się tam stawić na dziewiątą rano. Powinnam \*yjsć z. domu najpóźniej o siódmej

trzydzieści. Przedtem muszę <sup>Sle.</sup> zarejestrować, a to zawsze trwa.

" W mieście też nie brakuje różnych dziwaków - dodała Mi-Cnelle. - Zobaczycie sami. Z niektórymi na pewno Baldo bę-<sup>z</sup><sup>e</sup> chciał cię poznać, Joe.

- Marzę o tym, i nie mogę się tego doczekać! - zawołał Co. rey. - Jak sądzisz, Baldo, czy dwa, trzy dni wystarczą na prze. wertowanie tych materiałów, które dostałeś w Bostonie? Potem zaczniemy sporządzać listę nazwisk.

Mieli pracować w dwóch pokojach na pierwszym piętrze. Po. koje te Baldo wynajął Coreyom, dopóki nie kupią domu. Ba obiecał, iż będzie przychodzić dopiero wtedy, gdy Joe go zawiadomi, że Jill już wstała i jest ubrana. Mieli siedzieć po obu stronach biurka, które kupił Joe. Baldo twierdził, że dokumenty przechowywane na pierwszym piętrze będą bezpieczniejsze i nie powinny przyciągać uwagi ciekawskich.

- Chyba że ktoś dostawi drabinę i będzie zaglądał przez okno, ale to chyba łatwo zauważymy - zażartował, ale zaraz spoważniał.

- Materiały, które przyniosłem z urzędu miejskiego, są - jak się tego spodziewałem - nieciekawe i niekompletne. Stano będą jedynie uzupełnienie tego, co mamy z Bostonu... Zaczniemy je przeglądać od jutra.

- O której otwierają urząd miasta? - zapytał Corey

- O dziewiątej, ale nie ma sensu pokazywać się tam przedziesiątą. Urzędnicy potrzebują co najmniej godziny, by | rozkręcić - zwłaszcza w dni poświęcone, takie jak jutrzejszy.

- Doskonale, a więc wyjedziemy stąd o dziewiątej. Po wszystkim, co przeszedłem w ostatnich dniach, przyda mi <sup>s</sup>« spokojny ranek w łóżku.

- Michelle, nie gniewaj się, ale zaraz zwrócę - przerwała i Jill. - I to nie z powodu przejedzenia, ale jego

idiotycznego i dania. Ja wykonałam całą pracę, a on będzie się teraz wylęgi<sup>^</sup>

- Co ty opowiadasz - oburzył się Baldo. - O szóstej pteście już nas tu nie będzie. Mamy około pół godziny drogi do<sup>fe</sup>



BANKIER

241

stauracji na śniadanie, a jeśli nie zjawimy się tam przed szóstą czterdzieści pięć, o stoliku nie ma co marzyć. I do dziewiątej wszystkie będą zajęte.

\_ Co to znaczy? Śniadanie w barze? - zdziwił się Corey. - Ja dzień rozpoczynam filiżanką kawy. Czy muszę w tym celu wyłazić z domu?

- Oczywiście tu też możesz wypić kawę - zgodził się Baldo. - Śniadanie jednak będziesz jadał w restauracji „Duże N”, tam gdzie spotyka się rano miejscowa elita, dowiaduje się, co się dzieje, co z tego jest dla niej korzystne, i za czym ma się opowiedzieć.

- Tak, to ważne dla naszej pracy - zgodził się Corey.

- Jeszcze nie jutro - sprostował Baldo. - Jutro będziemy jedli siekane kotlety, spotkamy paru ludzi, będziemy się śmiali z głupich dowcipów i takie tam rzeczy. Ale za dwa tygodnie, za dwa miesiące, za dwa lata to może się stać ważne. Wielu, których poznasz i z którymi będziesz miał do załatwienia jakieś sprawy prawnicze, umówi się z tobą właśnie w „Dużym N”. Oni oczywiście mają swoje biura, swoje banki, swoje sklepy i szafy, w których trzymają swoje akta. Interesy załatwiają jednak najchętniej o wschodzie słońca w tej małej, zatłoczonej restauracji ujadając tosty i kiełbaski. Musisz o tym pamiętać. I przestań się dziwić.

-Duże N” mieściło się w parterowym, drewnianym, pomalowanym na biało budynku wciśniętym pomiędzy stację benzynową. Mobil i myjnię samochodową u zbiegu autostrad nr 7 i nr 20 \* J~enox, w południowej części Pittsfield. O 6.40 rano na par-mgu przed „Dużym

N<sup>o</sup> wolne były już tylko dwa miejsca. Coś zobaczył, że w automatach z gazetami zabrakło już g<sup>o</sup>emplarzy „Boston Globe” i „Boston Herald”, podczas gdy i „<sup>o</sup>ork Timesa” i „Wall Street Journal” było nadal dużo.

Wyjął z kieszeni kilka monet i podszedł do automatu z „Ng-York Timesem”, ale Baldo powstrzymał go zdecydowanym m. chem.

- Nie, nie możesz pierwszego dnia wejść tam z gazetą z mia-sta, które, jak sam twierdzisz, porzuciłeś na zawsze. Kupisz wy. chodząc albo w drodze do domu.

Wewnątrz wzdłuż południowej ściany ciągnął się długi bar, a przed nim stało kilka wysokich stoików pokrytych czerwonym plastikiem. Bar kończył się kasą, za którą było już tylko wielkie okno wychodzące na tyły budynku i na kuchnię. Pod przeciwległą ścianą ustawiono stoliki. Pośrodku znajdował się stół, którym stały dzbanki z kawą i butelki z wodą sodową. Przy rze gości obsługiwały dwie kelnerki, cztery inne kręciły się sali. Przez wielkie okna sali widać było myjnię samochodów. N prawo od wejścia stał automat z papierosami i stoisko z gazetami. Baldo podszedł tam i spod stosu gazet wyciągnął „Wall Street Journal” oraz „Heralda”; podał je Coreyowi. Znaleźli wolny stolik i gdy siadali, Corey zapytał cicho:

- Dlaczego ty możesz kupować „Journal”, a mnie nie wolno wejść z „Timesem”?

- To bardzo proste - wyjaśnił Baldo. - Ja jestem tutejszy. Ci ludzie znają mnie od dawna i ufają mi. Mógłbym czytać „Prawdę”, „Die Zeit”, co tylko chcesz. To nie ma znaczenia. W twoim wypadku ma, dopóki cię nie poznają, nie oceniają. Dopiero wtedy będziesz mógł czytać, na co będziesz miał ochotę.

- A jak długo to potrwa? Baldo wzruszył ramionami.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, to i kilka lat. Jeśli wszystko będzie w porządku - tydzień. Nie bądź taki niecierpliwy. Niech ci s«

BANKIER

245

wydaje, że przyjechałeś do obcego kraju; zanim uzyskasz obywatelstwo, musisz przejść przez kontrolę celną.

Wieczorem, gdy na wynajętym piętrze zjadali piezzonego kurczaka, powiedział do Jill:

.Gdzieś to zostało ustalone, że w każdej takiej restauracji, bez względu na to, gdzie się znajduje, musi być co najmniej jedna kelnerka o imieniu Millie, a jeśli jest ich więcej, to czwarta ma na imię Dot. Jeśli będziemy mieli córkę, to żeby nie wiem co, nie nazwiemy jej Dorothy ani Mildred. Nie mam zamiaru płacić za wykształcenie dziewczyny, która, zanim jeszcze obe-schnie atrament na jej dyplomie, już w jakiejś knajpie będzie podawać siekane pulpety".

„Ty też je jadłeś?" - zapytała Jill.

„Co jadłem?" - nie zrozumiał.

„Siekane pulpety - zaśmiała się. - Dwa tłuste siekane pulpety z frytkami. Kiedy mój ojciec był w podróży, zawsze to jadał w knajpach. Na śniadanie oczywiście. Na obiad - mięso w sosie **lub** kurczaka - westchnęła. - Lubiłam te przydrożne knajpki na prowincji. Czasami można się tam było podtruć, ale raczej rzadko. Na ogół jedzonko było fantastyczne".

-Tak, zjadłem pulpet - powiedział. - Był naprawdę smaczny. Zwłaszcza dla kogoś, kto w ogóle nie jada śniadań. Tylko że •rochę ostygł pod koniec i musiałem popić sześcioma gorącymi kawami".

„Tak długo siedzieliście w tej restauracji?"

>.Tak, Baldo miał rację. Te knajpki przy skrzyżowaniach dróg, to poważna konkurencja dla Times Square, czy dla lotniska heartburn w Atlancie".

„Hartsfield - poprawiła go. - Byłam tam tylko raz, ale przynajmniej zapamiętałam nazwę”.

Udał, że nie dosłyszał, i kontynuował opowiadanie:

„Złożyliśmy zamówienie i Millie zaczęła od tego, że podała nam kawę. Wysłuchiła historii mego życia i poszła do kuchni po resztę. Ale zaraz znalazł się nowy znajomy. Nie wiem, skąd się wziął, bo nie widziałem, by wchodził, a siedziałem twarzą do drzwi. Może wstał od innego stolika? Poza tym już wszystko o nas wiedział. Może Millie powtórzyła? A więc było właśnie tak, jak Baldo przewidział.

Facet dobiegał pięćdziesiątki. Wzrost nieco powyżej przeciętnego, waga nieco powyżej przeciętnej. Był ubrany w niebieską bluzę, szare spodnie, białą koszulę i krawat w niebiesko-białe paski. Na nosie miał okulary w grubej szylkretowej oprawie, Rzednące ciemnoblonde włosy zaczesane były do tyłu. Twarz pyzata i gładka, rumiana. Uśmiechu odsłaniał złote zęby”.

- Baldo! - zawołał wesoło. - Sądziłeś już, że wyniosłeś się

z naszej planety. Gdzie się, u diabła, podziewałeś?

Odpowiadając uśmiechem na uśmiech Baldo wyjaśniał:

- Dick, czytujesz chyba gazety! Burt wysłał mnie na emeryturę, by zrobić miejsce dla jakiejś Annie Oakley, czy jak się ta baba nazywa. Napijesz się z nami kawy? Dick usiadł koło Balda.

- Oczywiście wiem, że jesteś na emeryturze. Ale tak zniknąć Byłeś - i nagle pewnego dnia znikasz. To miejsce bez ciebie j-\*

już nie to samo.

- No cóż, Dick, wiesz jak to jest. Po co miałbym się tu po-<sup>^</sup>zywać? Kiedy zostałem bez pracy, czułem się tak, jakby mi W\*



BANKIER

249

ciagnał krzesło spod siedzenia. Jak piąte koło u wozu. Inni wszystko wiedzą, są w kursie - ja nie wiem nic. Mo, ale to się zmieniło. Jestem znowu w siodle. Poznajcie się, to mój nowy przyjaciel Joe Corey. Będziemy razem pracowali, joe, to Dick Putney, mój stary przyjaciel. Komisarz okręgowy od szesnastu lat. Teraz prowadzi powiatową rejestraturę. Warto go znać. Joe jest adwokatem z Nowego Jorku. Otwiera tu praktykę. Chyba w Shropshire.

\_ Rozumiem, konkurencja dla Boba Gatesa. To masz na myśli?

Corey zaśmiał się niezbyt szczerze.

- Nie powiedziałbym, że chcę być dla kogoś konkurencją -zaoponował. - Wynieśliśmy się z Nowego Jorku, bo żona dostała tu pracę na uniwersytecie. Prowadzi wykłady z historii. Zresztą zawsze chciała tutaj mieszkać, a i ja miałem dość Nowego Jorku. Woląłem przyjechać tu za żoną, niż zostać tam. Nie mam jeszcze pojęcia, gdzie, jak i u kogo się zaczepię. Na razie wiem tylko, że zwialiśmy z Nowego Jorku.

- Ohydne miasto - twierdził Putney. - Można tam pojechać na wycieczkę, ale nie mieszkać na stałe. Moja żona jest tego samego zdania. Byliśmy tam trzy czy cztery razy. Było w porządku. Bawiliśmy się nie najgorzej, ale tam dopiero człowieka obdzierają ze skóry! Idziesz się wysiusiać i żądają od ciebie pół dolara. Zatrzymaliśmy się w City Squire. Miłe miejsce. Dwie-ście dolarów doba plus czterdzieści za parkowanie wozu. Obiad ^eale nie w wytwornej restauracji, a rachunek nie

z tej ziemi, dusznie pan robi przenosząc się tutaj. Tu dla  
adwokata pracy P°d dostatkiem. Bob Gates, jak się o  
tym dowie, szczęśliwy nie De-dzie, ale on nie ma  
monopolu. Zresztą tu w pobliżu jest wie-le m'ast i  
miasteczek i dla Gatesa też nie zabraknie zajęcia.

- W gruncie rzeczy głównym powodem, dla którego Joe się t<sub>u</sub> sprowadza, jest sprawa Mandeville'a. Jesteś w tym wieku, że powinneś pamiętać, o co chodzi - wyjaśnił Baldo.

Putney rozłożył ręce teatralnym gestem.

- Co ty gadasz, stary morsie! - zawołał i poklepał Balda po ramieniu. - Uważasz, że mam sklerozę? Jim Mandeville i mój wuj Guy byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Jeszcze dziś, kiedy siądziesz do stołu z Guyem Cooperem, coś o tym usłyszysz. Jak tylko poruszysz temat polowania czy rybołówstwa, stary Guy natychmiast zaczyna wspominać Jima. Byli jak bracia. Gdyby Jim żył i był już na emeryturze, sześć dni w tygodniu spędzaliby w lesie.

- A więc musiałeś słyszeć, co ludzie gadali... Że Mandeville nie popełnił samobójstwa, lecz został zamordowany - Baldo przerwał potok słów Putneya.

- Oczywiście! Wszyscy o tym słyszeli. To bzdura, że on... że własnym sztuczerem tuż przed świętami rozstrzaskał sobie czaszkę. Guy twierdzi, że podobnych głupot w życiu nie słyszał.

- No widzisz - rzucił Baldo. - Właśnie Joe przy mojej pomocy przez najbliższych kilka tygodni będzie usiłował jakoś tę sprawę wyjaśnić. A jeśli szczęście nam dopisze, udowodnimy - że to było morderstwo, i znajdziemy winnego.

Twarz Putneya wykrzywiła się w uśmiechu, ale oczy patrzące zza okularów pozostały zimne.

- Rozumiem - powiedział. - Pan jest wnukiem. Pan jest wi-u kiem Mandeville'a. Widział już pan tę posiadłość? Był pan j<sup>u\*</sup> tam? Ten wspaniały dom, w którym mieszkali! Te place, te b-> dynki, które kupił od konwentu! To dziś warte kupę <sup>forS</sup> Ktoś, kto udowodni, że obecni właściciele zagarnęli to nie! nie, niezgodnie z prawem - będzie bogatym człowiekiem

BANKIER

253

\_ Tak, rzeczywiście widziałem posiadłość, ale nie jestem wnukiem - wyjaśnił Corey. - W każdym razie nie Jima Man-deville'a. Moja żona jest jedną z jego wnuczek, i jak mi się wydaje, jedyną, która się tą sprawą przejmuje.

- Ach tak... - Putney pokiwa! głową. - To właściwie wszystko jedno. Tak jak mówiłem, jeśli pan cokolwiek udowodni, pańska żona odziedziczy majątek. Podzieli się z rodziną, ale zawsze coś pozostanie. Bardzo przyjemne „coś”

- Nie wiem, jak to będzie - tłumaczył Corey. - Nie widziałem testamentu. Zakładam, że wszystko zostawił żonie, która już nie żyje. Testament, jej testament - uściślił - jest w Nowym Jorku. Nie czytałem go. Zmarła miała siostrę. Jill ma siostrę, a jej ciotka czwórkę dzieci. Zakładam więc teoretycznie, że majątek przypada malce mojej żony i jej ciotce. Po połowie. Jill i pozostałej piątce wnuków nic się nie należy.

- Na razie - stwierdził Putney. Corey wzruszył ramionami.

- W każdym razie bardzo mnie to interesuje - oświadczył Putney, po czym zwrócił się do Balda: - Czy pomyślałeś o tym, by naszemu młodemu przyjacielowi pokazać nowoczesny system rejestracji w urzędzie miasta?

Baldo przytaknął.

- Oczywiście, to jeden z punktów naszego programu.

- 1 słusznie - pochwalił go Putney. - Jeśli dacie mi szansę szybko uporam się z testamentem starego Jima,

porobię <sup>^o</sup>-P<sup>e</sup> rachunków i czekam was koło południa.  
Oczywiście, jeśli dziecię w pobliżu.  
Z całą przyjemnością - powiedział serdecznie Baldo.

HIGGINS

- Pozwólcie, że zapytam - Putney był trochę zażenowany. I

A co na to Magoun? Czy w ogóle wie o zamiarach?...

- No cóż - zaczął Corey. - Oczywiście, że...

- Wielki Boże, Dick - przerwał mu Baldo. - Czy naprawdę myślisz, że ktoś taki jak Joe. młody wprawdzie, ale doświadczo, ny adwokat, pracownik firmy na Wall Street podjąłby działania nie informując o niczym prokuratora okręgowego?

- Wcale tak nie myślę - Putney o mało nie zaczął bić się w piersi. - Po prostu chciałem się upewnić. Bywa, że wpadam od czasu do czasu na Burta. Jak to w pracy. Sprawa jest przecież interesująca i chciałem wiedzieć, o czym można wspominać, a o czym nie.

- Można o wszystkim, Dick - zapewnił Baldo. - Tu wszystko czyste jak łąka. Joe niczego nie wie. Nie mamy żadnych tajemnic.

- Baldo bacznie śledził reakcje rozmówcy i po chwili powtórzył.

- Niczego nie ukrywamy.

Kiedy Putney już ich opuścił, Baldo szepnął do Coreya:

- Oczywiście każdemu, kogo spotka, powtórzy, co tu usłyszał. Wreszcie jakoś tak w porze lunchu ktoś zadzwoni do niego z tą wiadomością - wtedy koło się zamknie.

Wieczorem Corey opowiadał J i 11:

„Jakieś osiem, dziewięć minut po odejściu Putneya, nie zdążyłem nawet zjeść całkiem już zimnego pulpetu, gdy

dosiadł się Ed Pratt. Zanim to jednak nastąpiło, zapytałem Balda, dlaczego nie dał mi dokończyć".

- To proste - odpowiedział, dojadając zimne kartofle na bekonie. - Ty mógłbyś przefajnować. Niby wiesz, że nie jesteś aktorem, ale czasem myślisz, że nim jesteś, i kiedy zaczniesz\*! przedstawienie, łatwo cię rozgryźć. A tu trzeba delikatnie.



cka Putneya mamy po swojej stronie. Ten facet ma o sobie bardzo dobre mniemanie. Jego ojciec był komisarzem okręgowym, człowiekiem naprawdę ustosunkowanym i wpływowym. Dick odziedziczył po ojcu stanowisko i zainteresowanie polityką. Nie odziedziczył jednak zdolności. Sam siebie uważa za lokalnego polityka, ale to życzenie bez pokrycia. Niemniej on sam jest z siebie zadowolony. To w zasadzie leń; zgrywa się i udaje, że uprawia politykę, ale tak naprawdę nikt w to nie wierzy - może nawet i on sam? To zwykły plotkarz, zbiera i rozpuszcza plotki, a uważa, że uczestniczy w grze politycznej, że potrafi coś przewidzieć. Ludzie opowiadają mu różne historie - w nadziei, że je przekaże dalej, i rzeczywiście przekazuje, on sobie nie zdaje z tego sprawy. Uważa się za człowieka poinformowanego, za członka establishmentu. To po prostu dureń, ale durnie też są czasami pożyteczne.

- Naturalnie chciałem mu dać do zrozumienia, że w gruncie rzeczy Magoun nie jest zbyt zachwycony twoim pojawieniem się, tym, że wtykasz nos, gdzie nie potrzeba i wyciągasz stare, zapleśniałe sprawy.

Przerwałem ci, by umocnić w nim przekonanie, że dowiedział się czegoś naprawdę sensacyjnego, że gdybym ci nie przerwał, powiedziałbyś coś więcej.

- Ale po co to wszystko? - Corey nic nie rozumiał.

~ Chodzi o to, że Dick wyczuwając jakąś intrygę zatroszczy się o jej nagłośnienie. Zaoszczędzi nam wiele czasu i wysiłku. Wszystkich, którzy się tu liczą,

zawiadomi o naszym pojawieniu <sup>le-</sup> Gdziekolwiek pójdziemy, będziemy oczekiwani. Wszyscy <sup>D</sup>Cdą zaciekawieni. Wszyscy będą się chcieli dowiedzieć, czy się <sup>^</sup> tym nie kryje coś więcej, niż mówimy. Zrobi się z tego lokal-

<sup>a</sup> sensacja, o której będzie się mówić, a ludzie będą się nawza-

<sup>111</sup> uprzedzać telefonicznie, że się tu pojawiłeś.

Wieczorem Corey kontynuował opowieść":

„Wyszliśmy z restauracji dopiero po dziewiątej. Poznałem głównego urzędnika sądowego Eddie Pratta. Poznałem Evelyn Murtagh, agentkę handlu nieruchomościami. Baldo nap0. mknął, że szukamy jakiegoś ładnego, dużego domu, co przyjąć z nie ukrywaną radością. Dała mi swoją wizytówkę i obiecała zadzwonić, jak tylko znajdzie coś ciekawego. Potem wpadł szeryf Forbes McKinnon. Potem wypił z nami kawę szef okręgo. wej straży pożarnej Basii Granger, a potem Connie Lewis, major policji stanowej, powiadomił nas, że musi zjeść talerz owsianki. «Zawsze po świętach czy po wizycie gości muszę jeść owsianke» - informował".

Za moje śniadanie zapłaciliśmy trzy dolary, za śniadanie Balda dwa pięćdziesiąt. Za kawę po sześćdziesiąt centów. No i goście. Rachunek wyniósł dwanaście dolarów plus dwa dla Dot czy Millie, czy jak jej tam. Nie majątek - dobry początek. Czułem się jak kandydat w wyborach wstępnych do Kongresu. Miałem pełny pęcherz i powiedziałem, że muszę iść do toalety, co Baldo uznał za doskonały pomysł. Tak więc start był dobry, a przecież mieliśmy przed sobą jeszcze cały dzień".

- Nie musimy się spieszyć - tłumaczył Baldo. - Dajmy im z godzinkę czasu. Niech zatelefonują tu i ówdzie. Potem pokażemy się w śródmieściu, pokręcimy się, pogadamy sobie z tym i owym.

„Tym i owym - opowiadał Corey - było dwóch sprzedawców samochodów. Baldo dał im do

zrozumienia, że mamy zantra<sup>r</sup> kupić dwa nowe auta. Tak ich urabiał, iż zaczynałem odnosu-wrażenie, że jeśli rzeczywiście zrobimy im tę grzeczność i kup<sup>1'</sup> my auta, to oni będą skłonni wcale dobrze nam za to zapłacić- «Zawsze rób interesy z miejscowymi - pouczył mnie Baldo. ' Nie masz pojęcia, jak to przyjaźnie nastawia ich do nowo **pftf'** byłych»".

BANKIER

261

„Ale powiedz prawdę - przycisnęła go do muru. - Czy rzeczywiście udało się wam tego dnia cokolwiek załatwić? Czy też by-^ tak jak ze mną? Takie tam grzeczne słówka, uściski dłoni, uśmiechy - i nic konkretnego”.

„No cóż - wzruszył ramionami. - Mam całe strony notatek i kopie dokumentów. Jutro zaczynamy przeglądać rejestry. Czy osiągnąłem coś konkretnego? Jeśli Baldo się nie myli, to tak. Kiedy pojawiał się gdzieś Sherlock Holmes, by prowadzić jakąś ważną sprawę, wszyscy o tym wiedzieli, wiedzieli kim jest, a współpraca z nim była po prostu zaszczytem. Ja nigdy nie będę Holmesem, bo nawet sam Holmes nie był Holmesem. Chcę powiedzieć, że kiedy ktoś staje się osobą publiczną, ludzie zaczynają się nim interesować. A jak się interesują, to czują się w obowiązku pomóc”.

## XIV

Pod koniec pierwszego tygodnia Corey zaczął rozumieć (ech-nikę zastosowaną przez Balda w śledztwie.

■ - Po tylu latach pracy nauczył się tego na pamięć - tłumaczył Corey żonie. - Czuje się tak, jakby w szafie odnalazł parę wy. godnych, ulubionych spodni, o których myślał, że mu gdzieś się zapodziały. Wciągnął je teraz na tyłek i jest szczęśliwy. Dla m-nie oczywiście to coś całkiem nowego. Do tej pory wymyślałem różne sytuacje i badałem, czy są zgodne z ustawami skarbowo-giełdowymi. Dostosowywałem więc fakty do prawa.

Teraz natomiast robię coś całkiem przeciwnego.

Zaczynam od wydarzeń, co do których jestem przekonany, że miały charakter przestępstwa, i cofając się w czasie próbuję ustalić, co było ich przyczyną. A na przeszkodzie stoi nie tylko ten czas, który minął.

Ludzie, którzy popełnili te czyny, ukrywali fakty i zacierali ślady. W każdym razie te najważniejsze. A byli w tym fachowcami. Trzeba się ustawicznie czegoś domyślać, dedukować. Do tej pory zadawałem sobie w pracy pytanie: „Co będziemy robić?” A teraz pytam: „Dlaczego to zrobiono?” Jak twierdzi Baldo: „Cokolwiek robili, myśleli o tym, by ukryć i poważniejszego i oczywiście jeszcze bardziej złowrogiego”.

- Odnoszę wrażenie, że przeniosłeś się na moje poletko cząłeś uprawiać historię, a na to nie masz pozwolenia - ostrzyła go Jill.

- Masz rację - potwierdził. - Tak właśnie jest. Cofamy ! w czasie i poszukujemy śladów. Znajdujemy ich wiele. Pocz-ł<sup>1</sup> kowo nie potrafiliśmy ustalić, w jaki sposób

James Mande senior uzyskał tytuł własności na  
Overlook Hills. To nie

BANKIER

264

jasne. Długi czas nie mogliśmy dociec, po kim Jacob Stricht odziedziczył przyległe grunta, które w testamencie przekazał konwentowi, i jak nabył je dziadek. Dopiero od tego miejsca ślady zaczynają się schodzić.

\_ A dlaczego to takie ważne?

-1 my tego nie wiedzieliśmy. Ale Baldo wbija mi w głowę zasadę: „Jeśli nie wiesz, czy coś jest ważne, to wiedz, że jest ważne, by to ustalić”. Nie wolno niczego przyjmować na wiarę. To jest początek końca. Coś staje się nieważne dopiero wtedy, kiedy wiadomo o tym z całą pewnością...

W tej sprawie nie wiedzieliśmy - co jest ważne, a co nie. Na szczęście mieliśmy tego świadomość. A poszukując, co jest ważne, a co nie, zbliżaliśmy się do naszych czasów. Cały ten teren: . Overlook Hills, ziemie konwentu zwane Claretian Shores, sprzedał niejaki Arthur Hammersmith zaraz po wojnie secesyjnej. Ziemie te zostały mu nadane przez Jerzego III i oczywiście w wyniku wojny secesyjnej straciły wszelką wartość.

Posiadłość nabył Herman Stritch. Zapłacił gotówką, którą zarobił na dostawach dla armii Unii. Innymi słowy, zrobił interes "a wojnie, ale kiedy wojna się skończyła, nadal robił interesy. Budował koleje, budował drogi. Miał dobre stosunki z różnymi ważnymi osobistościami i wiedział, co im sprzedać. Na pewno 'k\* kantował, ale i oni kantowali jego. I właśnie



on uznał, że warto kupić tę posiadłość: dostał ją za tysiąc dwieście dolarów.

Gdy Herman zmarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim i pozostawił posiadłość synowi Emilowi było już jasne, że jego przewidywania nie sprawdzą się. W okolicy nie powstało żadne przemysłowe centrum. Przemysł tekstylny usadowił się w Holyoke nad rzeką Connecticut, tak samo przemysł maszynowy. Stamtąd był łatwiejszy dostęp do portów. Wprawdzie posiadłość była piękna, żyzne ziemie, ale nie był to jakiś

nadzwyczajny zakup. Kiedy twój pradziadek zebrał dość forsy by pomyśleć o wybudowaniu rodowej rezydencji, Emil z rudo ścią odsprzedał mu dwanaście akrów, w jego posiadaniu i ta | . pozostawiało czterysta. Potem do Overlook Hills dokupi<sub>ono</sub> jeszcze dwa akry, by wyrównać południową granicę posiadłości Nie wiemy nawet, czy i ile za to zapłacono. .

Zresztą Emil ulegał pokusom światowego życia i szczęście niezbyt mu sprzyjało. Tych czterysta akrów przekazał swemu synowi Jacobowi: nastąpiło to w jakies cztery lata po zakupie-niu przez twoich przodków Overlook Hills. Wydaje się, że Jacob nie odziedziczył po ojcu jego słabości do eleganckich blondynek i obiadów w wytwornych restauracjach. W dokumentach utrwalonych na mikrofilmach po roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym jest luka - w archiwum wybuchł pożar, a nikomu nie przyszło do głowy, by odtwarzać spalone dokumenty. Znaleźliśmy jednak fotografię Jacoba z dziewięćdziesiątego czwartego roku, kiedy ogłosił plany budowy domu. Stało się to wielką sensacją, opisywaną w prasie. Jacob na zdjęciu wygląda na człowieka energicznego. Jest gładko ogolony, ma jedynie bokobrody. Na głowie cylinder, na twarzy uśmiech zadowolonego kata. W gazecie nazwany jest wybitnym obywatelem. Był wystarczająco bogaty, by przyznać się publicznie, że jest kat kiem.

Najprawdopodobniej wszyscy czujący respekt wob wielkich pieniędzy mieli świadomość, że papież takiego milionera to nie ten sam papież, który patronuje

pospólstwu grantów, a sam Jacob miał dość milionów, by się nad w ogóle nie zastanawiać. Jacob był w tym czasie w moim wieku-

Jake stracił majątek w czasie wielkiego kryzysu.

Rozwazał! wet możliwość sprzedania domu, by ratować całą nieruchomo przed konfiskatą za nie spłacone podatki. I wtedy właśnie r>a' stąpiło przekazanie posiadłości konwentowi jako zapis char tywny. To posunięcie załatwiało problem podatków - który\*\*

BANKIER

268

już nie trzeba <sup>Dyl</sup>° płacić. Testament został sporządzony w trzydziestym pierwszym, a Jacob umarł w trzydziestym dziewiątym. I<sup>^</sup>jał wtedy siedemdziesiąt cztery lata. Ostatnie siedem lat spędził w szpitalu maltańskim, co było formą rewanżu za zapis na rzecz konwentu. Tak więc wielkoduszność bywa na tym świecie nagradzana, oczywiście jeśli ma odpowiednią wartość.

W ten sposób doszliśmy do roku trzydziestego dziewiątego. Nastąpiło to wczoraj tuż. przed lunchem... - kontynuował opowiadanie Corey. - W dwadzieścia jeden lat później dwoisty do tej pory ślad zbiega się, jako że twój dziadek wykupił posiadłość od zakonników. Powiedziałem wtedy do Balda: „Jestem trochę speszony. Dotarliśmy do punktu, który uważaliśmy za zwrotny i przełomowy, a gdzie się w rzeczywistości znajdujemy? Zajęło nam to bez mała tydzień, a nadal niczego nie wiemy”.

Baldo nie wiedział, czy mnie grzmotnąć, czy wyśmiać. „Jeśli masz choć szczyptę rozumu ty nowojorski adwokacinó - powiedział - to fikałbyś koziółki z radości, że tyle udało się nam zebrać. Dodaj to, co zebraliśmy do tego, co wiedzieliśmy przedtem: Czy widzisz ile już osiągnęliśmy? Przedtem wiedzieliśmy jedynie to, że dziadek twojej żony kupił tę posiadłość, choć go na to nie było stać. Z tego, co usłyszeliśmy od Amelii <sup>1</sup> od Katherine McCormack, choć one same nie w pełni zdawały sobie z tego sprawę, nabraliśmy podejrzeń, że Jim Mandeville Junior miał skłonności do odgrywania

playboya. Miał słabość <sup>d°</sup> płci odmiernej. Nic kompromitującego czy odrażającego, <sup>a,e</sup> zawsze... Kiedy przychodził sezon łowiecki czy rybacki, za-<sup>'''</sup>edbywał interesy banku. Psy w biurze, wielkie przyjęcia na <sup>^°</sup>że Narodzenie, ta słabość do odgrywania roli dziedzica... " To dlatego wykonał to salto mortale, które zakończyło się <sup>K</sup> tragicznie. Ryzykował płacąc pół miliona dolarów wziętych <sup>lt</sup> środków obrotowych banku, było to posunięcie ryzykowne,

na jakie nie zdecydowałby się żaden rozsądny i ostrożny ban. kier. Na dodatek zaciągnął dług na kolejne pół miliona: w jego sytuacji nie zrobiłby tego nawet głupiec.

- A my przecież wiemy, że Mandeville junior wcale głupcem nie był. Może więc wiedział o czymś, co uzasadniało to salto mortale, na przykład, że ceny ziemi szybko pójdą w górę? Albo może wiedział, że mądrzejszym zagranem będzie zaciągnięcie pożyczki na pół miliona, niż założenie syndykatu, co zmniejszałoby ryzyko, ale zmuszało do dzielenia się zyskiem z innymi? Na to nie wygląda. Pożyczka zaciągnięta została na okres dziesięciu lat. W tym czasie wartość posiadłości mogła znacznie wzrosnąć, ale czy mogła się podwoić? Ostrożny bankier nig by przy takim założeniu nie ryzykował całego majątku. Mu więc istnieć jakiś inny powód, dla którego zapomniał o ostrożności. A była nim chyba żądza posiadania całej ziemi, z ktđ jego ojciec mógł nabyć jedynie niewielki skrawek. Chciał udowodnić, że przerasta swego ojca. Kupił tę posiadłość, gdyż te pragnął - nie było innego powodu. To był motyw, którym rował się Jim Mandeville.

- A więc teraz - przedstawiał swoje plany Baldo - może zacząć poszukiwania, które nam ujawnią skąd dostał te pieniądze/ dze i kim byli ludzie, którzy mu je pożyczyli, nie zapominaj! że musieli to być ludzie ze świata przestępczego. I on rów musiał o tym wiedzieć, ale to go nie przerażało. Był ogarr obsesją zdobycia tej posiadłości. Do tego stopnia, że nie słuc głosu rozsądku,

który zapewne ostrzegał go przed robienie\* interesów z takimi osobnikami. Widzisz, jak ważne jest pozwanie motywów działania? To zawęży pole naszych poszukiwań poprawia samopoczucie. Teraz, kiedy zadzwonisz do tego arystokratycznego pogromcy przestępców i poprosisz. sprawdził nam pewne nazwiska, powinienś mieć świadomcwl

BANKIER

272

\*e wszelkich transakcjach jakie konwent zawierał w różnych stanach. To stosunkowo młody zakon założony w Hiszpanii przez świętego Antoniego Claret w tysiąc osiemset czterdzie-stym dziewiątym roku.

Przypuszczamy, że obowiązki te Henry M przejął po swoim ojcu Henrym F. O'Hara.

~ Henry F. reprezentował Jake'a Stritcha w trakcie przekazy-ania posiadłości zakonnikom i przypuszczamy, że dzięki tej baśnie operacji i Henry F. i Jake zostali w trzydziestym drugim perzami Maltańskimi.



## HIGGINS

- Innymi słowy - stwierdziła Jill - Henry F. namówił Jake'a by przekazał zakonnikom posiadłość; w rewanżu za przysługa

został pasowany na rycerza.

- Chyba tak - zgodził się. - Ale raczej nic więcej. To znaczy nie zapłacono honorarium. Prestiż jest zapłatą, jaka otrzymują firmy prawnicze reprezentujące zakony, instytucje dobroczynne i muzea. W ten sposób pozyskują zaufanie wielkich, ważnych i zamożnych klientów, którzy sami zajmują się działalnością dobroczynną lub są mecenasami sztuki. Pro publico bono. Miałem z tym do czynienia u Birnama i Barkey'a. Chociażby z takimi dwoma geniuszami elektroniki: Flipem i Dipem. Dwaj playboye, którzy na krzemowych półprzewodnikach zarobili czterysta milionów dolarów. A co było pasją ich życia? Łodzie żaglowe i regaty. Sami takie łodzie projektowali i budowali wydając na to niewiarygodne pieniądze, odliczane zresztą od podatków. To ja właśnie rejestrowałem dla nich firmę, przy pomocy której unikali płacenia podatków. Nazywała się „Silent Wanderer Yacht” i mieściła się w Wilmington, stan Delaware. Tam budowali te jachty i zabierali państwu pięćdziesiąt centów z każdego dolara wyrzucanego do wody. Oczywiście był to tylko taki mały, niewinny figiel, ale tacy faceci zawsze i na wszystkim robią ogromne pieniądze i nikt nie ma co do tego najmniejszych złudzeń; myśmy ich również nie mieli podejmując się wykonania ich zleceń. - Na chwilę zamilkł po czym dodał: - Jest oczywiście i inny motyw,

o którym się w firmach adwokackich nie wspomina.  
Wykonywanie bezpłatnych usług, szczególnie charytatywnych zmniejsza ryzyko wpadki i kary jeśli zrobi się. coś niezgodnie z prawem .

- Doskonale prosperujący nowojorski adwokat, jakim Henry M. O'Hara odziedziczył po ojcu zakonną klientelę, <sup>a16</sup> nie odziedziczył zainteresowania godnościami papieskimi • <sup>o1</sup> przejmował się zbytnio ojcami. Wydaje się, że go nudzili i odry'

BANKIER

275

^ali od normalnej pracy. Nie widział powodu by się angażować w sprawy, w których jedyną zapłatą była papieska kokarda. Najprawdopodobniej przejrzał akta i zapoznał się z kontem banko-flym konwentu. Można przypuszczać, że wynajął miejscowego rzeczoznawcę, który potwierdził, że oferta twojego dziadka jest uczciwa, a nawet wielkoduszna. Potem pewnie zatelefonował do Rogersa i zaproponował mu wygodną procedurę. Gil, który pracował dla twojego dziadka, przygotował akt własności, a więc przepisał akt Stritcha i jego testament i zostawił miejsce na nowe podpisy. Potem akt ten wysłał do Henry'ego M., który kazał to przestudiować swoim urzędnikom, i porównać ze starym dokumentem Stritcha. Wszystko okazało się w porządku i Henry podparafował każdą stronę, a na koniec złożył podpis jako radca prawny konwentu. Następnie akt wrócił do Rogersa, który go podpisał jako drugi radca. A kiedy akt przekazano do Street Banku w Pittsfield, Gil reprezentował obie strony: konwent i twego dziadka. W taki oto sposób Henry zaoszczędził sobie podróży do klienta, który płacił niewiele albo wcale.

- Czy to było zgodne z prawem? - zainteresowała się  
- Całkowicie - odpowiedział. - Całkowicie zgodne i etyczne. Nie było sprzeczności interesów i niczego, co by było ukryte. Ktoś chciał sprzedać i ktoś chciał kupić, cena ustalona przez bezstronnych rzeczoznawców. Gdyby nie konieczność załatwienia formalności prawnych, twój dziadek i ojciec Dominie Cle-ary mogli

to załatwić uściskiem dłoni i zaznaczeniem granicy posiadłości na korze drzew. Prawnicy występowali tam nie dla obrony interesów swoich klientów, a zgodnie z wymogami prawa, no i oczywiście, by otrzymać jakieś niewygórowane honorarium. Sama transakcja była jasna, prosta, oczywista. I zupełnie uczciwa. To, co było za nią ukryte i z czasem ujawnione, kryło się po stronie Jima Mandeville'a. Chodzi o to, skąd Jim wziął pieniądze na tę transakcję.

277

HIGGINS

- Połowa pieniędzy wpłynęła w postaci czeku wystawionego na konwent, a gwarantowanego przez Mandeville'a. I w tym kierunku muszą pójść nasze poszukiwania, ale tu potrzebny nam będzie Burt Magoun i nakaz prokuratorski, by wejrzeć w akta bankowe.

## XV

Burt Magoun przyjechał we wtorek po południu do Shrops-hire, by zapoznać się z postępami śledztwa prowadzonego przez Ianucciego i Coreya. W rozmowie telefonicznej prokurator wyjaśnił, że wolałby, by spotkanie odbyło się w domu Ianucciego, gdyż: „sprawą zainteresowała się już lokalna prasa i dziennikarze zaczęli myszковать w sądzie w poszukiwaniu listy świadków. Wprawdzie za mną jeszcze nie łążą, ale o tym też musimy porozmawiać. Trzeba się zastanowić, jak się zachowamy i co powiemy, kiedy zobaczą nas razem w czwartek”.

Rozmawiali w pokoju na pierwszym piętrze usadowieni tak, że mieli przed oczami rysunki i wykresy zawieszane na ścianie.

- Zacznijmy od spraw najważniejszych - powiedział Magoun uśmiechając się nieszczercze. - Nie od takich drobiazgów, jak jakieś nie wykryte morderstwo, ale od spraw kosmicznych rozmiarów, a więc od problemu podekscytowanej prasy.

- Pozwól, że zgadnę - przerwał mu Baldo. - Są niezadowoleni, gdyż uważają, że ukrywasz przed nimi informacje.

- I oczywiście mają rację - stwierdził Magoun. - Nie wyjaśniam, że ukrywam informacje przed dziennikarzami, ponieważ wy ukrywacie je przede mną, a ja nie podnoszę wrzasku; wyszedłbym wtedy na idiotę, a wolę być posądzony o nie informowanie prasy niż o głupotę.

A tym, co ich tak podnieciło, a mówiąc ich mam na myśli też **achaną** starą Beth Warren, jest to, co wyście,

chłopcy, do tej Pory narozrabiali. Jak należało oczekiwać, Dick Putney, po tym Porannym spotkaniu z wami, wykonał sumiennie swoje zadanie ' Powiadomił całą okolicę. Beth zajmuje się zazwyczaj sobą.

Jej jest wszystko jedno, co robicie i jak robicie, ale kiedy pi<sub>ota</sub> krąży po mieście i opowiada się, że konieczne jest przesłucha, nie przed ławą przysięgłych, to rzecz jasna muchy zaczynają zlatywać do miodu.

Słuchaj, Baldo - kontynuował - stajemy przed tym samym problemem, który zmusił mnie do odesłania ciebie na emer, rę. Z absolutnie tych samych powodów muszę ograniczać zwoływanie ławy przysięgłych. Dwudziestu trzech przysięgłych razy dwadzieścia pięć dolarów dziennie, plus koszty dojazdu i powrotu. To razem osiemset dolarów. Tyle kosztuje zebranie tych dobrych ludzi, którzy mogą mi nakazać schwytywanie tych, co mogą być winni.

- A w ogóle to zawsze straszliwie powolny proces. Jeden tydzień w miesiącu, tyle przysięgły może poświęcić sądowi. Zwołujemy, przedstawiamy materiały i robimy jakiś mały kroczek do przodu. Jeszcze jeśli mamy jakąś głośną sprawę opisywaną w prasie to już i po godzinie możemy mieć wyrok, a sędzia zwalnia skazanego za kaucją. No i sędziowie. O mój Boże, Kiedy byłem w pionie federalnym, zawsze mieliśmy co najmniej jednego dyżurnego. Często jednak dwóch, czasami trzech. Jeden zajmował się sprawami bieżącymi, jeden mafią, jeden przestępstwami finansowymi. Wtedy życie było o wiele lżejsze, swobodniejsze, jeśli rozumiecie o czym mówię.

Teraz zwołujemy ławę przysięgłych na cały dzień raz na tydzień i to każdego miesiąca. A każda godzina, każdy kwadrans pracy ławy pożera z budżetu pieniądze, i to



takie, których jeszcze nie mamy. Tak jest od roku, kiedy to ściśnięto nasz budżet pozostawiając nas na głodowych racjach.

Na chwilę zawiesił głos i smutnie kiwał głową, zapewne wspominając w duchu dawne, lepsze czasy.

BANKIER , 282

- Różni ludzie ciągle jeszcze nie chcą lub nie potrafią zrozumieć, że posiedzenie ławy to nie spektakularne przedstawienie, lecz dalszy ciąg żmudnego śledztwa, które ma nas doprowadzić do rozwiązania sprawy. I to też mamy zamiar zrobić teraz.

Oczywiście Beth jest innego zdania, chyba że wyniknie coś, co nadaje się na czołówki gazet. Beth rozumuje dokładnie tak, jak jej redakcja, a redakcja tak, jak wyborcy, a ja za dwa lata staję do wyborów. Chyba rozumiecie, że dla siebie rezerwuję tych dziewięćdziesiąt minut przeznaczonych w czwartek dla waszej sprawy. Musimy mieć bombowe wejście, by zapewnić sobie miejsce na czołówkach. Beth jeszcze niczego nie opublikowała, jedynie dlatego, że nic może opierać się na nieuzasadnionych, iluzorycznych oskarżeniach. Dlatego też i ona, i kilku jej podobnych tak starannie węszą wokół gmachu sądu. Nie chcą przegapić okazji.

W każdym razie, chłopcy - zwrócił się teraz do obu słuchaczy jego monologu - kiedy w czwartek pokażecie się w sądzie, rzucą się na was niczym sfora. A wy musicie trzymać gęby na kłódkę. Nasz plan jest taki: w środę mam konferencję prasową i przypomnę tym damom i rycerzom, że posiedzenia ławy przysięgłych mają charakter poufny. Oni mi na to odpowiedzą, że wykaz wezwań sądowych jest dokumentem jawnym, że mają prawo wglądu i mogą te wezwania opublikować. To wyrazi gotowość obu stron do prowadzenia nieustępliwego, krwawego boju o każdy metr terenu. Poinformuję ich potem, że ława przysięgłych zbiera się

następnego dnia, a rano, kiedy moi asystenci będą rutynowo prezentowali dowody, ja stanę przed sędzią Malcolmem Weatherbee na pierwszej rozprawie kryminalnej i przedstawię wniosek w sprawie:

„Społeczność stanu Massachusetts versus John Doe, co jest procedurą zmierzającą do wprowadzenia tej sprawy pod obrady ławy tego samego dnia po południu. W tym samym wniosku zwrócę się do

sądu o udzielenie zezwolenia na występowanie na terenie stanu Massachusetts w charakterze adwokata niejakiemu Josephowi Coreyowi, adwokatowi posiadającemu zezwolenie na praktykę w stanie Nowy Jork. Swoje wystąpienie uzasadnię koniecznością współpracy przy zbieraniu, analizowaniu i prezentacji ławie przysięgłych dowodów przestępstw. W uzasadnieniu wniosku oświadczę, że pan Corey dysponuje wysokimi kwalifikacjami i szczególną, wiedzą oraz umiejętnością przedstawiania ławie dowodów w złożonej sprawie, która, jak mi się wydaje, jest przykładem rażącego przestępstwa lub przestępstw popełnionych na terenie naszego stanu, a działania pana Corcya ułatwią ławie zrozumienie sprawy i podjęcie sprawiedliwej decyzji.

Całe to postępowanie będzie jedynie bardziej formalną i elegancką wersją rozmowy, jaką dziś rano odbyłem z Malcolmem w jego gabinecie w sądzie. Powiedziałem mu, że potrzebuję ciebie, Joe, by dojść do tego, jak to było naprawdę z tym rozwaleniem czachy Mandeville'a. Powiedziałem, że musimy korzystać z każdego ochotnika, który się zgłasza, i natychmiast dokooptować go do zespołu prokuratora okręgowego. Malcolm uznał to za słuszne i uzasadnione. Był przy tym obecny szef jego kancelarii Ralph Llewellyn, który zawsze jest obecny, kiedy dzieje się coś ciekawszego. Powiedział, że już się z tobą spotkał, że zrobiłeś na nim korzystne wrażenie, co oznacza, że zdałeś egzamin. Sprawa wygląda więc na załatwioną.

Kiedy Malcolm wprowadzi cię oficjalnie, natychmiast  
zał\* twię twoje zaprzysiężenie, abyś mógł być obecny  
przy przes' chaniach na zamkniętych sesjach ławy  
przysięgłych. I będzr tam. Równocześnie powiadomię te  
Iwy z prasy, że ponowni\* powołuję Baldada Ianucciego  
jako specjalnego oficera śledcze\* go mojego biura z  
zadaniem uczestniczenia w tym konkret śledztwie.  
Zapłata, jaką otrzyma, nie może przekroczyć su dolara  
rocznie. Zaraz potem ponownie przypomnę zasadę

BANKIER

286

powitej tajemnicy śledztwa i zapadnę w uporczywe milczenie, podczas gdy oni będą mnie zasypywali wszelkiego rodzaju pytaniami, na które nie otrzymają odpowiedzi. A następnego dnia rano gazety będą pełne pozbawionych podstaw spekulacji na temat tego, że znajdujemy się na śladach facetów, którzy kiedyś, jeszcze za czasów prezydentury Johnsona i wieczystego trwania Muru Berlińskiego, zamordowali Jima Mandeville'a.

\_ No, a teraz, chłopcy, powiedzcie prawdę: Jesteście na tropie? Dopadacie już ofiary? I lepiej, aby tak było, dżentelmeni, gdyż w przeciwnym wypadku musiałbym się gęsto tłumaczyć.

Corey i Ianucci wymienili szybkie spojrzenia. Corey mruknął:

-Sądzę, że możemy już powiedzieć: letnio, letnio.

Ianucci wzruszył ramionami i dodał:

- Jesteśmy zapewne bliżej, niż byliśmy przed dwoma miesiącami. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Minie jednak jeszcze co najmniej miesiąc lub sześć tygodni, zanim będziemy mogli powiedzieć: gorąco, gorąco. Potrzeba nam jeszcze nieco czasu, ale przede wszystkim szczęścia. Teraz liczymy na tę sesję ławy przysięgłych. Musimy stwierdzić, czy dowody potwierdzą nasze przypuszczenia.

- Popatrz na ten wykres na ścianie - mówił dalej -

Mandeville<sup>le</sup> pożyczył pieniądze od banku Principalities Financial. To firma należąca do konsorcjum z Delaware, reprezentowana w tym stanie przez Samuela Lewisa. Był

on adwokatem i miał swoje biuro na Czterdziestej Ulicy w Springfield. Biuro jeszcze tam <sup>leśt</sup>, z nazwiskiem Lewisa na drzwiach, ale taki sam napis figuruje na nagrobku na cmentarzu w West Springfield, a pod tym <sup>na</sup>grobkiem spoczywa pan Lewis i nigdy się nie dowiemy, czy P°Wołując się na tajemnicę zawodu adwokackiego odmówiłby

ujawnienia nazwisk swoich klientów, czego, jak mniemam, na. leżałoby oczekiwać.

- Wobec zgonu pana Lewisa liczymy, że księgi Synów Nie. pokalanego Serca Marii rzucą nieco światła na sprawę. Liczymy na pojawienie się ojca Dominica Cleary, który trzymał klucz do kasy konwentu, kiedy załatwiano ten interes, ale...

- Zapomnijcie o ojcu Cleary - przerwał mu Magoun. - Jeszcze dziś rano dzwoniłem do ojców do Chicago.

Ojciec Cleary znajduje się na łonie Zbawiciela, i to od roku osiemdziesiątego drugiego. Skarbnikiem konwentu od tego czasu jest wielebny Luis Delatorre, rektor Prowincji Wschodniej Stanów Zjednoczonych, a jego pomocnikiem jest wielebny Anselm Dawes.

Uznałem, że mam prawo powiadomić ojca Dawesa, że zaspokoją wymogi wezwania przesyłając nam kopie dokumentów. Miałem przy tym nadzieję, że nie będą się zasłaniali prawem, zgodnie z którym podlegają jurysdykcji stanu Illinois. Mogliby mieć swoje powody, by tak właśnie postąpić. Ojciec powiedział mi jednak, że woleliby nie przekazywać dokumentów w obce ręce.

Dodał natychmiast, że są gotowi obaj przyjechać, by stanąć przed ławą przysięgłych. Nie zapytałem, dlaczego obaj, chociaż oczywiście miałem do tego prawo. To przecież z mojego budżetu pokrywa się koszty przejazdu świadków. Może jeden z nich obawia się lotu, a drugi leci, by tego pierwszego trzymać za rękę. Nie mam pojęcia, w każdym razie będziecie mieli ić obu. Baido popatrzył na prokuratora z dezaprobatą.



- Zbisiłeś się, jak tylko spuściłem cię z oka. Sądzę, że będziemy musieli razem z Joe nieco nad tobą popracować.

- Papiery, jakie przywiozą, zapewne nie powiedzą nam więcej niż te, jakie już mamy. Wezwanie ich z tymi aktami to główni\* pretekst, by kogoś postawić przed ławą przysięgłych. Kiedy j''\*

upewnią nas, że dokumenty są w porządku, będziemy mogli ich nieco przydusić, by sprawdzić, czy nie mają w swoich szarych komórkach strzępów jakichś informacji, z których sobie w ogóle nie zdają sprawy. Jak już ich zaprosiłeś, Burt, i jak za nich płacisz, to nie można ich tak po prostu odesłać do domu. pozwolimy im zeznawać, a zeznania zastenografujemy. Wyświadamy ich, im to nie zaszkodzi, a naszej sprawie pomoże.

Magoun popatrzył na lanucciego jakby nieco szyderczo i westchnął:

- Zaczynam się zastanawiać, czy nie ograniczyć jednak swego udziału w tej waszej awanturniczej operacji.

- Rezultaty będą łatwe do przewidzenia - odpowiedział Ia-nucci. - Pozbawisz się możliwości jedyne go sukcesu, jaki przed tobą świta i jakiego nie notowałeś od czasu, kiedy ja opuściłem tę twoją stajnię, w której pozostali wyłącznie zapoznani geniusze. No, ale dość tych żartów. Wracamy do rzeczy. Joe, teraz ty mów.

- Popatrz na ten wykres - zaczął Corey. - To linia czasu. Dochodzisz do czerwca sześćdziesiątego roku i jak widzisz, robi się pusto. Nie wiemy, skąd nadeszli pożyczone pieniądze i jaką drogą nadeszły. Kto je tu w Shropshire otrzymał i kto je przekazał Jimowi Mandeville'owi. Brak nam nazwisk, miejsc, dat. Mamy nadzieję, że księża mają coś zanotowane, coś zapamiętane - jakieś pogłoski, cokolwiek. Nadzieje niewielkie, ale trzeba Próbować.

Kiedy skończymy z księżmi, przejdziemy do Banku Foothills National. Interesowaliśmy się nim dotychczas za pośrednictwem Katherine McCormack i jej następczyni. Potwierdziły, że w Foothills działa się to samo, co we wszystkich innych bankach w tamtych czasach. Pod koniec lat pięćdziesiątych wszystkie banki zaczęły przenosić swoje akta na mikrofilmy. Czeka

przychodzące i wychodzące i wszystkie dokumenty. Zajmu-niewiele przestrzeni i są trwałe w przechowywaniu, jeśli nie wy stawia się ich na działanie promieni słonecznych, czego zapew. ne nikt nie robi. W rezultacie cała dokumentacja transakcji zawieranych przed dwudziestu laty została zachowana. Mikro filmy przechowuje się bez ograniczeń, podczas gdy papiery ni-szczono po siedmiu latach. Wiemy więc, że Foothills ma pełną dokumentację z tamtych lat i musimy mieć do niej dostęp. Jeśli znajdziemy to, czego się spodziewamy, trzeba będzie poner zwołać ławę przysięgłych. I zabawa od początku. Tyle, że już z innymi dokumentami.

Magoun spochmurniał.

- Przeanalizowałem wasze propozycje wezwań sądowych. Dwa pierwsze paragrafy dotyczą banku. W pierwszym mowa o wszystkich dokumentach związanych z transakcjami zawieranymi przez Mandeville'ow w latach od sześćdziesiątego po sześćdziesiąty siódmy. W drugim - o wszelkich transakcja ' prowadzonych poprzez konta konwentu. Tu do niczego nie można się przyczepić. Wszyscy, którzy wiedzą, że tropimy morderców Mandeville'a, nie zdziwią się, że chcemy zajrzeć w te dokumenty i nikt się nie zdziwi, że interesują nas również, ksi' gi duchownych, w tym wypadku rachunki konwentu. Potem jednak jest nieco gorzej. W trzecim paragrafie domagacie się wglądu w rachunki bankowe gospody Shropshire In w latach-pięćdziesiąt siedem - siedemdziesiąt. To już nie takie całkiem jasne. Jeszcze

gorzej jest z paragrafem czwartym<sup>1</sup> w którym domagacie się rachunków i akt Jacka Davesa i Wini'fred. Nie wspominam już w ogóle o paragrafie pięć, a mo tam o rachunkach naszego szanownego kolegi Gilberta Ro sa. Za ten sam okres.

BANKIER

294

*fio* cóż, tu posunęliście się nieco za daleko. Sędzia może się zdenerwować. A czy zastanowiliście się, co będzie, kiedy te naciska znajdą się na pierwszych stronach gazet? Oczywiście nie twierdzimy, że Jack jest głównym podejrzanym, lub że Gilbert Dyl w cokolwiek zamieszany, ale nikt, kto o tym przeczyta w prasie, nie będzie miał najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie myślimy. Po co bowiem byśmy domagali się wglądu w te dokumenty?

- Innymi słowy - wtrącił się Ianucci - brzmi to jak zaproszenie do łowienia ryb w mętnej wodzie.

- Tak, dokładnie właśnie tak - westchnął ciężko Magoun. -Bardzo wam jestem, chłopcy, wdzięczni za to, co robicie, i całkowicie jestem z wami, ale nie zapominajcie o tym, kto będzie musiał stanąć przed sądem i wysłuchiwać uwag, że jesteście nieostrożni. Jeśli już muszę się poświęcać, to niech wam będzie, ale chcę wiedzieć, że w końcu wygram, a nie że moja głowa zostanie ścięta i to wobec tych wilków z prasy, którzy ogłoszą publicznie, że pozwoliłem dwóm amatorom detektywom narozrabiać i prowadzić bez mojej wiedzy i kontroli polowanie na czarownice. Zgodziłem się z waszą sugestią, że należy poprzez plotkę zasiać nieco niepokoju, ale plony tego siewu mogą się okazać zatrute. Pewne jest, że zaalarmujecie Davisa. Jeśli faktycznie ma coś na sumieniu, to będzie miał czas na zniszczenie materiałów i zatarcie śladów, a być może nawet na to, by zwać<sup>23</sup> granicę.

~ Niech będzie - przytaknął Baldo. - Weźmy po kolei.  
Tak, <sup>0</sup> rzeczywiście połów w mętnej wodzie. Jak ci  
mówił Joe, nie

\*arny szans wypełnienia pustych miejsc na wykresie,  
jeśli nie Prawdzimy ludzi, którzy z tym mieli coś  
wspólnego. Przypusz-zarny, ze Jack Davis zna nazwiska  
tych ludzi, jako że sam był

Nnym z njcn Nie znam Davisa, nigdy go nie widziałem, ale

wiem, że jest zamieszany i jeśli go złapiemy, może nas dopro. wadzić do tych, co go tu przysłali. Tak mi się wydaje. Jack poja. wił się tu znikąd, jakby spadł z nieba. Dysponował gotówką i dy | dobrym menedżerem. Sądzę, że idealnie pasował do tego, co było potrzebne Jimowi Mandeville'owi. Skąd przybył? Z Nowego Jorku? Nikt tego nie potwierdza. Dlaczego właśnie tu się pojawił? Jeśli całe życie marzył o prowadzeniu motelu, to dla-czego właśnie tutaj?

- Chcemy znać odpowiedzi na te kłopotliwe pytania - powiedział Ianucci. - Zanim jednak je zadamy, musimy sami nieco pogrzebać i znać przynajmniej część prawdy. Kiedy Jack stanie przed ławą przysięgłych, będzie miał tylko dwa wyjścia. Albo skłamię, złamię przysięgę i powędruje do więzienia, albo dogada się z nami i za zapewnienie mu bezkarności powie prawdę.

A droga do tej prawdy prowadzi właśnie poprzez te akta bankowe. Musimy więc je przewertować, a jak się przez nie przedrzemy, wypożyczymy sobie Jacka na małą pogawędkę. Zobaczymy, co postanowi zrobić, ale cokolwiek postanowi, nie będzie to dla niego miłe.

Magoun pokiwał głową.

- Ślicznie, Baldo, przepięknie - powiedział. - Lubię ludzi ostrożnych. Pan Bóg im sprzyja i mam nadzieję, że mają szc ście, tym bardziej, że w tej sprawie ich szczęście jest równocześnie moim.



## XVI

Luis Delatorre był szczupłym mężczyzną o doskonałej sylwetce, z bujną, falistą czupryną srebrnosiwych włosów, o rysach posągu idealizowanej postaci rzymskiego cesarza i twarzy, do której trwale przyczepiony był delikatny uśmiech wyrozumiałości i przebaczenia. Gdy Anselm Dawes upewnił się, że ojciec Delatorre usadowił się wygodnie w fotelu w przedpokoju przed salą posiedzeń ławy przysięgłych, podszedł do Coreya i zapytał, czy mogliby zamienić kilka słów na osobności. Corey skinął głową, zaprowadził go do jednego z pustych pokoi koło sali posiedzeń i zamknął drzwi.

Siadając na metalowym krześle wyłożonym szarymi podusze-czkami Dawes powiedział:

- Ojciec Delatorre nie włada tak dobrze angielskim, jak to sobie sam wyobraża.

- Czy chciałby, czy wolałby składać zeznania przy pomocy tłumacza? - zapytał Corey.

Wieczorem opowiadając o wszystkim Jill, powiedział: Natychmiast postanowiłem, że jeśli Dawes powie, że tak, Rezygnujemy w ogóle z przesłuchania ojca Delatorre. Pan Bóg wie, ile może kosztować tłumacz, choć i tak wszystko *Mno*, bo Burt się na taki wydatek nie zgodzi.

~ Mogliście mnie poprosić - zareagowała Jill. - Być może nie Mogłabym oprowadzać wycieczek, być może nieco wyszłam <sup>1</sup> wprawy, ale jednak język znam.

~" To wykluczone - zawyrokował. - Sąd to nie zwykła, co-i-enna sytuacja. Tłumaczenie musi być dokładne, precyzyjne

^  
\_\_\_\_\_

HIGGINS

i jest zapisywane. Żebyś mogła tłumaczyć, musiałabyś być sprawdzona i zatwierdzona. Nie masz żadnego doświadczenia

i nie jesteś członkiem związku tłumaczy.

Tymczasem Dawes wzdrygnął się na samą propozycję tłumacza.

- Boże Wielki, w żadnym wypadku. To by go wytrąciło z równowagi. Ojciec Delatorre to Hidalgo, syn starego, szlacheckiego rodu hiszpańskiego. Zapewne pan słyszał o jego kuzynie Francisco Delatorre.

- Przykro mi, nie słyszałem - usprawiedliwiał się Corey. Dawes przybrał bolesciwy wyraz twarzy i uniósł brwi.

- No cóż, w tym kraju zainteresowanie sztuką nie jest zbyt wielkie - skomentował i ciągnął zaczęłą myśl: - Ojciec Luis opowiadał mi, że kiedy był w Panamie, jego pokrewieństwo z wielkim toreadorem jednało mu wiele szacunku i przysparzało rozgłosu. Wielu uważało w ogóle, że Francisco był lepszy od Domingaina i Ordoñeza. Oczywiście nie mam pojęcia, czy to prawda.

- To, rzecz jasna, nie ma najmniejszego znaczenia. Ojciec Luis był zawsze człowiekiem niezwykle dumnym. Nie dumnym w znaczeniu kardynalnego grzechu, lecz. w znaczeniu postawy. Godnej, dumnej postawy mężczyzny. Prośenie o pomoc czy nawet godzenie się z nią uważałby za coś niegodnego. Jest dumny ze swojej znajomości języka. Oczywiście na swoich pi<sup>er</sup>l wszystkich placówkach w Panamie posługiwał się ojczysty<sup>111</sup> hiszpańskim, i nie było problemów. Potem, w pięćdziesiąty<sup>10</sup> czwartym przeniesiono go do nowo

utworzonej Prowincji Wschodniej, a następnie wysłano na Filipiny. Mówiono mi, że nauczył się płynnie mówić w tagalog. Rzecz jasna nie sprawdzę łem. Jego angielski wyuczony w czasie studiów jest oczywisty

BANKIER

301

^starczający na codzienne potrzeby, ale nie do prowadzenia ^witych dyskursów. Dlatego właśnie podróżuję z nim, by, jeśli zajdzie potrzeba, wyjaśniać trudniejsze problemy. Jakież sprawy intelektualne czy teoretyczne, jeśli tak mogę powiedzieć. -fja chwilę zamilkł i dodał: - Oczywiście ojciec Delatorre nie przyjmuje tego do wiadomości.

\_ No cóż. Nasze pytania nie będą dotyczyły problemów abstrakcyjnych - wyjaśnił Corey. - Odnosić się będą wyłącznie do transakcji, jaka miała miejsce w sześćdziesiątym roku, i tego, czy pamięta osoby, które były w to zamieszane.

Dawes miał zmartwiony wyraz twarzy.

- Rozumiem, i nie wykluczam, że pamięta tamto wydarzenie. Nie mam jednak pewności, czy sam zdaje sobie z tego sprawę. Rozumie pan, co mam na myśli? Sądzę dlatego, że lepiej byłoby, gdybyście przesłuchiwali nas obu jednocześnie. Oczywiście, jeśli to możliwe. Ojciec Delatorre jest zawsze bardzo chętny do współpracy z władzami cywilnymi, ale moja pomoc może się tu okazać bardzo potrzebna, pod warunkiem, że nie będzie miała charakteru tej pomocy. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Chyba tak - potwierdził Corey. - To chyba nie takie znowu skomplikowane. Przykro mi, ale to będzie niemożliwe. Jeśli ojciec Delatorre nie poinformuje prokuratora okręgowego, że Potrzebna mu jest pomoc tłumacza, musi stanąć przed ławą sam. Tego wymaga prawo.

~ Sam? - zdumiał się Dawes. -1 nikogo nie będzie w pokoju?

~ Oczywiście będzie stenograf i ja oraz śledczy, pan Ianucci -tłumaczył Corey. - Poza nami i świadkiem będą tam jedynie członkowie ławy przysięgłych. Wszyscy obecni, z wyjątkiem świadka, składają przysięgę, że dotrzymają tajemnicy zeznań.

HIGGINS

- Dwunastu przysięgłych? Stenograf, pan i policjant? Piętnaście osób ma utrzymać coś w tajemnicy? - uśmiechnął się. ^ Musicie grozić rzeczywiście ostrymi sankcjami. Jak panu zapewne wiadomo, w Kościele do tajemnicy dopuszczana jest jedynie jedna osoba, a w razie jej ujawnienia karana jest nieby. wale ostro. A pomimo tego od czasu do czasu... pan rozumie.

Corey uśmiechnął się.

- Oczywiście, sam w tym tkwię i wiem, jak to wszystko działa. W rzeczywistości wielka ława liczy dwudziestu trzech członków, a mała, która wysłuchuje zeznań, jedynie dwunastu. I jednak jakoś to tam idzie. Tak trwa od kilku wieków, od czasu, kiedy wprowadzono ten system w Anglii. Celem było niedopuszczenie, by król mógł wtrącać ludzi do więzień i posyłać na szubienicę na podstawie wyssanych z palca oskarżeń. Nikt więc nie może być skazany za cokolwiek, jeśli dwunastu obywateli wybranych spośród dwudziestu trzech nie wysłucha oskarżenia i nie stwierdzi: „Wygląda na to, że przestępstwo zostało popełnione i ten facet mógł to zrobić. Postawić go przed sądem i zobaczymy, czy król może mu to udowodnić”. Kiedy jednak większość z nich powie: „Nie, nie widzimy tu żadnego przestępstwa. Jedynie król się na niego uwziął”, albo: „Tak, popełniono przestępstwo, ale nie wydaje się nam, by popełnił je ten facet”, sprawa zostaje zamknięta i król nie ma już nic do powiedzenia.

I dlatego właśnie tajemnica przesłuchania. Nie można by było uchronić niewinnego, gdyby król lub jego

urzednicy mogli publicznie glosic, ze on jest winny. Byc moze wyglada to dosc zawile, ale obecnie rzadko sie zdarza, by lawa przysieglych nie zgodzila sie na postawienie w stan oskarzenia faceta, ktory zdaniem prokuratora powinien byc oskarzony. I jakoś to dziala.



BANKIER

305

\_ Nadzwyczajne - westchnął Dawes, złożył ręce jak do modli-jwy j wstał. - No cóż, zrobię, co będę mógł, by zaznajomić ojca Luisa z procedurą i oczekujemy na wezwanie.

Wieczorem relacjonując Jill, Corey powiedział:

Ojciec Delatorre, gdy wszedł do pokoju przesłuchań, nie był nic a nic zdenerwowany. Raczej przypominał zaspanego krokodyla. Arystokraci się nie denerwują. Mają ludzi, którzy się denerwują za nich. Ojciec Luis był całkowicie odprężony. Być może nieco skonfundowany, ale odprężony. I byłem mu za to wdzięczny.

My weszliśmy razem z Burtem, który zaczął od tego, że przedstawił nas ławie przysięgłych, a zasiadali tam ludzie najwyraźniej sympatyczni, sami biali, robiący wrażenie emerytów, którzy mają czas, by wejrzeć w sprawy innych i zrobić coś pożytecznego. A Burt zaczął snuć swoją mowę, w której nakreślił sukcesy zawodowe Baldo, a następnie zrobił, co potrafił, by moją krótką karierę przedstawić jako pasmo olśniewających sukcesów. I tak mówił i mówił, i nie mógł dojść do sedna samej sprawy.

- Burt chciał, abym wypadł jak najlepiej, ale zapomniał<sup>0</sup> tym, że ja nigdy jeszcze nie stawałem przed ławą przysięgłych. Straciłem głowę. Powinienem być uprzednio napisać sobie to,<sup>00</sup> miałem powiedzieć, a więc mowę prezentującą sprawę. Zagnam rozumieć Eda Birnama, który zawsze przed przesłuchaniem stawał się niemożliwy do wytrzymania. Zawsze, za każdym razern, ten miły, uprzejmy facet przeobrażał się w

dwunożne ■nonstrum, co mnie wprowadzało w stan zdumienia.

~ Teraz go rozumiem. Wiedział z własnego doświadczenia <sup>10</sup>jca oraz innych, że kiedy staje się przed ławą i ma się przedstawić rzeczowe argumenty, człowiek zaczyna odczuwać parali-<sup>u</sup>Ja.cy strach, szczególnie jeśli nie ma tych argumentów

przygotowanych. Kiedy razem z Edem przygotowywałem matę, rwały na przesłuchanie, sądziłem, że kierując się honorem rzemieślnika, nie chce się wygłupić przed klientem. Myliłem się. Dopiero teraz wiem, że to nie miało nic wspólnego z klientem. Ed bał się tego, że wygłupi się sam przed sobą. Przygotowywałem mu dziesiątki notatek, cytatów, akt, z których, kiedy już nadszedł wielki dzień, nigdy nie korzystał. Zawsze wygłaszał przemówienie ex tempore. I zawsze doskonale. Notatki i akta, nad jakimi się tak napracowałem, leżały przed nim nie tknięte. Nie potrzebował ich, gdyż wiedział, że ma je przed sobą. Był siebie pewny.

A ja nie byłem. Pływałem więc, jak umiałem.

Opowiadałem więc tym przemiłym ludziom o tym, co spotkało twojego dziadka. Tragicznie chciało mi się siusiać, co było całkiem zrozumiałe. W gardle miałem sucho i nawet przestałem się pocić, a więc cała wilgoć spłynęła do pęcherza - zaśmiał się niezbyt szczerze. Gdy siadałem, spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że mówiłem pełnych pięćdziesiąt minut.

Skinęła głową ze zrozumieniem i powiedziała:

„Teraz już nigdy nie usłyszę od ciebie uwag na temat mojej wygodnej pracy polegającej na prowadzeniu dziewięciu wykładów tygodniowo i lekceważących, wypowiedzianych protekcjonalnym tonem złośliwych uwag na temat przerażonej nauczycielki, która na godzinę przed rozpoczęciem seminarium nie jest w stanie znaleźć swoich notatek”.

„Mogę wyrazić pogląd, że masz pełną rację” -  
odpowiedział-

Upłynęło sporo czasu, zanim ojciec Luis Delatorre usadowił się wygodnie na orzechowym krześle ustawionym dla świadków przed podium, na którym zasiadali przewodniczący i sekretarz ławy przysięgłych prowadzący przesłuchanie. Corey i Ianu<sup>1</sup> zasiedli po prawej stronie podium. Za plecami mieli

a przed sobą, na stole, notatki i dokumenty. Delatorre usadowił się wreszcie, złożył ręce na kolana i założył nogę na nogę. Rozejrzał się po salce, a na twarzy miał uśmiech najwyraźniej sygnalizujący, że nie ma potrzeby przeproszania go za to, że poświęcił swój czas i przybył na przesłuchanie, jako że zrobił to z chrześcijańskiej pokory służąc prawdzie i Bogu.

- Proszę podać swoje nazwisko do protokołu -  
powiedział

Corey.

Wieczorem mówił do Jill:

„Baldo wytrenował mnie jak konia przed derbami: Zaczynasz od tego, że świadek zostaje zaprzysiężony, prosisz go o podanie nazwiska. Oczywiście więc zacząłem od nazwiska i dopiero Baldo stuknął mnie palcem w plecy i przypomniał o zaprzysiężeniu”.

Delatorre robił wrażenie zdumionego. Przewodniczący ławy, emerytowany pastor uniteriański, łysy i szczupły, w zwykłym ubraniu, lecz w czarnej marynarce i w koloratce. Phil Sheffley wstał, podniósł do góry prawą rękę i wygłosił formułkę:

„Uroczyście przysięgam mówić prawdę, całą prawdę, nic tylko prawdę... Tak mi dopomóż Bóg”.

Delatorre nie ruszył się z miejsca, drgnęły mu jedynie mięśnie na twarzy. Nachmurzył się i patrzył na Sheffleya, a przypominał Pięcioletniego chłopca, przed którym po raz pierwszy w jego życiu położono na talerzu gotowanego homara, a on nie potrafi zrozumieć, co ma z tym fantem zrobić.

Baldo stuknął Coreya łokciem i szepnął:  
~ Powiedz wielebnemu, że ma złożyć przysięgę.  
Corey skinął lekko głową i powiedział:

HIGGINS

- Proszę ojca Delatorre, prawo wymaga, by przed złożeniem zeznań ojciec złożył przysięgę.

Delatorre zwrócił głowę w kierunku mówiącego i wypowiedział jedno słowo:

- Naprawdę?

- Taki jest wymóg prawa. Proszę więc wstać, podnieść prawą rękę i złożyć przysięgę - naciskał Corey.

Delatorre potrząsnął głową i patrzył w stronę członków ławy, jakby oczekiwał od nich sygnałów, że podobnie jak i on nie potrafią zrozumieć tej zawilej sytuacji. Nie znajdując jednak w ich oczach sympatii przeniósł wzrok na Coreya, który powiedział:

- Proszę, niech ojciec wstanie, podniesie rękę i dopełni formalności.

Opowiadał potem Jill:

„Trwało to straszliwie długo. Doszedłem do wniosku, że jedynym sensownym rozwiązaniem będzie zaprzysiężenie ojca Delatorre, zadanie mu kilku nic nie znaczących pytań i odesłanie go tak, by można było rozpocząć przesłuchanie ojca Anselma. Jednak trzeba było tę przysięgę odebrać. O ile poprzednio nie mogłem się pocić, to teraz społem się jak mysz.

Wreszcie jednak udało się. Wielebny ojciec usadowił się potem na krześle tak, jakby miano malować jego portret i wcale bym się nie zdziwił, gdyby grzecznie, ale stanowczo zaczął się domagać, by poprawiono oświetlenie. Wreszcie jednak można było zacząć przesłuchanie. Byłem przekonany, że nie potrwa ono zbyt' długo. Cóż bowiem mógł wiedzieć ten klecha kabotyń? A jeśli nawet coś wiedział, to jak to z niego

wydobyć? Postanowile<sup>1D</sup> poświęcić mu najwyżej trzy  
minuty. Niech tylko poda swoje nazwisko i  
zaczynamy. Niestety pomyliłem się w przewidyw<sup>2'</sup>  
niach.



## BANKIER

313

Ojciec Delatorre podał nazwisko, imię, adres i oświadczył, że przybył na wezwanie sądowe jako odpowiedzialny za finanse konwentu. I w tym momencie nieoczekiwanie odezwał się Ianucci:

- Panie Corey - powiedział - czy nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że jako pierwszy - by nie przewlekać przesłuchania, zadam jedno czy dwa pytania?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Corey.

- Ojciec Delatorre - zwrócił się Ianucci do duchownego. - Nie znamy się. Nazywam się Baldad Ianucci i jestem urzędnikiem śledczym pracującym dla prokuratora okręgowego. Razem z siedzącym tu mecenasem Corey'em prowadzimy w tej sprawie śledztwo.

- Rzadko spotykam imię - zdumiał się ojciec Delatorre.

- Jak mi nie mam, pański ojciec doceniał wagę przyjaźni i powinien pan dziękować Bogu za imię, które symbolizuje pociechę niesioną przez przyjaciela w nieszczęściu.

Ianucci uśmiechnął się.

- W miarę jak dorastałem, proszę ojca - powiedział - zacząłem rozumieć, że mój ojciec rzeczywiście wysoko cenił sobie wielorakie błogosławieństwa przyjaźni. Z czasem jednak sam najwięcej spokoju znajdował w czytaniu Pisma świętego. Najszczęśliwszy czuł się szukając pociechy i spokoju na tych świętych kartach. Ojciec Delatorre promieniał.

~ Oczywiście, oczywiście, señor Baldad. Jakże trudno zaspokoić pragnienie naszych dusz tęskniących do Boga wobec cięża<sup>-ru</sup> Przygniatających nas spraw tego świata.

Ianucci potrząsnął głową i ze smutkiem na twarzy i w głosie powiedział:

- To pięknie, proszę ojca, powiedziane. Kiedy dorosłem, wie. lokrotnie zastanawiałem się nad tym, czy powołanie odkryte zbyt późno nie wymaga większych poświęceń niż odkryte we właściwym czasie. Mój ojciec zażył wiele radości tego świata, ale to, czego rzeczywiście łaknął, nadeszło dopiero potem.

Delatorre potwierdził z pełną smutku skwapliwością.

- To bardzo częste wypadki, proszę pana - powiedział. - My, żołnierze Chrystusowi, często napotykamy mężczyzn i kobiety, którzy w pogoni za radością życia, życie to marnują. To nami wstrząsa i przypomina z całą mocą o naszych obowiązkach wobec Pana.

- Mogę sobie wyobrazić, ojcie Delatorre, że w latach, kiedy pan współpracował ze zmarłym ojcem Cleary, musiał pan stykać się z wieloma takimi ludźmi. Musiał ojciec jednak spotykać również pokornych wobec woli Boga. Takich chociażby jak Ja-cob Stritch, który przekazał piękną nieruchomość waszemu konwentowi.

- A, wspomina pan Jacoba Stritcha - twarz ojca Delatorre znowu się rozpromieniła. - Muszę przyznać, że nigdy nie miałem przyjemności go spotkać, ale ojciec Cleary, mój wspaniały poprzednik, wyrażał się o nim z najwyższą estymą jako o człowieku wielkodusznym.

- Ma ksiądz na myśli wartość przekazanej posesji? - zapytał Ianucci.

- Oczywiście, rzecz jasna - brzmiała odpowiedź - ale głównie w sensie duchowym. Przez tych bez mała

czterdzieści lat, kiedy posiadłość ta należała do konwentu, była miejscem przynoszącym ukojenie, nadzieję, światło, miejscem ucieczki od trosk

BANKIER

317

j za wirowań świata, sanktuarium dla postulanta, portem dla łamanych i wątpiacych. Jak mi się wydaje, dziś mówi się tak o ludziach przechodzących kryzys.

\_ Rozumiem - Ianucci skinął głową. - Ksiądz jednak wie, ze nadszedł czas, kiedy uznano, że dla konwentu najkorzystniejsze będzie sprzedanie tej posiadłości?

Ojciec Cleary powiadomił o tym księdza?

Teraz ojciec Delatorre potwierdził odpowiedź skinieniem głowy.

- Tak jest, ojciec Dominie powiedział mi o tym. Byłem też przy tym, kiedy decyzja ta została podjęta. Stało się to w pięćdziesiątym dziewiątym roku. A poprzedziły ją gorące modły, w których prosiliśmy Ducha Świętego, by kierował naszymi krokami, byśmy nie działali pochopnie i nieroztropnie. Od czasu, kiedy pan Stritch przekazał nam posiadłość, nasza działalność w Chicago bardzo się rozwinęła, głównie dzięki świątyni Św. Judy i centrum, jakie założyliśmy w Kankakee. Uznaliśmy, że tu, w sercu Ameryki, należy skoncentrować naszą działalność. A więc po dłuższym zastanowieniu i dyskusji postanowiono, że ojciec Dominie zwróci się do naszego cywilnego adwokata, by ten podjął kroki mające na celu zamianę wielkodusznego daru pana Stritcha na środki, które posłużyłyby do dalszego rozwoju działalności konwentu. Tak to chyba można powiedzieć.

- Innymi słowy chodziło o sprzedaż - stwierdził Ianucci.

- Tak, właśnie o to - zgodził się ojciec Delatorre. -

Chodziło<sup>010</sup>, by dar pana Stritcha dla spokoju

wiecznego jego duszy jelicz lepiej służył potrzebom konwentu w sytuacji, w której ^óg otworzył przed nami nowe możliwości.

HIGGINS

- A czy ojciec wie, kto był tym cywilnym adwokatem, z którym się skontaktował ojciec Dominie? - padło kolejne pytanie.

- Oczywiście, że wiem - ojciec Delatorre uśmiechnął się wy. rozumiale. - Był to mecenas Henry M. O'Hara z Manhattanu w Nowym Yorku, syn mecenasa Henry F. O'Hary, człowieka niezwykle oddanego Kościołowi i Najświętszej Matce Pannie, a w szczególności od wielu, wielu lat oddanego naszemu zakonowi. Podobnie oddany był jego syn, którego poznałem, prawdziwy syn Kościoła.

- I ojciec Dominie poprosił Henry M. O'Hare, by znalazł kupca na posesję? - pytał Ianucci.

- Tak, tak właśnie postąpił.

- Czy Ojciec wie, jakie kroki podjął mecenas O'Hara by znaleźć nabywcę?

- Tak, wiem - odpowiedział Delatorre. - Wiem, gdyż właśnie wtedy w rodzinie ojca Dominica miała miejsce długa, przewlekła choroba. Zachorowała jego matka, kobieta już w wieku zaawansowanym, i zawezwano go, by był przy jej boku w chwili, w której będzie opuszczała ten padół. A ojciec Dominie usłuchał wezwania i spełnił swój obowiązek, i wiele tygodni spędził przy łożu matki w Troy w stanie Nowy Jork. Ja przejąłem na ten czas obowiązki ojca Dominica i kontaktowałem się z mecenasem O'Hara wykonując polecenia nieobecnego ojca.

- A na czym konkretnie to polegało? - chciał się dowiedzieć Ianucci. - Rozmawiał ojciec z mecenasem

przez telefon? Za\* twierdza! jakieś dokumenty?

Prowadził pertraktacje ze strona przeciwną?

Ojciec Delatorre patrzy! zdumiony z głową  
przekrzywiona.

w prawą stronę i po chwili odpowiedział niezbyt  
pewnie:

-Tak.



BANKIER

321

\_ Być może nie wyraziłem się nazbyt jasno - usprawiedliwił się lanucci. - Kiedy ojciec zastępował ojca Dominica jako odpowiedzialny za finanse konwentu, czy mecenas O'Hara wymieniał jakieś nazwiska w rozmowie z ojcem?

Na twarz ojca Delatorre ponownie wypłynął uśmiech.

- Oczywiście, oczywiście. Nazwiska innych osób. Tak, przypominam sobie nazwisko Gilbert Rogers. Mecenas Gilbert Rogers. Z tego samego miasta, gdzie znajdowała się posesja. Tak, mecenas Rogers się tym zajmował. Mecenas O'Hara wyrażał się o nim z największym uznaniem i zapewniał, że on mógłby nas na miejscu reprezentować równie dobrze, jak on sam. To znaczy sam mecenas O'Hara.

- A więc wierzyliście mecenasowi Rogersowi na słowo mecenas O'Hara - konkludował lanucci.

- Tak, dokładnie tak - potwierdził z zapalem ojciec Delatorre.

- A czy ojciec spotkał kiedykolwiek mecenas Rogersa lub rozmawiał z nim przez telefon? - chciał się dowiedzieć lanucci.

- Tak jest, rozmawiałem wielokrotnie - brzmiała odpowiedź.

-Jak?

- Telefonicznie. Osobiście również - stwierdził ojciec. - Rozmawiałem wielokrotnie, o ile sobie przypominam. Spotkałem go, kiedy przywiózł papiery, które musiałem podpisać.

~ Gdzie to miało miejsce, to podpisywanie papierów? -  
dopytał Ianucci.

- W biurze mecenasa O'Hary, na Manhattanie w Nowym  
^orku. Pojechałem tam w roku sześćdziesiątym.

Pamiętam, że było ogromnie gorąco. Jechałem  
pociągiem, a pociąg nazywał się tak jakoś Empire  
Limited czy Empire Builder. Choroba

matki tak długo nie pozwalała ojcu Dominicowi na powrót. On tam oczywiście też przyjechał, to znaczy ojciec Dominie, ale i mnie prosił o przyjazd. Jego długa nieobecność sprawiła, że musiałem być z nim, by go informować, doradzać, gdyby to było potrzebne. Kiedy weszliśmy do gabinetu, mecenas Rogers już tam był. Pamiętam doskonale, że zrobił na nas jak najlepsze wrażenie. Sądzę, że był w pańskim wieku, panie Ianucci, miał pięćdziesiąt trzy, cztery lata, ale był znacznie wyższy i bardzo dystyngowany.

- I co potem nastąpiło? - Ianucci nie wydawał się być speszony ostatnią, nieco dwuznaczną uwagą duchownego.

- Ojciec Dominie przedstawił mnie mecenasowi O'Hara, z którym tak wiele razy rozmawiałem przez telefon, ale osobiście jeszcze nie miałem przyjemności spotkać, po czym mecenas O'Hara przedstawił nam obu mecenasa Rogersa, który był tym spotkaniem zdecydowanie uradowany. A potem adwokaci poinformowali nas, że powinniśmy przeczytać podpisane już przez nabywcę dokumenty, jeśli mamy jakieś pytania, to powinniśmy je zadać, a jeśli stwierdzimy, że wszystko w porządku, zgodnie z naszymi porozumieniami i ustaleniami mamy dokumenty podpisać. I potem otrzymamy pieniądze.

- A więc milion dolarów? - padło pytanie Ianucciego.

- O ile pamiętam, tak. Milion dolarów. To ogromna suma, o wiele większa niż te, z jakimi miałem do czynienia jako asystent ojca Dominica. Nigdy do tej

pory nie widziałem czeku na taką sumę i jak pamiętam, to był właśnie milion dolarów.

- I podpisaliście dokumenty? - pytał Ianucci.

- Przeczytaliśmy dokumenty - odpowiedział ojciec

Delator-re. - Najpierw ojciec Dominie, potem ja.

Czytaliśmy powoh> uważnie i wydawało nam się, że wszystko jest tak, jak zostało

uzgodnione. Tak to w każdym razie rozumieliśmy. Zadaliśmy kilka pytań w drobnych, wręcz trywialnych sprawach, a mecenasi O'Hara i Rogers odpowiadali i wyjaśniali.

A potem mecenas O'Hara zwrócił się do mecenasa Rogersa i powiedział: „Oczywiście masz przy sobie czek, Gil? Pokaż, sprawdzimy, czy został prawidłowo wystawiony i zgodnie z porozumieniem”. Mecenas Rogers wyjął z kieszeni zwykłą, białą kopertę, nie zaadresowaną, tylko z wydrukowanym u góry jego nazwiskiem i adresem, otworzył i wyjął z niej czek, pokazał nam i wręczył mecenasowi O'Hara, ten go sprawdził i przekazał czek nam, i myśmy sprawdzili, czy zgadza się suma. Było tam napisane nabywca James Mandeville junior za pośrednictwem swojego adwokata Rogersa wpłaca odnośną sumę mecenasowi Henry O'Hara, jako reprezentantowi naszego konwentu. Czek opiewał na milion dolarów. Na taką właśnie sumę. A potem, tak jak nas pouczono, ojciec Dominie podpisał dokumenty, a ja byłem tego świadkiem, mecenas Rogers złożył podpis na odwrotnej stronie czeku i wręczył czek mecenasowi O'Hara. I to było wszystko. Formalności zostały dopełnione.

- Czy ojciec nie przypomina sobie przypadkiem, czy w trakcie tego wszystkiego nie prowadzono jakiejś rozmowy? - zapytał Ianucci.

- Oczywiście. Dla adwokatów nie było w tym wszystkim nic nadzwyczajnego. Jeszcze jedna formalność, jakich wiele -brzmiała odpowiedź. - Dla nas

natomiast, dla ojca Dominica ' dla mnie to było ogromne wydarzenie, do jakiego nie byliśmy Przyzwyczajeni. Byliśmy obaj podekscytowani, szczęśliwi, zadowoleni. Również z uwagi na nasz konwent. Wielkoduszny dar Jacoba Stritcha, mądrze zainwestowany, przynosić będzie na-Szemu zakonowi dalsze korzyści. - Ojciec zaśmiał się. - Nie "togłbym dzisiaj zeznać, że wszystko, co mówiliśmy wtedy, było

HIGGINS

take mądre i wyważone, ale oczywiście rozmawialiśmy i śmialiśmy się. Tak, śmiali.

- A czy mecenas O'Hara i mecenas Rogers coś mówili? pro. szę, niech ojciec stara się sobie przypomnieć. Wiem, że minęło wiele lat, ale czy ksiądz nie zapamiętał, co oni mówili, kiedy czek został przekazany?

Delatorre skinął głową.

- Tak, pamiętam - powiedział. - Całkiem dokładnie i jestem pewny, że ojciec Dominie, gdyby tu był, też by to potwierdził. Ponieważ powiedziano coś, czegośmy nie oczekiwali, jeśli mnie pan rozumie. Przyjechaliśmy na Manhattan, do biura O'Hary w przeświadczeniu, że sprawa została zakończona, zamknięta i że pozostało do wykonania kilka czynności papierkowych, jak to nazywali adwokaci. A wtedy, kiedy pan Rogers pokazał czek, mecenas O'Hara powiedział: „No wreszcie, Gil, widzę to na własne oczy. Do tego momentu nie byłem pewny, że sprawę doprowadzimy do końca. Teraz dopiero wierzę. Po tym wszystkim, co twój klient wyrabiał, po tych jego «może tak», «może jednak nie», «nie wiem jeszcze», «muszę to przemyśleć». Trwało to tak długo, że już traciłem cierpliwość". Nie mieliśmy pojęcia, o czym mówił.

- A co na to powiedział mecenas Rogers? - zainteresował się lanucci.

- My obaj, ojciec Dominie i ja, zachowaliśmy milczenie. Nie rozumieliśmy, o czym była mowa i co to może oznaczać dla nas i dla konwentu, dla całej sprawy, którą żeśmy z takim trudem załatwili.

Byliśmy jednak zaniepokojeni i zaintrygowani. Bardziej  
jednak zaniepokojeni. Dopiero teraz dowiedzieliśmy  
się, że były jakieś wątpliwości, o których nic nie  
słyszeliśmy. A mecenas



gogers zaśmiał się, poklepał mecenasa O'Hara przyjaźnie po ramieniu i powiedział, by ten się nie martwił, gdyż małomiasteczkowi kapitaliści są zawsze ostrożni. To ich sposób na życie i na robienie interesów. Z namysłem, powoli, ostrożnie, po długich rozważaniach.

Szczególnie, jeśli chodzi o coś lub kogoś, czego lub czego nie znają, o coś, czego do tej pory nie robili, lub robili, ale z kimś, kogo znają. Rozmawiają z tobą, a portki im się trzęsą. Muszą więc przerwać, wrócić do domu, przebrać się i tak w kółko. Stale lecą się przebierać i boją się podjąć decyzję.

Jim Mandeville to właśnie taki facet. Spotyka się go w barze na drinku i wszystko w porządku. Wielki człowiek małego miasteczka. Kiedy jednak ma złożyć podpis na czeku, na którym widnieje jeszcze nazwisko kogoś, kogo on nie zna, staje się podniecony, nerwowy. Nie jest w stanie podjąć decyzji.

- Ty Marco Piantidosi znasz od zawsze. Według ciebie taki Mandeville winien dziękować Bogu, że ty znasz kogoś takiego jak Marco, który może go pociągnąć i wykupić. Oczywiście dla Jima to wcale nie takie proste. I w tym właśnie rzecz, Henry, problem w tym, by uspokoić Jima. Po prostu uspokoić. Mówiłem ci przecież: „Nie zawracaj sobie tym głowy i pozostaw to mnie”. I tak też zrobiłeś, a ja zrobiłem swoje. I już po wszystkim.

- Czy mecenas O'Hara coś powiedział? - interesował się Ia-nucci.

Delatorre potrząsnął głową.

- Nie, mecenas O'Hara był jakiś taki zamyślony, potem popaczył na ojca Dominica i na mnie, zakaszał i powiedział, że upłyło wiele wody w rzekach od czasu, jak poznali się <sup>1</sup> z mecenasem Rogersem, a to ich kolejna wspólna sprawa i czas już ją zamknąć. I tak też zrobiliśmy. Mecenas O'Hara zabrał <sup>nas</sup> do banku, gdzie pojechał również i mecenas Rogers, i tam

O'Hara zdeponował czek na swój rachunek, a nam wystawił no. wy czek na ojca Dominica i ten czek nam oddał. Czek na milion dolarów dla konwentu.

- Czy mecenas O'Hara, i mecenas Rogers otrzymali z tego miliona swoje honorarium? - chciał się upewnić Ianucci.

- Nie otrzymali - potwierdził ojciec Delatorre. - Jak mówił mi ojciec Dominie, mecenas O'Hara wysyłał naszemu konwentowi raz na rok rachunek za swoje usługi opiekujący zawsze na taką samą sumę, na tysiąc dolarów. I tak jest do dnia dzisiejszego. Sądzę, że mecenas O'Hara pracę dla nas traktuje jako przysługę dla Kościoła i nie chce z tego czerpać żadnych korzyści.

- A teraz proszę mi powiedzieć, ojcze, czy podczas wielu lat współpracy z mecenasem O'Hara, licząc od tamtego dnia, kiedy to konwent otrzymał milion dolarów, zdarzyło się, że za pośrednictwem mecenasa lub kogokolwiek innego wszedł ksiądz w pośredni lub bezpośredni kontakt z Marco Piantidosim?

Delatorre potrząsnął przecząco głową.

- Tylko tam i tylko raz usłyszałem to nazwisko - odpowiedział. - Przed moim wyjazdem do Manili, co nastąpiło wkrótce po naszej bytności na Manhattanie, zaproponowałem ojcu Dominicowi, by poprosił mecenas O'Hare o adres tego pana, gdyż wyglądało na to, że dysponuje on ogromnymi środkami i może można by się było zwrócić do niego o pomoc w załatwianiu różnych spraw konwentu. Powiedziałem to tak sobie, pół żartem, pół serio. Ojciec Dominie nie znalazł w tym

jednak m<sup>c</sup> dowcipnego i coś tam mruknął pod nosem, a ja wkrótce potem wyjechałem na Filipiny i to na całe lata. Już nigdy nie rozmawiałem z ojcem Dominikiem, który wkrótce zmarł. Nigdy t<sup>eZ</sup> nie słyszałem od nikogo nazwiska tamtego człowieka.

BANKIER

333

- A P° powrocie i po przejęciu stanowiska ojca Dominica, kiedy ksiądz przeglądał dokumenty, nigdy ksiądz nie natrafił na coś, co by świadczyło, że ktoś z waszego konwentu miał do czynienia z człowiekiem nazwiskiem Piantidosi?

Delatorre ponownie potrząsnął głową.

\_ Nie - głos jego brzmiał pewnie. - Muszę przyznać, że nie szukałem tego nazwiska w dokumentach, ale też nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek na nie natrafił i bym miał w ręku cokolwiek, co mogłoby świadczyć, że ojciec Dominie lub ktokolwiek inny był z nim w jakimś kontakcie. Nic takiego sobie nie przypominam.

lanucci usiadł i już siedząc powiedział:

- Ksiądz swoimi szczerymi wypowiedziami okazał nam ogromną pomoc. Serdecznie dziękuję, i jestem przekonany, że do podziękowań tych dołączają również członkowie ławy przysięgłych. Panie Corey, przepraszam, że zabrałem tak wiele czasu. Czy pan ma jakieś pytania do świadka?

„Miałem jedno - powiedział do Jill wieczorem. -

Oczywiście miałbym więcej, ale wszystkie one dotyczyły szczególnego problemu, a mianowicie tego, jak mogłem przez sześć lat praktykować prawo, przygotowywać oświadczenia, pomagać Edowi i innym naszym partnerom i klientom nie mając najmniejszego Pojęcia o tym, jak prawdziwy fachowiec w czymś, co dla mnie wygląda na najzwyczajniejszą skałę, potrafi zręcznymi pytaniami wykryć żyłę złota. Oczywiście te pytania musiały poczekać, udałem więc tylko jedno. To

mianowicie, czy tam, w Nowym Yorku podpisywał  
jakieś dokumenty, czy też nic nie podpisywał.  
Delatorre ponownie się nachmurzył.

- Czy podpisywałem papiery? - powtórzył pytanie - Tak, by. łem w biurze mecenasa O'Hara w momencie podpisywania. Po. wiedziałem już o tym panu Ianucci.

- Bardzo przepraszam - usprawiedliwiałem się. - Nie wyrazi-łem się jasno. Chciałbym jednak wprowadzić nieco porządku. Wydawało mi się, że w jakimś momencie ksiądz mówił o tym, że podpisywał dokumenty, a potem, a być może przedtem, że to ojciec Dominie podpisywał. Rozumiem więc, że to nie ksiądz składał podpis.

Na twarzy Delatorre pojawił się ponownie uśmiech.

- Zaczynam chyba rozumieć - powiedział. - Nie wyjąłem pióra z kieszeni i nie złożyłem podpisu. W imieniu konwentu zrobił to ojciec Dominie. Ja tam byłem, gdyż ojciec Dominie długo był nieobecny w pracy i prosił mnie, bym pojechał razem z nim. Mogły się wyłonić jakieś problemy. A jeśli chodzi o złożenie podpisu, to był to jego podpis. Ja byłem jedynie świadkiem.

I na tym zakończyliśmy, dziękując księdzu - opowiadał wieczorem Corey. - Przysięgli nie mieli pytań, gdyż i tak nie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi. A jak się wkrótce potem okazało, wykryłem w tych zeznaniach drobną niekonsekwencję. Kiedyśmy bowiem otrzymali od ojca Dawesa kopie dokumentów, na żadnym z nich nie figurował podpis Delatorre".

Kiedy w obradach ławy przysięgłych zarządzono dziesięcio-minutową przerwę i kiedy przysięgli pobiegli do toalety lub na papierosa Ianucci powiedział mi:

- Dobra robota, chłopcze. Tak byłem zajęty pytaniami, że te" drobiazg uszedł mojej uwagi. Mała, niezauważalna mina, która za kilka miesięcy może wybuchnąć pod naszymi nogami.

- Tak, to racja. Nie mam pojęcia, jak byś sobie beze mnie p° radził - skomentował to skromnie Corey.



## XVII

Kiedy wiadomość o sądowym wezwaniu nakazującym Jackowi Davisowi udostępnienie prokuraturze jego akt finansowych przedostała się do wiadomości publicznej, Jack zachcwał się tak, jakby nawet nie domyślał się powodów, dla których prokurator okręgowy mógł się interesować jego finansami. Beth Warren z ukazującego się w Pittsfield dziennika „Courier” odwiedziła motel Shrophire Inn, by uzyskać komentarz zainteresowanego. Weszła do recepcji i wezwała właściciela małym, przyciskany dzwonkiem stojącym na kontuarze, na dźwięk którego Davis ukazał się z kuchni. Wycierał ręce w ścierkę, wyglądał na speszonego i zaskoczzonego, chociaż powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Beth musiała powtórzyć, że wie o sądowym wezwaniu, zgodnie z którym ma on w ciągu dnia jutrzejszego przedstawić prokuratorowi kopie wszystkich dokumentów finansowych swoich prywatnych, jego żony i motelu, a powiedziawszy to zapytała, czy mógłby tę decyzję skomentować.

- Próbuje mnie pani zrobić. - oburzył się zapytany - Skąd Pani o tym wie?

Beth odpowiedziała, że w momencie, w którym lista wystawianych wezwań sądowych przekazana zostaje urzędnikowi sądowemu, staje się dokumentem jawnym. ~ Nie wiem, co powiedzieć. To mnie doprowadza do furii.

Na to Beth zapytała, czy jego zdaniem może być jakiś związek Pomiedzy wezwaniem sądowym, a zabójstwem Jamesa Mande-^He'a w 1967 roku, na co z kolei Davis zareagował nerwowo:

HIGGINS

- Zabójstwo? Jakie znowu zabójstwo. To było samobójstwo moja pani. Jim się zastrzelił. Biedny stary Jim. Wszyscy o tym wiedzą. Nikt nie wie, dlaczego, ale wszyscy wiedzą, że to samobójstwo. Nie ma mowy o żadnym zabójstwie. A teraz proszę łaskawie sobie pójść. Beth zapytała go, czy nie słyszał lub nie czytał, że prokurator Burton Magoun wznowił śledztwo, i to jako sprawę dotyczącą morderstwa, ale nie otrzymała odpowiedzi. Gdy powtórzyła pytanie, Jack właśnie schylał się, by podnieść ścierkę, którą upuścił, i przez chwilę nie widziała jego twarzy zasłoniętej kontuarem. Gdy się wyprostował, była bez wyrazu. Położył dłonie na blacie kontuaru i powiedział:

- Prosiłem panią grzecznie o opuszczenie mojej posiadłości. Teraz oświadczam, że ma się pani wynosić. Będę dzwonił do mojego adwokata i nie życzę sobie pani obecności przy tej rozmowie. Ani teraz, ani nigdy w przyszłości. A więc proszę się stąd zabierać. Innym, którzy w tej samej sprawie dzwoniли do niego, Davis odpowiadał niezmiennie:

- Ani Winifred, ani ja nie mamy w tej sprawie nic do powiedzenia. Jeśli są jakieś pytania, proszę dzwonić do naszego adwokata, mecenasa Roberta Gatesa.

Numer w książce telefonicznej.

Natomiast Gates w odpowiedzi odczytywał tekst przepisany na maszynie przez jego sekretarkę:

„Jack i Winifred Davis nie znają żadnych faktów, które uzasadniałyby prowadzenie przeciwko nim

dochodzenia kryminalnego na tym terenie lub  
gdziekolwiek indziej. Jako właściciel i administratorzy  
motelu Shropshire Inn placówkę tę prowadź<sup>3</sup> od ćwierć  
wieku. Są znani miejscowej społeczności i szanować

jako uczciwi ludzie biznesu, oddani naszemu miastu i jego problemom. Jako ich adwokat poradziłem im, by nie komentowali złośliwych i oszczerczych plotek i insynuacji będących rezultatem godnych pożałowania i nieodpowiedzialnych poczynań prokuratora okręgowego czy kogoś, kto działa w jego imieniu.

Ostrzegamy, że rozważamy możliwość wstąpienia na drogę sądową przeciwko wszystkim, którzy rozsiewając niewybredne oszczerstwa spowodują szkody moralne i materialne".

- O Boże - udawała przerażoną Michelle, która w kuchni przygotowywała sałatę, podczas gdy Jill pilnowała piekących się kurczaków. - Wygląda na to, że dwaj nasi psotni chłopcy dotknęli obnażony nerw.

- Czy naprawdę mogą ich zaskarżyć do sądu? - martwiła się Jill.

- Całkiem możliwe - powiedziała Michelle. - Choć nikt jeszcze nigdy nie zaskarżył Baldo. Pamiętam, kiedy prowadził swoją pierwszą ważną i wielką sprawę, adwokat groził takimi samymi konsekwencjami.

Zapytałam Baldo, czy groźba może być realna, a ten powiedział: „Oczywiście, mogą mnie oskarżyć o złośliwe oszczerstwo. By jednak wygrać i zgarnąć nieco forsy, musieliby udowodnić, że nie miałem racji prowadząc przeciwko facetowi sprawę. A tymczasem zaczynając śledztwo musiałem jnż co najmniej być przekonany, że na coś wpadnę. I tak jest zawsze w tych sprawach. Jeśli się jest fachowcem, to nie robi się szurnu w sprawach, które niczego nie rokują". A Baldo jest w tym biznesie

już od wielu lat i można go uznać za prawdziwego eksperta, a więc nie widzę powodów, byś musiała się martwić o swoje oszczędności i srebrną zastawę.  
~ Joe był absolutnie wniebowzięty tym, co Baldo zaprezentował dziś rano na posiedzeniu ławy przysięgłych - powiedziała

Jill. - Mówił, że sposób, w jaki wypytywał księdza, był majster, sztykiem.

Michelle zaśmiała się.

- Baldo żyje pracą i zawsze musi mieć coś do roboty - powiedziała. - Kiedyśmy się poznali w Hartford, zaczęłam go obserwować. Prowadził tam śledztwo w sprawie złego montażu samolotów, ale okazało się, że to nie sabotaż, lecz niekompetencja robotników, i to nie w naszym zakładzie. Kiedy się zorientowano, że chodzimy ze sobą, nie mogłam się opędnąć. Jedni sądzili, że wiem coś na jego temat i chcieli się tego dowiedzieć, inni uważali, że oni coś na jego temat wiedzą, i mnie chcieli przestrzec, zanim Baldo zdąży zrujnować moje życie. Obserwując go doszłam do przekonania, że jest w ogóle sześcioro Baldo. Trzech poznałam na początku. Spokojnego i pragmatycznego, który przyszedł do mojego biura, ale zaraz potem awanturował się i obrażał. Potem miłego, starszego pana, który mnie zaprosił na kolację i bardzo szybko namówił na pójście z nim do łóżka. Wreszcie tego wyglądającego na całkiem niewinnego chłopca, który w żaden sposób nie potrafi zrozumieć, co robisz, i trzeba mu to pięćdziesiąt razy tłumaczyć, aż on zaczyna na ciebie najeżdżać, że rozumie doskonale, tylko nie był pewien, czy ty rozumiesz. Jest jednak i inny Baldo. Jeden z nich to ojciec spowiednik. Wie, że zgrzeszyłaś, choć się nie przyznajesz i nic o twoim grzechu nie jest ci wiadome. Wreszcie jest Baldo podstępny, a to taki, który ogłasza, że zarabia pieniądze.

Parsknęła śmiechem.

- Muszę ci to wytłumaczyć - powiedziała. - Kiedy Baldo mówi, że idzie robić pieniądze, to wcale nie ma na myśli czegoś, c<sup>o</sup> mogłabyś wydawać czy opłacać tym podatki.

„Robić pieniądze<sup>6</sup> to zwrot, oznaczający postępy w wykonywanej pracy. W rzeczy-wistości forszą mało się interesuje. Żyjemy wprawdzie dość wy'

BANKIER

344

godnie, ale robić prawdziwych pieniędzy to on nie umie. Natomiast całkowicie przejęty jest tym, co robi... W tym momencie do kuchni wszedł Baldo, a tuż za nim Co-rey.

\_ Zdradzasz tajemnice rodzinne, kochanie - zwrócił się do żony klepiąc ją jednocześnie po pośladku. -

Proponuję wszystkim małego drinka dla uczczenia tak owocnego dnia. Tym bardziej, że jedyną inną nagrodą, jaką otrzymamy, jest to,

o czym przed chwilą byłaś łaskawa mówić, a więc kolejną, ogromną porcję pracy i nadzieję, że z tej pracy coś wyniknie.

- Mecenase Gates jest na was wściekły - powiedziała Michelle nalewając do szklanek wina. - Twierdzi, że wy i Burt postępujecie nikczemnie wobec tych miłych państwa, którzy doją turystów zatrzymujących się w ich motelu.

- Co ty mówisz - zdumiał się Baldo biorąc szklankę ze stołu. - Co za bezczelny facet.

- Czy rzeczywiście może coś zrobić? - zapytała Jill. - Straszy „drogą sądową”.

- Akcja pozorowana - uspokajał ją Baldo. - Mógłby wkroczyć na taką drogę, ale tego nie zrobi. Ja na jego miejscu po prostu wyłączyłbym telefon. Zakładam, że on doskonale wie, co tego klient zrobił i dla kogo. Od lat łączą go różne interesy ze starym Gilbertem, a Gilbert musiał go wtajemniczyć w to

1 owo.



~ Ale to chyba nie jest dobrze, że się ich zaalarmowało - powiedziała Jill. - Po tylu latach całkowitego milczenia wokół sprawy musieli być przekonani, że nie ma się już o co martwić. ^ tu nagle zjawiacie się wy dwaj i zaczynacie podnosić krzyk, ^czy to nie daje im czasu na zatarcie śladów?

- Po pierwsze, na to już za późno - powiedział Baldo. - Gdy. by to było w dzień po odnalezieniu zwłok twojego dziadka można by się było martwić, że coś tam jeszcze leży pozostawio. ne, coś, o czym zapomniano, bo się spieszo, denerwowano. Teraz, po dwudziestu latach, wszystko, co mogło pozostać, i tak już znikło.

Oznacza to, że jeśli coś tam jeszcze pozostało, to albo coś,

0 czym oni zapomnieli, o czym nie pomyśleli, albo coś, czego usunąć nie byli w stanie, gdyż nie mieli nad tym żadnej kontroli. I o to właśnie idzie. Coś, nad czym nie ma się kontroli. Szczątki dinozaurów nie dadzą nam tylu informacji o dinozaurach, ile dałyby nam dwa czy trzy żywe okazy dinozaurów, ale

1 tak z tych szczątków możemy wiele wydedukować, tym bardziej że o wiele łatwiej o szczątki niż o żywego dinozaura. My zresztą jesteśmy w lepszej sytuacji. Nie musimy odtwarzać dinozaura, a musimy jedynie udowodnić, że dinozaury istniały.

Przeszli z kuchni do pokoju. Baldo kontynuował swój wywód:

- Kiedy wzięliśmy się za tę naszą zabawę skautowską, zamieszkujące ten las zwierzaki, które zamordowały kogoś, by go okraść, natychmiast zwietrzyły, że w lesie pokazały się dwa niedźwiedzie, które węszą z myślą o rewanżu. A więc Bob Gates i Jack Davis i te cienie kryjące się za ich plecami zaczęły się zastanawiać nad tym, co się dzieje. Założę się, że kilka rczy ze sobą rozmawiali i te wielkie łotry kryjące się za plecami miej-

scowych łotrzyków, spokojne i pewne swego bezpieczeństwa, i te drobne łotrzyki, nieco zaniepokojone, usiłujące się dowiedzieć, czy i co wiemy. A więc dzisiaj wykonaliśmy jedynie kolejny krok. Daliśmy i<sup>11</sup> tym miejscowym plotkom i tym dalekim szczupakom, do zrozumienia, że jednak coś wiemy, w każdym razie więcej, niż wiedział Al Feldt. Wiedzą też, że Burt zajmuje się sprawą z o wiel<sup>e</sup>

większym zaangażowaniem niż facet, który tu był prokuratorem przed dwudziestu laty, i na pewno z większym, niż by tego chcieli. A więc zaczęli się poważnie pocić, zwłaszcza Jack i Bob. Nikt do tej pory nie łączył Jacka z tą sprawą. Zrobiliśmy to my i jemu nie daje spokoju myśl, że musieliśmy na coś wpaść. Nie wie, na co, chociaż i my sami też nie wiemy, o czym oczywiście znowu on nie wie. Minęło wiele lat i sam Jack też nie pamięta dokładnie, co właściwie zrobił, w każdym razie nie pamięta szczegółów. A Bob, który dowiedział się o tym dopiero w jakieś trzy czy cztery lata po wydarzeniu, jest jeszcze bardziej zagubiony. Nie wie, czy Jack nie popełnił jakiegoś błędu. A może nie poinformował Boba o wszystkim? Może kiedy zajmował miejsce Gila, nie przekazano mu wszystkiego, może o czymś zapomniano, coś przeoczono? Minęło tyle lat i czegoś można było nie zauważyć.

Zaśmiał się.

- Najlepsze byłoby, gdyby faceci wpadli w panikę. By budzili się w nocy spoceni, siadali na łóżku i szeptali do siebie: „Mój Boże, przecież to ja ten czek podpisałem”, lub „Podpisałem te przeklęte dokumenty. Jak znajdą, leżę”. Jak się wystraszą, zrobią coś głupiego, co pozwoli ich nakryć.

Westchnął.

- Nie łudźmy się jednak. To nie jest zbyt prawdopodobne. Jeśli ich rzeczywiście nakryjemy, to tylko w wyniku usilnej pracy, a nie dlatego, że się

wystraszyli. A jednak ich przyskrzynimy. Czuje to, wierzcie.

Podniósł szklankę i patrzył pod światło przez 'bladozłocisty' runek.

- Kocham tę pracę. Uwielbiam straszyć takie typy. Czuje się ^Wszystkie mile podniecony. Już marzę o chwili, w której nasz

przyjaciół Davis będzie zmuszony do opowiedzenia swojej wersji wydarzeń przed ławą przysięgłych tam, w gmachu sądu.

Corey z łatwością dostosował się do rytmu życia nad jeziorem, do jesiennych dni i wieczorów. Około szóstej trzydzieści rano światło wpadające przez wychodzące na wschód okno do sypialni zamienionej na gabinet rozpraszało mrok również w prawdziwej sypialni. Wstawał, starając się nie zbudzić śpiącej jeszcze Jill, brał prysznic, naciągał szlafrok i zbiegał do kuchni, by zaparzyć kawę. W pierwszej połowie września było jeszcze wystarczająco wielu lokatorów, by chłopcu opłacało się roznosić rano gazety. Każdego ranka jakaś para, Corey nie wiedział, gdzie mieszkająca, jeździła wzdłuż brzegu jeziora na rosnących dereszach. W trzecim tygodniu września przejażdżki te jednak ustały. Zaczął się martwy sezon, a sezon jesiennie-zimowy czynił się dopiero za miesiąc. Chłopak przestał roznosić gaz a Corey był rano uzależniony od dziennika w telewizji, co ogromnie denerwowało, gdyż informacja telewizyjna wydawał mu się zawsze powierzchowna i urywkowa. Ptaki, które budziły go do tej pory rano, również ucichły i jedynie czasami od strz jeziora dolatywał tęskny krzyk nura. Poza tym panowała absolutna cisza. Jill zastała go pewnego poranka z kubkiem kawy w ręce, trzonego tępo w okno, ignorującego całkowicie telewizyjne wiadomości. Powiedziała, że się starzeje, co potraktował ją dowcip. Wziął ją za rękę, posadził w fotelu obok i powiedział:

- Mylisz się, kochanie, kontempluję. Znajduję się jak gdy w stanie snu na jawie.

- Zapadasz się w jakiś dziwny stan, a ja razem z tobą. Pływasz w głębokiej wodzie, ale nie robisz żadnych postępów. Brniemy w tym, co nazwałeś snem na jawie, w jakiejś bezsensownej r<sup>ę</sup>koszy.

BANKIER

352

Wcale nie brniemy w rozkoszy, jak to określiłaś - oburzył się. - Widzisz te pudła z dokumentami. Jest ich dwanaście. Jedno z dokumentami konwentu, cztery z dokumentacją Jacka Da-visa, jego żony i ich motelu, a pozostałe zawierają papiery Jima Mandeville'a i banku. Zapewniam cię, choć czynię to z żalem, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych materiałów to bezużyteczny szmelc. Rachunki, jakie Jack płacił za produkty kuchenne, za odszczurza-nie robione czterokrotnie, i takie tam sprawy do niczego nam nieprzydatne. Jakies rachunki za czyszczenie zatkanej kanalizacji, co też miernie nas interesuje. Baldo jednak twierdzi, a ja solennie w to wierzę, że pozostały jeden procent to jest dokładnie to, czego szukamy. I dlatego trzeba to przejrzeć do końca, bo nikt nie wie, w której ze skrzyń ukrywa się ten właściwy jeden procent. Zabiera to mnóstwo czasu, ale nic nie poradzimy.

- Nie to miałam na myśli, Joe - powiedziała. Przeszła do kuchni, naląła sobie kawy, upiła i wróciła do pokoju - Wiem, że jeśli się już do tego zabrałeś, to trzeba to zrobić dobrze i cieszę się, że ty z tej pracy jesteś zadowolony. Mam na myśli to, że my jakbyśmy się w tym wszystkim zagubili, jakbyśmy poszli za daleko i jest to dla nas tak samo niedobre, jak ta karuzela i pogoń, jakimi było nasze życie w Nowym Jorku.

Pomyśl, jak ja żyję. Wtorek i czwartek - zajęcia ze studenta-mi- Poniedziałek przed południem - praca w domu. Środa Pzed południem - praca na uczelni, a po południu konferencje nauczycielskie. Piątek - cały dzień



praca w domu. Weekendy? ^Pię dłużej, jakiś stary film w telewizji, jakaś książka i zakupy, ^li zdołam się zmobilizować, w niedzielę gotuję obiad dla na-szej czwórki, a w dni powszednie gotuje Michelle. A gdzie gotuję? w jej kuchni. Ja gotuję, a ona po mnie sprząta.

Mieszkamy tu od miesiąca, a ciągle jeszcze jeździmy pożyczonym samochodem. A co zrobiliśmy, by kupić własny samochód? Pan Hertz doskonale na nas zarabia i będzie szczęśliwy jeśli będziemy jego samochód trzymali jak najdłużej. A ile razy dzwoniła już pani Murtagh w sprawie sprzedaży domu. A my? Nawet nie pojechaliśmy, by jakikolwiek dom obejrzeć.

Nic nie zrobiliśmy. Cofamy się. Jesteśmy w jakimś nastroju lenistwa, w jaki popadają moi studenci na wiosnę. Jesteśmy po maturze, a więc chodźmy na piwo, a potem na plażę, a potem, jak się zrobi chłodno, do domu. Mama i papa z przyjemnością nas zobaczą.

Już czas, drogi mężu, by się jakoś uruchomić. By zerwać z tą bezczynnością. Na to jesteśmy już za starzy, a ja zaczynam się czuć nieswojo. - Na chwilę zamilkła i dokończyła. - A poza tym jestem już zmęczona takim życiem.

HIGGINS

## XVIII

Minęło dziesięć dni. Pracując rano przy biurku Corey usłyszał, że w sąsiednim pokoju Baldo zaczął jakoś dziwnie chrzą-kać. Corey właśnie rozpoczął przeglądanie dokumentów z banku Mandeville'a, zebranych w trzech kartonach.

Po chwili Baldo przestał chrząkać. Corey usłyszał jak mówi:

- Hej, Joe, jak sądzisz, czy w tych aktach Davisa nie ma jakichś wyraźnych braków?

Corey wstał od biurka i przeciągnął się. Podeszedł do drzwi i stanął na progu rozdzielającym oba pokoje.

- Oczywiście może tam czegoś brakować, ale trudno powiedzieć czego. Przeglądamy to archiwum bardzo uważnie.

Baldo nachmurzył się i spojrzał sponad okularów.

- Tak, bardzo uważnie - przyznał. - Mieszkam w tym stanie już dość długo i odnoszę wrażenie, że tu czegoś brakuje. Jak daleko jesteś z dokumentami Mandeville'a? Kończysz lata sześćdziesiąte?

- Kończę? - zdumiał się Corey. - Wielki Boże, dopiero co otworzyłem karton. Jestem w połowie marca sześćdziesiątego roku. Jeszcze nic mnie tu nie olśniło.

~ Rozumiem - mruknął Baldo. - Zwracaj uwagę na wszystkie Cze<sup>ki</sup>, jakimi opłacano ubezpieczenie wozu, reperacje, podatek drogowy i podobne wydatki.

Corey zastanowił się i powiedział:

~ Jak na razie nic takiego sobie nie przypominam. Mogę s<sup>Prawdzić</sup> na liście. - Podeszedł do biurka, wziął listę i wrócił do I ^zwi. Stał i przeglądał dwie zapisane strony.

- Być może jest

taki jeden czek. Szesnastego stycznia, dwieście dziewięć kawał, ków płatnych na Radę Miasta Shropshire. Na odwrocie adnotacja: „Opłata podatku za samochód osobowy”.

- Może to za jakiegoś jeepa lub mały furgon dostawczy, ale założę się, że nie za zwykły samochód osobowy. Jak będziesz przeglądał, uważaj na takie wydatki. Wszelkie wydatki na samochody. Jestem pewny, że gdzieś tak od maja czy czerwca tego roku takich wydatków już nie będzie.

- Nie rozumiem, dlaczego ich nie będzie? - zdumiał się Co-rey.

- Ponieważ nie ma ich odnotowanych w aktach Jacka Davisa - stwierdził Baldo. - Właśnie to mnie uderzyło. Gdybyś sprawdzał moje akta, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, znalazłbyś moc tego rodzaju wydatków. Za odnowienie rejestracji, za przeglądy, za naprawy. Ogromne rachunki za ubezpieczenie, wyższe z roku na rok. Założę się jednak, że nic takiego nie będzie w aktach Mandeville'a po miesiącach wiosennych sześćdziesiątego roku.

Baldo pokiwał głową i ponownie chrząknął.

- A jeśli mam rację, to będzie to bardzo interesujące odkrycie. To samo dotyczy Jacka Davisa. Takich rachunków nie płaciła też jego ukochana żona Winifred. Nie płacił też ich motel. - Odłożył akta na biurko - Jack jednak ma samochód. Miał go też zmarły Mandeville. A ponieważ i ja mam samochód i wystawiłem w związku

z tym mnóstwo czeków, co wcale nie budziło mojego entuzjazmu, to dziwi mnie, że Jack, jeżdżąc w tym samym stanie co i ja, nie wystawił żadnego czeku.

- Zastrzeleń mnie - przyznał Corey. - Nie mam pojęcia, < czego ty płacisz, a on nie?

BANKIER

358

- A chyba dlatego, że nie ma wozu. To znaczy auta, jakimi jeździ od lat, nie należą do Jacka Davisa. Ktoś za nie płaci. Jestem prawie pewien, że ten sam ktoś kupił Mandeville'owi ca-dillaca, co skłoniło go do zawarcia transakcji. Przypomnij sobie, co mówił nam ten hiszpański ksiądz. Jak Rogers i O'Ha-ra wygadali się przed nimi, że Mandeville był bardzo podejrzliwy i trzeba było nieco czasu, by go przekonać. A więc cóż zrobił ten Marco, by go przekonać? Czyżby podarował mu samochód? Czyżby to ten właśnie cadillac, jakim jeździł w ostatnim okresie?

-Jezu, nie mam pojęcia. - Corey był rzeczywiście zbity z tropu. - Jim Mandeville nie czuł braku pieniędzy. To był zamożny facet. Mógł sam sobie kupić cadillaca, nawet dwa czy trzy, gdyby mu to miało sprawiać przyjemność.

- Oczywiście mógł - zgodził się Baldo - ale jeśli miał wybór pomiędzy nabyciem a otrzymaniem, wybrał podarek. Bogaci faceci lubią takie drobne podarunki. Czują się ważniejsi i doceniani. Zwyczajni śmiertelnicy kupują wozy i piszczą płacąc. Natomiast firmy bogatych kupują bogatym samochody jako prezenty, a biedni i tak za to zapłacą. Tak właśnie bogaci stają się bogatszymi i takimi już pozostają. Czują się wtedy lepsi od innych.

- Być może masz rację - przyznał Corey. - Nie znałem Man<sup>a</sup>eville'a i nie wiem, czym można go było skusić.

- A wóz Jacka Davisa? - kontynuował Baldo. - Wcale nie cadillac. Nie, Jack był z innej ligi. Niemniej jakiś wcale przyzwoity samochód. Jak to się dzieje, że Jack każdego

miesiąca spłaca raty długów, a nie płaci za samochód?  
Zaciągnął kredyt na sto Czt<sup>er</sup>dzieści trzy tysiące. Od razu  
wpłacił trzydzieści dwa. Reszta rozłożona na trzydzieści  
lat przy oprocentowaniu osiem  
Pól. Miesięczna rata wynosiła trochę ponad tysiąc sto  
dolarów

plus podatek od nieruchomości około siedmiuset dolarów mie. siecznie. Jack spłacał niezwykle regularnie. Był płatnikiem nie. zawodnym. Od momentu kupna motelu spóźnił się jedynie czterokrotnie, zawsze w kwietniu, kiedy dochody są skąpe i kie. dy musiał ściubić na kolejną ratę.

A teraz popatrz na jego zakupy. Nowe piece, nowe lodówki, krycie dachu, dwa kolejne malowania budynku, klimatyzacja w pokojach gościnnych. Potem nowy piec do centralnego, nowe meble, nowe wanny. Wszystkie zakupy poprzez kredyt bankowy spłacany ogromnie regularnie. Wymarzony klient dla każdego banku. Gdyby więc potrzebował nowego samochodu, nie miałby najmniejszego kłopotu z otrzymaniem kredytu. A jednak w aktach ani śladu takiego kredytu. Jak to rozumieć? Zastanów się. Jak Jack to robił?

Czyżby przyjechał tu samochodem i używał go do tej pory? Dwadzieścia siedem śnieżnych zim i solonych jezdni, a wóz nadal chodzi? Jacka spotykałem wcale często, ale nigdy nie zwróciłem uwagi na jego samochód. Gdyby jeździł chevy rocznik pięćdziesiąt osiem, to byłbym zdumiony. On tymczasem jeździł jakimś nowym wozem, jak wszyscy. Jeździł nim cztery, pięć lat i zmieniał. A skąd je brał? Jak płacił? Czyżby stan dawał mu w prezencie rejestrację i tablice? Czyżby taki sam podarunek od władz stanowych dostawał Jim Mandeville?

Dwa dni temu byłem z wami, kiedy zawieraliście umowę z Homerem. Był dla ciebie i Jill bardzo miły, ale nic nie wspominał o tym, że jako nabywcy dwóch



samochodów otrzymujecie w charakterze premii darmowe tablice rejestracyjne. A j<sup>1</sup> wspominał, to szeptem, bo do mnie nic nie doleciało. Parnie' tam, jak ty wypisywałeś czek, a Homer ssał brudny palec z radości. Klient kupował dwa wozy za gotówkę, co dla nie?<sup>0</sup> oznaczało dochód, jaki zwykle robi w cały tydzień. Taki zakup'

BANKIER

362

a rriusiałeś płacić za rejestrację. A Jack Davis nie płacił. Dlaczego?

\_ Dobre pytanie - zgodził się Corey.

\_ I ja tak myślę - zgodził się Baldo. - Oczywiście, to dobre pytanie. To fakt. Muszę je zadać Oldhamowi. Warren jest policjantem. Jeśli on zadzwoni do stanowej rejestracji i poprosi o sprawdzenie opłat za samochody, nikt się nie zdziwi i nie zdenerwuje. A muszę poprosić Warrena, by sprawdził Jacka Davi-sa i Jima Mandeville'a - skąd mieli samochody i do kogo one naprawdę należały.

A to doprowadzi nas do drugiego problemu i zmusi do ponownego skontaktowania się z tą miłą panią z banku i poproszenia ją o dodatkowe dokumenty - ciągnął Baldo. - Zaczyna mnie coraz bardziej interesować postać poprzednika Jacka Da-visa jako posiadacza tego osobliwego motelu.

- Dawsona Nicholosa? - przypomniał sobie Corey. - Faceta, o którym Amelia mówiła, że miał dobrze poukładane w głowie, z tym tylko, że poukładało mu się to za wcześnie.

- Właśnie tego - przytaknął Baldo. - Ten zamach na milionera... skończyło się na butelce rumu, gdy jego plany się zawaliły. Czy widziałeś na Broadwayu „The Music Man”?

- W kinie - odpowiedział Corey. - Raczej w telewizji. Oglądanie starych filmów to skrywana rozpusta, jakiej się oddaje JiU. Toleruję to, gdyż ona dla równowagi toleruje moją słabość, <sup>to</sup> jest oglądanie meczów

koszykówki. A ten „The Music Man” z Robertem Prestonem, to film o facecie, który nie miał pojęcia<sup>0</sup> muzyce, a założył i prowadził orkiestrę. Chyba o tym mówisz?

~ Właśnie o tym. Czy nie dostrzegasz podobieństwa w tym, co<sup>w</sup> miasteczku River City zrobił Preston, a tu, u nas, Nichols?

Z tym tylko, że tamten założył orkiestrę, a ten motel. Zasady były jednak takie same, choć efekty różne.

- O Nicholsie wiemy tylko to, co nam powiedziała Amelia. A nie było tego wiele. Facet pojawił się nie wiadomo skąd. Gdzieś z nieokreślonego Południa. Wiemy o nim wyłącznie to, co sam opowiedział. A ponieważ sam niewiele opowiadał, wiemy niewiele. Podobno skończył szkołę hotelarską i pracował w Sheratonie. Wiemy, że miał wiele osobistego czaru, w każdym razie dość, by oczarować to miasteczko. Interesuję się facetem, gdyż patrząc z tego fotela na to, co działo się tu przed ponad dwudziestoma pięcioma laty, odnosi się wrażenie, że coś łączy Dawsona Nicholisa z tym głupim doktorem Lowdenem, a ich obu z Jackiem Davisem. Wszyscy trzej pojawili się tutaj w latach pięćdziesiątych. Nie twierdzę, że działali w zмовie, ale uważam, że przybyli z tych samych powodów. Chcieli zarobić na nie przeczuwających niczego mieszkańcach, nie zdających sobie sprawy ze skarbów, jakimi są otaczające ich wzgórza i jeziora.

- Miejscowi uznali doktora Lowdena za lichego lekarza. Nie poznali się jednak na Nicholsie, choć jego motel splajtował, a on sam musiał zniknąć. O ile się orientujemy, nadal nikt nie wie, skąd ten facet przyjechał, dokąd wyjechał, a co najważniejsze - nikt się chyba nie domyśla, że na tym bankructwie motelu musiał, moim zdaniem, zrobić dużą forszę.

- To wątpliwe. - Corey miał odmienne zdanie. - Głównym powodem, dla którego Mandeville z taką radością

powitał pojawienie się Jacka Davisa, było to, że Nichols nie spłacał rat zaciągniętego kredytu.

- To prawda - przyznał Baldo. - Nie wiemy jednak, gdyż n<sup>le</sup> wie tego Amelia, a my nie pytaliśmy nikogo innego, dlaczeg<sup>0</sup> on tych rat nie spłacał i ilu nie spłacił. Nawet największy tup<sup>el</sup>



nie jest jeszcze powodem niespłacania kredytu, chyba że kogoś za pijaństwo wyrzucają z pracy. Oczywiście Nicholisa nikt nie mógł wyrzucić z pracy. Był właścicielem i sam siebie zatrudniał.

- W każdym razie Davis już wystawiał czeki na spłatę motelu, a kiedy zacząłem sprawdzać je z aktem własności, wychodzi mi bardzo dziwna transakcja. Policzyłem znaczki opłat skarbowych na akcie własności Nicholisa i wyszło mi, że motel został sprzedany za sto dziesięć tysięcy dolarów. To nie jest niska cena jak na zbankrutowany motel sprzedawany w połowie lat pięćdziesiątych. Jeśli się jednak założy, że budynek był w nie najgorszym stanie, cena nie jest również jakoś nienormalnie wygórowana. A budynek był chyba w porządku. Nie mamy rachunków Davisa, które by świadczyły o jakimś generalnym remoncie. Amelia sądzi, że Nichols wziął wysoki kredyt, ponieważ nie dysponował większą gotówką. Sądzę, że porozumienie z Jimem Mandeville'em obejmowało zapłatę za motel i kredyt na renowację, która była niezbędna. Tak więc, moim zdaniem, Nichols zapłacił z własnego kapitału dwadzieścia pięć tysięcy, a na resztę uzyskał kredyt, dla którego zabezpieczeniem był motel wart, jak szacowano, po przeprowadzeniu remontu sto trzydzieści pięć tysięcy. Gdyby wszystko szło normalnie, zainteresowani powinni byli zarobić. Wysokość miesięcznych spłat kredytu ustalono na dziewięćset czterdzieści pięć dolarów, co było do wytrzymania, zakładając, że motel przynosi dochód.

Rzecz w tym, że nie wszystko szło normalnie. Nasz przyjaciel Nichols nie dotrzymał słowa. Remont i renowacja, na które wziął kredyt, albo nie zostały wykonane, albo tandetnie, co powodowało, że trzeba było prace wykonywać ponownie. Niemniej Davis zapłacił naszemu tajemniczemu przyjacielowi Nicholsowi sto siedemdziesiąt pięć tysięcy, a to oznacza, że Ni

HIGGINS

chols zarobił na tej transakcji czterdzieści tysięcy na czysto. Na-leżałoby więc zapytać, dlaczego Davis tyle zapłacił?

- Już całkiem się w tym zgubiłem - przyznał się Corey.

- Obaj się zgubiliśmy - stwierdził Baldo - i o to im właśnie chodziło. I wtedy, i teraz po latach. Mandeville też się w tym zgubił. Zastosowano technikę zakładów w Las Vegas. Namawiają cię, byś postawił na numer, oczywiście swoją forszę. Kiedy numer nie wychodzi, ty tracisz pieniądze. Oni nigdy swoich pieniędzy nie stawiają, a więc nigdy nie mogą przegrać.

W latach pięćdziesiątych pojawiła się tu w stanie grupa wysłanników mafii. Kupili w Hancock starą farmę i obwieścili, że powstanie tu tor wyścigowy. Wszyscy byli podnieceni, szczęśliwi i przekonani, że ruszy turystyka i biznes. Ceny ziemi podskoczyły wielokrotnie. Wszyscy mieli nadzieję, że staną się bogaczami.

I nikt nie zrobił majątku. Ci faceci nie mieli pojęcia o wyścigach konnych, a znali się jedynie na wyłudzeniu pieniędzy. Powstał straszliwy burdel. Tamci zrobili mnóstwo forsy i zniknęli, a miejscowi pozostali oszukani i z długami.

- Dawson Nichols był pierwszym wysłannikiem.

Przypuszczalnie został przez jakąś rodzinę mafijną zwerbowany, albo może, kiedy zaczął bankrutować, sam się do nich zgłosił, co zawsze jest idiotyzmem.

Zresztą to nie ma znaczenia. Tak czy inaczej kupili go i zmusili do posłuszeństwa. Być może, kiedy się okazał



nieudany, wycofali go, a na jego miejsce przysłali Jacka Davisa.

- Jeśli tak, to skąd ten dochód? Te czterdzieści tysięcy dolarów? Jeśli Nichols był ich człowiekiem i Davis również, to P° co dawać temu pierwszemu zarobić czterdzieści kawałków<sup>1</sup> nie potrafił zrozumieć Corey.

BANKIER

370

\_ Trafne pytanie - przyznał Baldo. -1 aby znaleźć odpowiedź, potrzebne są nam jeszcze kolejne dokumenty z banku. Na razie wygląda na to, że rzeczywiście wziął tę forszę, ale czy pozwolili mu ją zatrzymać? Zwłaszcza że to pewnie oni pożyczili mu na samym początku dwadzieścia pięć tysięcy. Potrzebne nam będą też od twojego przyjaciela Rogersa informacje o Dawsonie i Jacku.

- Doskonale, zaraz się do niego zwrócę w tej sprawie - zgodził się Corey.

- Nie tak szybko - pohamował go Baldo. - Popełniłem pewien błąd przepytując tych księży. Żaden z nich nie był tu, na miejscu, kiedy podjęto decyzję o sprzedaży posiadłości. Nie mieli do niej żadnego stosunku uczuciowego. Mieszkali w Chicago, spojrzeli w księgi i zdecydowali: „Potrzebujemy pieniędzy, a tu mamy mamy posiadłość nad brzegiem jeziora wartą co najmniej milion”. I sprzedali ją. Jednak ci, co byli tu, na miejscu, musieli na to patrzeć inaczej. Musieli być wściekli lub mieć żal. Jeśli żyją, pamiętają to. Powinienem był zapytać naszych księży, kto w imieniu konwentu prowadził tu dom nad jeziorem i gdzie się teraz znajduje? A jeśli umarł, to kto go zastępował? Wiesz, kto będzie wiedział coś więcej? Kto w ogóle wie najlepiej, co tu się dzieje? Pamiętasz tego faceta, co ścinał trawę? On tu od dawna sprząta, a w zimie usuwa śnieg. Zawsze wie, gdzie kto mieszka, które budynki są puste, a które zajęte. Zabiera śmiecie i z tego też czerpie wiedzę. Wie, że zamieszkałeś<sup>tu</sup> z żoną, skąd

przyjechałeś, co tam robiłeś i co tu robi twoja żona. A skąd czerpie tę wiedzę? Właśnie ze śmieci. Widział koperty listów nadesłanych do ciebie z Nowego Jorku. I koperty listów wyrzucanych przez twoją żonę. Być może nie czyta gazet, ale zawsze wyrzucone koperty. Już wie o was dużo, a czego jeszcze nie wie, to się dowie.

.HIGGINS

- A więc jutro, kiedy ty będziesz gaworzył z Amelią o naszym przyjacielu Dawsonie Nicholsie, ja poszukam pana robotnika i spróbuję coś z niego wyciągnąć. Jest w takim wieku, że mógł już tu w tamtych latach pracować. A jeśli pracował, to może **to** i owo pamiętać. Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

## XIX

\_ Jaki był? - Amelia Feldt zastanawiała się przez chwilę.

-Dawson Nichols wydawał się być taki sam, jak wszyscy inni w tym mieście i zachowywał się jak wszyscy. Był rotarianinem,

o czym chyba mówiłam panu, i spotykał się w związku z tym

1 wieloma ludźmi. Potem się chyba okazało, że jest masonem, i to również powodowało, że się z kimś spotykał. Nie chodził regularnie do kościoła. Wydaje mi się, że opowiadał, że wychowano go jako prezbiterianina, ale niewiele z tego wychowania pozostało. Pokazywał się w różnych kościołach, w Pierwszej Parafii kongregacjonalistów, u baptystów, bywał u Św. Franciszka i w episkopalnym kościele Św. Marka. Szczególnie w pierwszych latach z wszystkimi był dobrze. I wszyscy go lubili.

- Miał jakieś hobby?

- Chyba nic szczególnego. - Pokiwała głową do własnych wspomnień. - Al nie grywał w golfa i w ogóle w nic nie grywał. Twierdził, że praca nie pozostawia mu czasu na hobby. Właściwie miał tylko jedno hobby - książki na temat wojny secesyjnej. Przysięgam, że kupował wszystko, co się na ten temat ukazało, ale nie mogę powiedzieć, by wszystko czytał. To było zaplanowane na emeryturę. Lato, to u nas sezon turystyczny, a więc latem Al nigdy nie wyjeżdżał. Zawsze opowiadał, że w pierwsze wakacje na emeryturze pojedziemy zwiedzać pola bitewne, w" zimie taka wyprawa byłaby bez sensu - uśmiechnęła się. -Pan zapewne wie, jak to

jest z wami, mężczyznami. Robicie plan na emeryturę,  
a jak przychodzi, to zapracowujecie się na śmierć.

~ Al jednak nie był taki, jak jego rówieśnicy, jak Jim  
Mander <sup>VI</sup>le, który oczywiście polował, łowił, nieco  
grywał w golfa.

- A Dawson? - zapytał Corey.

- No cóż - powiedziała. - Chadzał z Jimem. Widzi pan, więc. Kszość znajomych Jima nie dysponowała czasem tak jak on. Musieli pilnować biznesu, pracować. Jim lubił więc takich, co mieli czas dla niego. Oczywiście niekiedy wszyscy spotykali się na przyjęciach lub w sezonie łowieckim chodzili na polowania. Wtedy Gil Rogers na cały dzień zamykał biuro. Bruce Tappett zapowiadał ekspedientom, że wraca po południu i jeśli ktoś przyjdzie z receptą to albo musi poczekać, albo pojechać do innej apteki. Dawson, kiedy był tutaj, stawiał dla gości napis, że kawa w termosach, a bułeczki w koszu. I całą gromadą - sześciu, siedmiu, ośmiu - szli na jelenie.

- A więc Dawson umiał strzelać? - pytał Corey.

- Dawson w tamtych latach był najbliższy Jimowi - mówiła powoli zapewne przywołując w pamięci obrazy z tamtych lat. - Był jak adoptowany syn. Dawson, przyszedł na komisariat do Ala, by zapytać o przepisy dotyczące broni. Powiedział Alowi, że w Nowym Jorku miał pozwolenie na noszenie rewolweru. Chyba właśnie rewolweru, nie wiem dokładnie, o co to chodziło. O jakąś broń osobistą. Było to w pięćdziesiątym pierwszym czy drugim, a on był młodym człowiekiem, lat dwadzieścia pięć, sześć, przystojnym i eleganckim. Starał się być przyjacielski. A Jim nie miał syna, by go wychowywać i kształtować na swoje podobieństwo. Rozumie pan?

Zresztą wszystko jedno - kontynuowała. - Nie pamiętam, czy mieliśmy już przepisy dotyczące broni, te, które obowiązują obecnie. Za noszenie broni bez pozwolenia, rok aresztu-W każdym razie dogadali się wtedy z Alem, spodobał się Alowi-Tak jak Jimowi. Widzi pan - mówiła dalej - Al był pedantem na punkcie broni, w szczególności rewolwerów. Uważał, że można mieć jedy<sup>T</sup>



BANKIER

377

nie broń myśliwską. Ażeby nabyć taką broń, trzeba było mieć licencję łowiecką, a tę otrzymuje się dopiero po zdaniu egzaminu z umiejętności obchodzenia się z bronią. Al uważał, że jak ktoś bierze broń do ręki, to musi dobrze wiedzieć, czym to może grozić.

Sprawa pistoletów i rewolwerów zawsze go dręczyła. Uważał, że ten typ broni powinni nosić jedynie policjanci, strażnicy bankowi i ludzie podobnych zawodów. Tylko tacy, którzy mają uzasadniony powód, by mieć przy sobie broń. Nawet jednak takim Al nie wydał pozwolenia, jeśli nie był przekonany, że potrafią się z bronią obchodzić. Dawson jako powód podał to, że w podręcznej kasie w motelu trzyma pieniądze i motel oczywiście otwarty jest przez całą noc. Al uznał to za wystarczającą argumentację. Wziął więc Dawsona na strzelnicę, gdzie ćwiczyli policjanci, by zobaczyć, jak obchodzi się z rewolwerem. Opowiadał mi potem: „Może nie jest rewolwerowcem z Dzikiego Zachodu, ale z niego doskonały strzelec”. I oczywiście Al wydał mu pozwolenie.

- A co mogłaby pani powiedzieć o jego życiu towarzyskim? - chciał się dowiedzieć Corey. - Coś pani wie na ten temat? Kogo spotykał spoza tego męskiego grona?

Zmarszczyła czoło.

- Ogromnie się pan interesuje tym Dawsonem - stwierdziła. - Czy sądzicie, że ma coś wspólnego ze śmiercią Jima?

- Nie wiem - odpowiedział. - A czy Al sądził, że coś miał? Robiła wrażenie zaskoczonej.

- Nawet jeśli, to nie przypominam sobie, by kiedykolwiek <sup>o</sup> tym wspominał - odpowiedziała. - Kiedy Jim zmarł... został <sup>z</sup>bity, Dawsona już od dawna nie było w Shropshire. Nawet <sup>nikt</sup> go nie wspominał. Był kimś, kto się tu pojawił, mieszkał

167835◆2

przez kilka lat, był nawet popularny, potem mu się interes załamał, miał problemy z alkoholem i wyjechał. Bardzo szarmancki. Początkowo ludzie mu współczuli, ale nikt się jego historią nie przejął. Doskonale się zapowiadał, a pomysł z prowadzeniem motelu był doskonały, i miastu na tym zależało. Jego porażka była rozczarowaniem dla miasta. No cóż, uznano, że facet nie miał szczęścia i nie umiał prowadzić interesu. To wszystko.

Zamilkła na chwilę i ponownie przywoływała obrazy sprzed lat.

- Nie ma wątpliwości, że Dawson bardzo szybko zdobył w mieście wielu przyjaciół. W małym miasteczku ludzie wolą cię obejrzeć, zanim nabiorą do ciebie przekonania. W wypadku Dawsona było jednak inaczej. Jego się lubiło od pierwszego wejrzenia. Im dłużej tu mieszkał, tym więcej miał przyjaciół. Nie znam nikogo, kto by się z nim spotkał i go nie polubił. Jednak kiedy wyjechał, niemal natychmiast o nim zapomniano. Tak samo szybko, jak się z nim zaprzyjaźniono. Lubiano jego towarzystwo, ale jak znikł, też nikt nie tęsknił. A potem pojawił się Jack. Był starszy, spokojniejszy. I z nim się zaprzyjaźniono. Może nie tak szybko - zawahała się. - Jim zawsze twierdził, że motel jest dla miasta ogromnie ważny. Zniknie motel, nie będzie miasta. Dlatego właśnie dawał kredyt. Z myślą o mieście. Jim Mandeville kochał to miasto. Dawson był obcy. Wyjechał, to wyjechał, i to wszystko.

- A więc może rzeczywiście nie miał prawdziwych przyjaciół, a jedynie znajomych - zastanawiał się głośno Corey.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- I mnie się tak wydaje - powiedziała.

- Czy to jest odpowiedź na moje pytanie o jego życie towarzyskie?

BANKIER

381

ponownie pokiwała głową.

\_ Być może - powiedziała. - Oczywiście stale były jakieś plotki, że ta czy inna dziewczyna lub jej matka widzą w nim dobrego kandydata na męża. On jednak nigdy za żadną z nich się nie oglądał. Nie umawiał się na randki, nie zapraszał dziewczyn na obiady, nic z tych rzeczy - zaśmiała się. - Jedyna, przy której zmieniał się na twarzy, to Mimi Mandeville.

- Naprawdę? To staje się ogromnie interesujące - Corey był rzeczywiście zaciekawiony.

- O mój Boże - zrobiła wystraszoną minę. - Nic takiego nie miałam na myśli. Nie sugerowałam, że coś między nimi zaszło. O ile wiem, spotykali się jedynie na jakichś przyjęciach czy przy podobnych okazjach. Czasami Jim i Mimi wpadali do motelu na kolację, zwłaszcza jeśli spędzali dzień poza domem. Bardzo wątpię, by kiedykolwiek Dawson i Mimi mieli okazję do tego, by być jedynie we dwoje.

Podobała mu się. Mimi była niezwykle atrakcyjną dziewczyną. Znakomita figura. Piękne rysy twarzy. Bardzo pewna siebie. To robią pieniądze. Z mężczyznami i z kobietami. Panie z Shropshire, które chcą być modne i eleganckie, jeżdżą do fryzjera do Pittsfield. Pozostałe, takie myszki jak ja, chodzą tu do Bess Henderson na czesanie i na trwałą. Mimi oczywiście robiła to całkiem inaczej. W zimie i w lecie regularnie raz na miesiąc jeździła do Nowego Jorku. Do fryzjera i na zakupy. Wyjeżdżała we wtorek, a Jim odwoził ją na stację, i wracała w sobotę. Uczesana na

królową, z masą paczek. Przywoziła kapelusze, buty, futra - Amelia zachichotała. - Zapewne bieliznę, choć nigdy jej<sup>01</sup>« nie pytałam.

~ Co pani mówi? - zdumiał się. - Każdego miesiąca? Tylko ^o fryzjera i na zakupy? A gdzie się w Nowym Jorku zatrzymywała?

- Joe, drogi chłopcze - zaśmiała się dobrotliwie - jesteś 0 wiele bardziej wścibski niż przy naszej poprzedniej rozmowie. Czyżby to wpływ tego Ianucci, który do mnie tu kiedyś dzwonił? Zaczynasz wsadzać w nos, gdzie być może nie należy.

- No cóż - westchnął. - Teraz wiem o tym wszystkim o wiele więcej, jak też wiem, czego nie wiem, a chciałbym wiedzieć

1 mam nadzieję, że pani mi może bardzo pomóc.

Znowu uśmiechnęła się.

- Gdybym była o kilkanaście lat młodsza, zaczęłabym się zastanawiać, czy ten miły młody człowiek, który ze mną rozmawia, zaczyna myśleć o czymś, o czym jego żona wolałaby nie słyszeć. - Zrobiła minę, jakby była przestraszona i zgorszona. - Doskonale pamiętam, że zawsze, kiedy wokół jakiejś dziewczyny krążyły plotki, że ktoś tam ją dopadł, dostał, czego chciał i odskoczył, wszyscy krytykowali chłopca, a Al uważał z reguły, że to jej wina, nie jego. Mówił tak: „Każda dziewczyna, która dochodzi do pełnoletności, wie doskonale, co nastąpi, kiedy się przy chłopcu rozbiera lub pozwala, by ją rozbierano. Wie, i chce, by to nastąpiło. Szczególnie, kiedy już ma męża. Trudno więc, bym okazywał jej więcej współczucia niż jemu". I być może Al miał świętą rację.

Corey uśmiechnął się.

- Czy przypadkiem nie wie pani, w jakim hotelu zatrzymywała się Mimi w czasie tych swoich comiesięcznych podróży do Nowego Jorku? - zapytał.

Amelia odchrząknęła.

- Nie zatrzymywała się w hotelu. Miała tam przyjaciółkę-Harriet. Była bardzo skryta, ale znając zwyczaje Jima i jej włości myśliwskie po lasach uważała, że ktoś musi znać jej adres, by w razie czego móc ją zawiadomić. Dała więc Alowi ad



res i telefon tej przyjaciółki. Oczywiście nie pamiętam ani jednego, ani drugiego. Nie pamiętam nawet jej nazwiska. Tylko imię Harriet. Mimi opowiadała, że były koleżankami w szkole i mieszkały razem w internacie. Była to jej najlepsza przyjaciółka. Pamiętam tylko, że to był jakiś bardzo dobry adres. Mimi opowiadała, że Harriet ma mnóstwo forsy. Pochodziła z zamożnej rodziny. Nic więcej nie mówiła. I o sobie też nie. Nie wiem, czy jej rodzina była zamożna. Nie byli chyba ubodzy, ale nie tak bogaci jak rodzina tej przyjaciółki. Jednak nic więcej nie wiem. Naprawdę - wyglądała na rzeczywiście zmartwioną.

- Warren Oldham - powiedział Corey jakby sam do siebie, chrząknął i mówił już do niej: - Wiem, że kochała pani swego męża, Amelio.

- Był całym moim światem.

- Nie chciałbym pani czymkolwiek urazić, ale muszę o coś zapytać lub coś pani powiedzieć. Warren Oldham powiedział mi, że nigdy nie powinien był zgodzić się na to, by pani mąż przesłuchiwał Mimi.

- Czy Warren powiedział, dlaczego tak myśli?

- Przypuszczam, że doszedł do przekonania, że Al i Jim, pani i Mimi byliście zbyt zaprzyjaźnieni, zbyt sobie bliscy, by AJ potrafił utrzymać wobec całej sprawy niezbędny dystans. Miał zapewne sam poczucie winy. Potwierdziła skinieniem głowy.

- I ja mówiłam o tym Alowi - powiedziała. - Widziałam to<sup>0</sup> wiele wyraźniej niż Warren i doskonale wiem, jak bardzo Al tył tym przygnębiony, przygnieciony. I nie

mam wątpliwości, że to kształtowało jego spojrzenie na sprawę. Nie powinien był te-8° śledztwa brać na siebie, a zrobił to. Kiedyś na ten temat żarłam mówić, ale nie chciał słuchać. To był jego przyjaciel,

jego miasto, jego odpowiedzialność. - Na chwilę zamilkła i dokończyła: - Nigdy już do tego tematu nie wracałam.

- Mimi, kiedy wróciła, sprzedała dom i wyjechała już na dobre - mówił Corey. - Wiem, że Gil Rogers jako jej adwokat załatwiał formalności sprzedaży. Nie wie pani, kto był agentem i kto znalazł kupca?

- Sądzę, że Gil - odpowiedziała po chwili namysłu. - Wszystko to nastąpiło tak szybko. Odbył się pogrzeb Jima, a ona zaraz potem wyjechała. Wtedy dopiero dowiedzieliśmy się o sprzedaży domu. Od Ala wiem, że kupcem była ta sama firma, która w jakieś dwa czy trzy lata potem objęła posiadłość Claretian Shores. Wtedy oczywiście nikt o tym nie wiedział. Nie wiemy, czy dostała odpowiednią cenę. Nie sądzę zresztą, by się tym interesowała. Myślała jedynie o tym, by się wszystkiego pozbyć i wyjechać.

- Do Nowego Jorku?

- Przypuszczam, że tak - powiedziała Amelia. - Nie wiem, gdzie i u kogo się tam zainstalowała<sup>^</sup> ale myślę, że w Nowym Jorku.

Zaczął zbierać swoje notatki leżące na stole.

- No cóż, bardzo dziękuję. Pani była bardzo cierpliwa, a kawa znakomita.

Nachmurzyła się, ale oczy miała uśmiechnięte.

- Chwileczkę, teraz moja kolej.

- Oczywiście - zaśmiał się. - Proszę pytać.

- Przepraszam za ciekawość starej kobiety, ale chciałabym wiedzieć, czy macie już jakiś obraz sytuacji i

czy domyślacie się, kto zabił Jima? Może to głupie, ale w jakimś sensie czuję się spadkobierczyną czy wykonawcą tego, co tak bardzo chciał

BANKIER

389

osiągnąć mój mąż, a czego nie osiągnął, gdyż przeszkodziła mu w tym śmierć. To morderstwo zabiło i jego. Patrzyłam na to. Zmarł przed czasem, a sprawa Jima Mandeville'a była jednym z powodów.

Corey przez chwilę zastanawiał się.

- Mamy pewne domysły na temat tego, jacy ludzie mogli myśleć o zabójstwie. Pewne domysły, jak to planowano. Chyba wiemy, co było motywem. Jeśli chodzi o to, kto pociągnął za cyngiel, to nic więcej, jak pewne podejrzenia.

- A czy mogę zapytać, z kim jeszcze na te tematy rozmawiacie? - zapytała. - Z kim rozmawiacie, by zawęzić krąg podejrzeń? O tym myślę.

Zaśmiał się.

- Głównie rozmawiamy sami ze sobą. Siedzimy w dwóch sąsiednich pokojach, wertujemy papiery i wykrzykujemy do siebie. Właśnie tak się przekrzykując doszliśmy do wniosku, że ja powinienem raz jeszcze pomówić z panią, a Baldo z takim facetem, który sprząta teren kolonii Shores.

Parsknęła śmiechem.

- Z tym ogrodnikiem. Nazywają go czasami Kleryk.

- Pani go zna?

- Nie. Widziałam go kilka razy na ulicy. Znam go z widzenia ' z opowiadań Ala. Al go znał, i to dobrze. Zapomniałam na-wet, jak się nazywa. Pan może się tego dowiedzieć. Przyjechał<sup>tu</sup> jakieś trzydzieści lat temu. Prosto z Chicago. Przybył, by °Piekować się terenami posiadłości konwentu.

~ A skąd znał go Al?

- No cóż - wzruszyła ramionami. - Kleryk był więźniem.

^ stanie Illinois. Nie znam szczegółów, ale w skrócie wyglądało

to tak, że mógł wyjść przed czasem, jeśli ktoś za niego poręczy. W innym wypadku musiałby odsiedzieć do końca, a to zdaje się było jeszcze sporo. Ktoś tam poprosił ojców o tę porękę, ci się zgodzili, i facet wyszedł - ale musiał wyjechać z Illinois. Zatrudnili go więc w swojej posiadłości właśnie tutaj.

Pokiwała głową do własnych wspomnień.

- Al był wściekły. W takich wypadkach zwolnieni otrzymują nadzór kuratorów, ale tu u nas najbliższy kurator mieszka w Springfield, kawał drogi stąd. Kuratorzy rzadko się tu pokazują, a więc cała praca spada na policję. Al, jako szef lokalnej policji, był za niego odpowiedzialny i kuratorzy dzwonili do niego co tydzień, a może co dwa tygodnie, by się dowiedzieć, jak się facet zachowuje. Oznaczało to dodatkowe obciążenie dla Ala. Musiał co najmniej raz w tygodniu sprawdzać, czy facet pracuje i jak się prowadzi. Czy nie pije, czy nie rozrabia, czy nie łązi tam, gdzie nie należy. Musiał z nim co najmniej raz w miesiącu porozmawiać, by napisać potem raport do Springfield. -nie znosił tego. Od momentu, kiedy się ten Kleryk tu poka aż do samej śmierci Al miał z nim do czynienia. Zwykł był I wiać: „Tak jakbyśmy nie mieli naszych własnych kłopotów, i szą nam jeszcze dokładać z zewnątrz”.

- A czy pani wie, za co tego Kleryka wsadzili? Tam w Illir - pytał.

- Dokładnie nie wiem - usprawiedliwiała się. - Słyszałam, na ten temat opowiadano. Jakieś przestępstwo seksualne. Al nigdy nie zdradzał

szczegółów takich paskudnych spraw. Oczywiście musiało to być coś poważnego, gwałt czy coś takiego<sup>0</sup>-  
Może molestowanie nieletnich. Na mnie robił po prostu wrażenie głupka. Takiego zbzikowanego głupka, który nocami zakrada się na podwórze, by ukraść coś z damskiej bielizny susząc się na sznurze - zaśmiała się. -  
Oczywiście posadzili go za coś<sup>0</sup>



BANKIER

393

wiele poważniejszego. Mówię tylko o tym, jak wygląda. Na mnie robi wrażenie szczura piźmowego, albo mokrej łąsicy, czy czegoś podobnego.

- Czy po przyjeździe tutaj były z nim jeszcze jakieś kłopoty? -dopytywał Corey.

- O ile wiem, nie. - Zastanowiła się. - Być może jest już za stary. A może zbyt zmęczony.

Corey zastanawiał się przez moment i zapytał:

- Kto poza pani mężem musiał się Klerykiem interesować? Myślę, o policji?

- To mógł być jedynie Paul Barry - odpowiedziała po namyśle. - Był tu sierżantem i wszyscy wiedzieli, że będzie kolejnym szefem. Al go bardzo cenił i wielokrotnie próbował załatwić mu awans na porucznika, ale upierano się przy tym, że musi złożyć przedtem egzamin pracownika Służby Cywilnej. Zapewne bano się, by inni, o mniejszych kwalifikacjach i gorsi policjanci nie wystąpili ze skargą, że awansuje się faceta, który nie zdał egzaminu.

- A Paul nie potrafił zdać. Nie był w stanie. Już z największą trudnością poradził sobie z egzaminem na sierżanta i zawsze opowiadał, że wyłącznie przez przypadek, gdyż był wtedy jedynym zdającym. Paul był inteligentny, bystry i cholernie pracowity- Al zawsze uważał go za wzorowego policjanta. Za najlepszego w naszym komisariacie. Gdyby poszedł na studia, byłby doskonałym prawnikiem. Nie mógł jednak iść na studia<sup>1</sup> tych samych powodów, z jakich nie mógł zdać egzaminu na Porucznika. Gdy stawał przed komisją

egzaminacyjną, dosłow<sup>-nie</sup> głupiał. Opowiadał, że siedzi bezmyślnie, patrzy i niczego <sup>n<sup>le</sup></sup> rozumie. Całkowita pustka w głowie. Bob Gates zdawał bez <sup>"^</sup>mniejszych trudności. Zdawał, a był nędznym policjantem.

- Rozmawiałem z Bobem Gatesem i czytałem jego raporty. Wydawał mi się niegłupim facetem. Barry go nie lubił? - Corey był wyraźnie zdziwiony opiniami Amelii.

Popatrzyła na niego z wyrazem politowania na twarzy.

- Jesteś, drogi chłopcze, prawnikiem - powiedziała. - Oczywiście, że Bob był dla ciebie bardzo miły.

Zwłaszcza, że jesteś z Nowego Jorku i możesz się jeszcze kiedyś do czegoś przydać. On się tego nauczył od Gila Rogersa. Gil, jak chciał, był gładki jak pupka noworodka. Miał ogromnie wiele znajomości, szczególnie w Nowym Jorku, a głównym powodem tych wszystkich kontaktów było to, że pomagały mu w robieniu pieniędzy. O, Gil był sprytny, szczególnie w robieniu forsy. A Bob był jego protegowanym. I teraz robi interesy tak, jak niegdyś Gil. Wykorzysta każdego, jeśli tylko będzie to możliwe. Zawsze taki był. Paul go nie lubił. I Al też nie. Inni mu nie wierzyli. Być może było w tym coś z zazdrości. Bob nie taił swoich planów. Pracował w policji jedynie dlatego, by utrzymać się w czasie studiów. Innym policjantom to się niezbyt podobało. Pracowali w policji z powołania. Oczywiście nie tylko zazdrość była powodem. Były i inne przyczyny tego, że go nie lubiano.

Bob pochodził z ubogiej rodziny. Jego ojciec był malarzem pokojowym. Nie ma jednak wątpliwości że Bob był ambitnym chłopcem. Zawsze chciał zrobić mnóstwo pieniędzy, i to szybko. No i co udało mu się.

Chłopców denerwowało to, że ich zdaniem Bob naginał prawo do swoich potrzeb. Jeśli zamożny facet wieczorem w weekend zrobił coś, czego robić nie należy, Bob mógł na to popatrzeć pod kątem tego, jakie mógłby w przyszłości odnieść korzyści. W ten sposób zyskiwał wdzięczność i zapewniał sobie pomoc. Przykładem były jego stosunki z Gilem Rogersem-był najważniejszym prawnikiem w mieście. Teraz jego miejsce

zajmuje Bob. O tak, Gil był bardzo zdolnym adwokatem, a co do Boba - nie jestem tego pewna. Gil wykonywał całą pracę dla banku, co najlepiej świadczy, że Jim rzeczywiście go cenił. Reprezentował również sprzedawców samochodów oraz firmę Barlow Company, która prowadzi tu sprzedaż hurtową. Pracował również dla związków zawodowych.

Pamiętam, jak chłopcy z komisariatu mówili, że gdyby Bob przyłapał Gila, jak po pijanemu prowadzi wóz z nadmierną szybkością jadąc z jakąś dziewczyną z Mountainview Club, a Gil lubił ładne, młode dziewczyny, to by go Bob ani nie zatrzymał, ani nie zabrałby mu prawa jazdy, ani nawet nie złożył meldunku. W najgorszym wypadku wsadziłby go do swojego wozu i odwiózł do domu, położył do łóżka, i to byłoby wszystko.

No cóż - ciągnęła wspomnienia Amelia - Al nigdy nie był pewny, czy coś takiego nie miało naprawdę miejsca. Coś takiego lub coś bardzo podobnego, z Gilem lub z innym bogatym facetem. A ponieważ nie był pewny i nie miał dowodów, nie miał podstaw do tego, by się pozbyć Boba.

Tak, nie ma wątpliwości, że Paul i inni nie lubili Boba. Al jednak nie mógł go wylać. Pamiętam, jak mówił: „Co to w ogóle znaczy. Jak ktoś ma ambicje i chce skończyć studia, to już nie może być policjantem? Idiotyzm”. Tak mówił, ale i on nie wierzył Bobowi. Tym bardziej że, tak jak Paul przewidział, Bob zdał egzamin pracownika Służby Cywilnej. Tak więc Paul miał swoje powody, by

nie mieć zbyt wysokiego mniemania o Bobie ~ ciągnęła wątek swojej opowieści. - Jediną możliwością awansu Paula było wysunięcie jego kandydatury na szefa komisaria-tu potem, jak Al przejdzie na emeryturę, jako że szefowie Pochodzili z nominacji i egzaminy nie były wymagane. Wszyscy też wiedzieli, że po przejściu Ala na emeryturę Paul będzie konnym szefem. Niestety zmarł. Miał czterdzieści sześć lat. Po

zostawił żonę, trójkę dzieci, nie spłacone kredyty. Pewnego wieczora grał w kosza, nagle upadł i było po wszystkim. Podobno już nie żył, jeszcze zanim dotknął ziemi. Doktor Williams mówił, że to wylew krwi do mózgu. Nic tego nie zapowiadało. Po prostu go ścięło. Pokręciła głową jakby z niedowierzaniem.

- I to też Alowi nie pomogło - powiedziała po chwili milczenia. - Nie przydłużyło mu życia. Nie był tak zgnębiony jak po śmierci Jima. Ostatecznie to była bardziej naturalna śmierć. Al jednak zawsze uważał Paula za swoją prawą rękę.

Patrzyła gdzieś przed siebie, jakby przywoływała dawno zapomniane obrazy.

- Paul do pracy przychodził po cywilnemu. W garniturze lub w kurteczce, w koszuli i w krawacie. Tak samo jak Al. Kiedyś chodził w mundurze policjanta, ale Al powiedział mu: „Jesteś zastępcą szefa komisariatu. Nie oficjalnie, bo nie ma takiego stanowiska, ale ja to tu tak zarządziłem. Jesteś też szefem detektywów, bo mamy tu tylko jednego detektywa, to znaczy ciebie. A więc przychodź do pracy po cywilnemu, to nam wszystkim bardzo ułatwi pracę”.

Stanowili doskonały zespół. Paul miał dyżury przedpołudniowe do przerwy obiadowej, a Al w tym czasie wykonywał pracę papierkową. Potem Al obejmował dyżur do wieczora, a Paul załatwiał, co trzeba, na mieście. Po śmierci Jima, nawet wtedy, kiedy Warren Oldham przyjeżdżała tu niemal każdego dnia, Paul cały czas poświęcał na przesłuchania i rozmowy,

które mogłyby rzucić nieco światła na sprawę. Powracał do poszczególnych tematów po pięć, sześć razy aż, się upewnił, że tu

juz

niczego więcej się nie osiągnie. Wyjątkiem była Mimi. Al urażał, że lepiej będzie, by to on z nią rozmawiał. Znał ją lepiej od innych i wiedział, jak ją to wszystko musi boleć. I chciał jej teg°



BANKIER

401

bólu oszczędzić. Tak więc on wziął to na siebie i... tylko ja wiem, jak przeżywał każdą rozmowę. Już nawet nie pamiętam, ile razy ją przesłuchiwał.

- Cztery lub pięć razy - podpowiedział Corey. -

Pierwszy raz bardzo szczegółowo. Pozostałe rozmowy były krótkie i chodziło w nich raczej o uzupełnienie jakichś faktów.

- No właśnie - przytaknęła Amelia. - Przed pierwszą rozmową Al powiedział mi, że jest zdecydowany być maksymalnie drobiazgowy, chociaż wie, że to będzie dla niej niezwykle ciężkie. „Nie mam zamiaru chodzić do niej po sześć czy siedem razy - powiedział. - Nie będę takim weterynarzem, co dobermanowi obcina po centymetrze ogonek, by mu sprawić jak najmniej bólu”.

- Nie wydaje się, by wiedziała coś, co mogło być pomocne - przerwał jej Corey.

- I Al tak mówił - przytaknęła. - Jim chrapał, a ona przed snem czytała, mieli więc oddzielne pokoje. On miał w swoim pokoju telefon. Mimi miała mocny sen, a więc jeśli nawet ktoś do niego dzwonił, to ona i tak nie wiedziała kto. Kiedy był sezon łowiecki, nikt w domu nie dziwił się, że Jim wychodził przed świtem. Zresztą wychodził bezszelestnie i nikogo w domu nie budził. Jak mówiłam, nigdy nie czytałam tych akt, ale mam wrażenie, że znam je na pamięć. - Uśmiechnęła się jeszcze raz. - Mimi nie słyszała, by Jim miał jakieś problemy finansowe czy w banku. Nic nie wiedziała o jego dziewczynach, i chyba rzeczywiście ich nie miał. Nie był hazardzistą, gdyż trudno nazwać hazardem

dwie czy trzy wyprawy w roku na derby do Saratogi  
czy na Flo-tydę. Oczywiście czasami się napił, ale przez  
trzydzieści lat małżeństwa tylko kilka razy widziała go  
pijanego. Był zdrow jak tyba. Kiedyś przechodził  
badania i gdy był poza miastem, za

dzwonił lekarz z wynikami, powiedział Mimi, że Jim ma wyni jak facet o co najmniej piętnaście lat młodszy. Nie był sfrustrowany czy przygnębiony. Mimi nie pamiętała Jima smutnego. Kochał życie, kochał swoją rodzinę, kochał myśliwskie wyprawy, kochał swoją pracę w banku. W życiu nie spotkałam kogoś bardziej pełnego energii. Nigdy się nie kłócili. W ogóle nigdy. Amelia potarła czoło, jakby chciała sobie coś jeszcze przy<sup>^</sup> mnieć.

- Powiedziała Alowi, że nie potrafi sobie wyobrazić żadnej przyczyny, jakiegoś powodu, dla którego Jim mógłby sobie odebrać życie. A więc jeśli ona sobie nie mogła wyobrazić, to dlaczego, u Boga, on miałby to zrobić? Tuż przed świętami, przed przyjazdem córki z dwoma wnuczkami, których jeszcze nie widział? Nikt tego nie potrafił zrozumieć.

I Al też nie rozumiał. Powiedział kiedyś: „Czasami, jeśli nie można w żaden sposób uwierzyć, że coś się wydarzyło, to może rzeczywiście się to nie wydarzyło”. Oczywiście Jim nie żyje, ale on nie popełnił samobójstwa. I dlatego Mimi nie mogła w to uwierzyć, i wy nie możecie, i Paul nie wierzył, i ja nie wierzę. Jim Mandeville został zamordowany.

## XX

W cztery dni potem siedząc w samochodzie Corey, Jill i Baldo stwierdzili, że Evelyn Murtagh, jako kreację na pierwszą prezentację „wysocę obiecującego” domu, wybrała kostium z brązowego, mieniącego się jedwabiu, który znakomicie harmonizował z jej na rudo ufarbowanymi włosami i doskonale podkreślał smukłą figurę. Stała obok swojego buicka w kolorze miedzianym, zaparkowanego na trawniku przed ośmiopokojo-wym domem w stylu wiktoriańskim w Norwich. Wyglądała tak atrakcyjnie, że wysiadając z jeepa Jill mruknęła cicho:

- Całkiem jak Brunhilda niecierpliwie oczekująca na to, by wygłosić swoją kwestię.

Z twarzy Evelyn z łatwością można było odczytać, że ani nie oczekiwała pojawienia się Baldo, ani jego przybycie nie sprawiło jej szczególnej przyjemności.

- No cóż, Baldo - jej głos wydawał się niezwykle donośny w zimnym powietrzu - Homer Forbes opowiadał mi, że jesteś jak kwoka dla tych dwojga piskląt. Byłeś z nimi u niego, a teraz towarzyszysz im również u mnie. Czy układasz ich też wieczorem do łóżeczka i opowiadasz bajki?

Baldo miał na sobie robocze spodnie i kurtkę z białą podpinką. W lewej ręce niósł latarkę, a w prawej trzymał piłeczkę golfową, którą rzucił w jej kierunku. Evelyn złapała ją w stylu zawodowego sportowca i odrzuciła. Łapiąc piłkę Baldo odpowiedział:

~ Jestem jedynie doradcą w sprawach technicznych, droga Ewie. - Uśmiechnął się złośliwie. - Wiedząc doskonale, co

znajduje się na liście twoich ofert, uznałem, że powinienem w tej wyprawie towarzyszyć.

- Bardzo proszę - starała się być uprzejma, ale widać było, że nie cieszyła jej obecność Baldo. - Czy mogę pokazać dom, czy też mam rozumieć, że go już doskonale znasz i ty pokażesz.

Wzruszył ramionami.

- Bądź tak miła i pokaż - powiedział. - Nigdy tej chałupy nie widziałem. Znam się nieco na budownictwie i dlatego tu jestem.

- A więc bardzo proszę - mówiła już głosem zawodowego przewodnika. - Zwróćcie uwagę na to wspaniałe położenie. - Prawą ręką zatoczyła łuk wskazując na panoramę okolicy, w szczególności na dorodne klony otaczające dom od północnego zachodu i południowego wschodu. - Posiadłość ma trzy i pół akra, w pełni zdrenowana, a trawniki wyjątkowo wspaniałe i na wiosnę pokryte kobiercem prześlicznych kwiatów. Okna od kuchni i sypialni wychodzą na tył domu. Tam z tyłu jest też drewniana weranda, a poprzedni właściciel zamontował nad nią przed dwoma laty nową markizę.

- A w zimie - przerwał jej Baldo - od frontu wieją wam północno-wschodnie wiatry, które przenikając przez te stary mury wyssają wam całe ciepło i nawieją tu imponujących zasp śniegu, za usunięcie których otrzymywać będziecie zaskakujące rachunki.

Murtagh popatrzyła na niego i jakby udając, że nie usłyszała uwagi, kontynuowała podjęty temat:

- Wchodząc zwróćcie uwagę na elegancką werandę.  
Podł na niej położona została przed dwoma laty, a przy  
okazji z biono nową, kamienną podmurówkę.  
Balustradą, jak widzi z bardzo pięknie toczonego  
drzewa...

BANKIER

407

-... które wymaga ustawicznego malowania i piekielnej pracy przy zeskrobywaniu starej farby - dokończył za nią Baldo.

... Dach wyremontowany, osłania frontowe okna przed promieniami słońca - kontynuowała. - Zwróćcie uwagę na drzwi frontowe. Ręczna robota i to śliczne kolorowe szkło w metalowej oprawie.

Murtagh włożyła klucz do zamka, przekręciła i otworzyła drzwi, które skrzypiąc nieprzyjemnie wyraźnie stawiały opór.

- No i piękny przedpokój. Pokryty boazerią, tak jak właściwie całe wnętrze domu i już na pierwszy rzut oka widzicie, że wszystko jest zadbane i w znakomitym stanie. Zadbane i wypielęgnowane.

Baldo rozpiął kurtkę i z wewnętrznej kieszeni wyjął aluminiową poziomnicę. Uklęknął na prawe kolano i przyłożył poziomnicę do progu. Bańka powietrza pływająca w zielonym płynie powędrowała w lewo i zatrzymała się w połowie pomiędzy środkową kreską a ścianką końcową. Baldo zmarszczył się, wstał i przyłożył poziomnicę do prawej, a potem do lewej framugi.

- Wypaczone progi i framuga - mruknął. - Trzeba by remontować.

Wszedł następnie do przedpokoju i zaczął uważnie przyglądać się podłodze. Wyjął potem z kieszeni piłeczkę golfową i położył ją delikatnie pod ścianą. Piłeczka przez chwilę pozostawała nieruchoma, potem zaczęła się powoli toczyć, początkowo wzdłuż ściany,

potem w kierunku ściany przeciwległej, aż stanęła nieruchomo pod żeberkami kaloryfera.

To były dopiero początki. Baldo po obejrzeniu grzejników °rzekł, że cały system ogrzewania domu jest zdezelowany i wymaga całkowitej wymiany. Był zdania, że biały pył zalegający



schody wewnętrzne jest świadectwem obecności mrówek drzewnych.

- Caty budynek wymaga nowej izolacji termicznej - oświadczył. - Teraz jeszcze można tu wytrzymać, ale w styczniu czy w lutym dom nie nadaje się praktycznie do zamieszkania.

Dodał, że konieczna będzie wymiana wszystkich otworów, okien i drzwi, gdyż te są stare i nieszczelne. Niezbędne też będzie zainstalowanie nowej armatury w łazienkach na parterze i na piętrze, jako że obecnie zamontowana jest bardzo niskiej jakości i długo już nie wytrzyma. Oznajmił, że pralce i suszarce daje nie więcej niż pół roku życia. Podobnie ocenił stan zmywarki naczyń w kuchni. W końcu powiedział:

- Jak wyremontujecie łazienki, kuchnię i ubikacje, okaże się niewątpliwie, że obecne szambo ma zbyt małą objętość, a więc czeka was kopanie nowego szamba.

W miarę wysłuchiwania tego rodzaju diagnozy Murtagh stawała się coraz bardziej milcząca, co wcale nie spieszyło Balda. Gdy znaleźli się na strychu, stwierdził, że wytarta i zniszczona instalacja elektryczna wymaga wymiany.

- Już dawno należało to zrobić - mówił. - Włączycie na dole toster i pożar gotowy. W ogóle nie wolno się wprowadzać przed wymianą.

Murtagh była wyraźnie zrezygnowana.

- Nic nie poradzę. Pokazuję to, co w tej chwili mamy. Baldo pokiwał głową jakby z ubolewaniem.

- Jill, Joe - zwrócił się do nich. - Prosiłście mnie o radę. Oto ona: Tego brać nie należy. Niewarte połowy tego, co

żądadają.-Sto sześćdziesiąt pięć tysięcy. Gdyby odpowiednio opuścił" a wy gdybyście się uparli, możecie kupować ten dom maja.<sup>0</sup>

BANKIER

411

świadomość, że jest prymitywny i nadaje się do remontu. A to wymaga cierpliwości i pieniędzy i potrwa co najmniej sześć niiesięcy. W tym czasie, oczywiście, możecie mieszkać u nas. Jeśli chodzi o cenę, to moim zdaniem maksymalna może wynosić osiemdziesiąt dwa tysiące. Ani centa więcej. Słyszałem jednak, że mówiliście zawsze o domu, w którym chcecie zamieszkać od razu, a nie o czymś takim.

- Bardzo mi przykro - Jill zwróciła się do Murtagh. - Rozumiem, że poszuka pani dla nas czegoś innego. Murtagh uśmiechnęła się.

- A jeśli znajdę coś odpowiedniego, to czy znowu przywieziecie tego człowieka ze sobą?

- To zależy, co pani znajdzie - odpowiedział całkiem poważnie Corey. - W tym domu i ja dostrzegłbym to i owo, nieszczelne okna, zniszczone łazienki. Nie zauważyłbym wad konstrukcyjnych instalacji. Baldo ma jednak rację. Tu trzeba włożyć zbyt wiele pracy. Szukamy czegoś porządniejszego.

Skinęła głową na znak, że rozumie.

- Nic się przecież nie stało. Do trzech razy sztuka. A teraz powiedzcie, chłopcy, czy robicie jakieś postępy w waszym śledztwie? Tyle się o tym mówi na mieście.

- Bardzo trudno powiedzieć. - Corey odpowiadał z namysłem, jakby nie chciał ujawnić zbyt wiele, ale również nie chciał zrazić słuchaczki. - Wiemy więcej, niż kiedyśmy zaczynali, ale <sup>l</sup>r<sup>n</sup> dalej w las, tym więcej drzew i tym więcej śladów.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

~ To niełatwe zadanie - śledzenie interesów Jima Mandevilla. Sprawiał wrażenie najmilszego faceta pod słońcem, ale robienie wszelkich interesów z nim to była istna męczarnia.

HIGGINS

- A ty, Ev, prowadziłaś z nim jakieś interesy? - zapytał Baldo.

- Szczęśliwie bardzo niewiele - przyznała. - Pracowałam wtedy w Agencji Hougha. Bill Hough opowiadał, że załatwia wszystko, sprzedaż nieruchomości przemysłowych, rolniczych, mieszkań i domów. Rzeczywiście interes był rozkręcony, ale sam Bill tak naprawdę interesował się niemal wyłącznie nieruchomościami przemysłowymi i obiektami handlowymi. Jeśli klient kupował obiekt przemysłowy, to przy okazji mógł prosić Billa o pomoc w znalezieniu domu. I im większa wartość transakcji, tym bardziej się Bill starał. Zwykłymi klientami niewiele się zajmował. A w ogóle mieszkaniem nie lubił się zajmować. Oczywiście wiedział, że ludzie muszą gdzieś mieszkać, ale u niego transakcja zaczynała się od dwunastu mieszkań w górę.

- No cóż - ciągnęła opowieść. - Tak właśnie pracował Bill i inni wynajmowani przez niego chłopcy, gdyż niemal cały sztab biura stanowili mężczyźni. Kilka pracujących tam dziewczyn zepchniętych było na margines. Oczywiście chłopcy załatwiali największe transakcje i mieli wyniki w sprzedaży bez porównania lepsze od naszych. Bill jednak jakby tego nie rozumiał, gdyż ustawicznie zrzędził: „Cóż z wami, dziewczyny? Nie wiecie, jak sprzedawać nieruchomości? Jeśli nie potraficie, to weźcie się do innej pracy. Ja mam wam tłumaczyć, do jakiej?” Było to bardzo frustrujące i niewiele dziewcząt wytrzymało w Agencji dłużej. Jakimś szczęśliwym trafem udało mi się kiedyś sprzedać

dom. To była doskonała transakcja. Dwieście dwadzieścia pięć tysięcy, to przed trzydziestoma czterema laty była straszna forsa. Kupującą była pewna bogata dama, co mi oczywiście pomogło. Malarka i profesor akademii w Bostonie, która chciała mieszkać daleko od uczelni i studentów. Pragnęła mieć studio malarskie i wystarczająco dużo miejsca na założenie prywatnej galerii. Uczyła jedynie w zimowym semestrze, a resztę czasu spędzała właśnie tutaj.

- Kiedy powiedziałam o tym Houghowi, był tak zdumiony, że zaniemówił, ale nim odzyskał głos, oznajmiłam: „To ja załatwiam transakcję do końca. Klientka już mnie zna i lubi”. Powiedziałam to, gdyż Bill bardzo często robił tak, że jak któraś z nas dobijała transakcji, to on na samą końcówkę podstawiał jednego z chłopców, i znowu leciało to na ich konto. Tym razem postanowiłam, że do tego nie dopuszczę, że sama doprowadzę sprawę do końca. I tak też się stało, czego bardzo szybko pożałowałam. Sprzedającego nie było na miejscu. Mieszkał w Nowym Jorku. Odziedziczył tę nieruchomość po wujku. Jego nawyki również. Wujek był zapalonym hazardzistą, z tym, że wiedział, jak grać i miał szczęście. Siostrzeniec miał dobre chęci, ale ani wiedzy, ani szczęścia. A więc kiedy odziedziczył dom, musiał go sprzedać, by pokryć kilka nieszczęśliwych posunięć. Okazał się jednak człowiekiem niekomunikatywnym. Nie odpowiadał na listy i mam wrażenie, że tych, które otrzymywał, nigdy nie otwierał. Nie odbierał też telefonów i w ogóle nigdy nie można go było złapać. Myślę, że po prostu ukrywał się przed wierzycielami. Bez zgody sprzedającego nie mogłam niczego dokonać, a kupująca zaczynała się już denerwować.

Również i Jim Mandeville zaczął się denerwować, a właśnie on prowadził rachunki Agencji i udzielał kredytów. Odniosłam wrażenie, że Jim znał osobiście tego faceta z Nowego Jorku, ale skąd, nie mam pojęcia. Jim załatwił już kredyt dla mojej klientki w wysokości

osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu tysięcy i pieniądze leżały bezużytecznie, nie przynosząc procentów, gdyż transakcja utknęła. Jim był więc wściekły, a ten sukinsyn Gil Rogers też.

- Gil Rogers? - zdumiał się Baldo i spojrzał przelotnie na Coreya.



HIGGINS

- Oh, Gil wszędzie musiał wsadzać nos - powiedziała to z wyraźną niechęcią. - Gdzie tylko można było zarobić kilka dolarów, tam wszędzie spotykało się Gila.

Naprawdę. To był najbogatszy adwokat w mieście, a zawsze zrobił wszystko, by odsunąć pośrednika i samemu poderwać nieco forsy. A wiecie, kto był pośrednikiem w sprzedaży domu Jima? Overlook Hills? Tam nie było pośrednika. Ci, co dom ten kupili od Mimi, kupili przez Gila. On wziął za pośrednictwo i załatwienie transakcji. Wziął pieniądze dwa razy.

Ohydna zmija. Mam nadzieję, że smaży się w piekle.

- A czy wiesz kto kupił ten dom? Komu on to sprzedał?

- zapytał Corey.

Wzruszyła ramionami.

- Jakaś firma - głos miała nieco niepewny. - Jakaś firma z Nowego Jorku. Ja się tym domem nie zajmowałam i nie mogłam mieć żadnych pretensji. On mi nie poderwał klienta. Wiem jedynie, że tam była jakaś nieczysta gra. On załatwił zmianę kwalifikacji budynku i całego rejonu, tak że budynek uznano za dom letni. Tego bym jednak też nie potrafiła udowodnić.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- No, ale wracam do tematu - mówiła. - Chociaż bardzo nie chciałam, musiałam pójść do Billa, by mu powiedzieć, że nie jestem w stanie dokończyć transakcji. Nie miałam innego wyjścia. Powiedziałam: „Na miłość boską, Bill, nie znasz kogoś, kto mógłby faceta znaleźć i pogadać z nim?” Bill był tym razem całkiem sympatyczny i spokojnie odpowiedział: „Tak, Dawson

może ci pomóc. Dawson i ten facet są przyjaciółmi. To Dawson go do nas skierował".

- Ma pani na myśli Dawsona Nicholasa? - zapytał Corey.

BANKIER

419

- Oczywiście. Był właścicielem motelu. Bill powiedział, by pójść do niego, powiedzieć, w czym rzecz i poprosić, by pomógł. A to wszystko działo się na jakiś rok czy półtora roku przedtem, Dawson sprzedał motel Jackowi. Dawson był już na marginesie, mało kto się nim interesował i mało kto do niego zaglądał. Pojechałam do motelu i naturalnie znalazłam Dawso-na w barze.

Patrzył na mnie zdumiony, że się pojawiłam, a ja opowiedziałam mu, że sprzedawałam ten przeklęty dom, ale nie mogę dobić targu, bo właściciel się nie odzywa. Powiedziałam, że Mandeville jest wściekły i ta, co kupiła, jest wściekła, a ja nie wiem, co robić. - Kazał mi usiąść - i powiedział, bym się nie denerwowała, a sam wykręcił jakiś numer na Manhattanie, o jakim nigdy nie słyszałam, i natychmiast odbył rozmowę z tamtym facetem. Było to pod koniec zimy. Już w marcu. Jak zaczęli rozmawiać, tak rozmawiali z godzinę. Dawson coś zapamiętałe notował. Całkiem zapomniał o mnie.

- A pamiętasz może, o czym mówiono? - chciał wiedzieć Bal-do.

- Tak, ogólnie pamiętam - przyznała. - O zawodach, o rozgrywkach w siatkówkę, o wyścigach konnych i jeszcze o czymś podobnym.

- A więc można powiedzieć, że o grach hazardowych - podsumował Baldo.- Tamten podawał Dawsonowi typy.

- Na to chyba wyglądało - zgodziła się. - Po mniej więcej czterdziestu minutach Dawson nie przestając notować nalał sobie i mnie drinka, a ja wreszcie zaczęłam tracić

cierpliwość i powiedziałam mu: „Przypomnij tamtemu, że tu siedzi jego agent mieszkaniowy i chce z nim mówić”. Dawson jednak powstrzymał mnie gestem dłoni i dalej coś tam notował. Wreszcie Powiedział: „Ralf, tu przede mną siedzi pani, z którą się Przyjaźnię, a wobec której ty nie jesteś w porządku. Ona sprze

HIGGINS

dała twój dom, a ty nie pozwalasz jej zakończyć transakcji. Masz teraz z nią porozmawiać, przeprosić i powiedzieć, że już nigdy czegoś takiego nie zrobisz. Na tym jednak nie koniec. Kiedy odłożysz słuchawkę, zadzwonisz do tego tutejszego adwokata, do Rogersa, Gilberta Rogersa, i powiesz mu, by załatwił wszystko za ciebie. To porządny facet. Ręczę za niego. Przekażesz mu upoważnienie do zakończenia transakcji i sprawę zamkniesz, jeśli nie chcesz, bym ci przysłał jakiegoś faceta, który ci powyrywa nogi z... No wiesz skąd. I tak się też stało - wzruszyła ramionami. Bardzo go nie znosiłam, ale Gil sprawę załatwił już piorunem. Przeszedł, przedłożył upoważnienie do sprzedaży i sprawa była zakończona. Stary Dawson miał swoje słabe strony, ale mi pomógł.

- A pani pomogła nam. Jak tylko pani znajdzie coś odpowiedniego, proszę do nas zadzwonić - zakończył rozmowę Co-rey.

## XXI

Gdy siedząca za kierownicą jeepa Jill zjechała z trawnika i skręciła w ulicę, rozparty na tylnym siedzeniu Baldo zapytał, czy nie mają nic przeciwko, by wracać inną drogą. Gdy odpowiedzieli, że nie, zaczął tłumaczyć:

- Skręć w prawo do autostrady. Po kilku milach dojedziesz do Siedemdziesiątej Pierwszej. Zjedziesz w nią i pojedziesz do Dwudziestej Trzeciej, a następnie skręcisz w lewo. To doprowadzi nas do East Lee i tam zatrzymasz się koło Carla. Skończyły mi się zapasy win i trzeba je nieco odnowić.

- Czy traktujesz Carla tak samo ostro, jak potraktowałeś Evelyn? - zapytała Jill nie odwracając głowy.

- Jeśli Evie zaoferuje wam rabat na sprzedawany dom, będę ją traktował dokładnie tak, jak traktuję tamtego faceta - odpowiedział Baldo. - On daje mi rabat. To znaczy Bill mi go daje. Dwadzieścia jeden procent od ceny sprzedaży. Bill Slinger, który zajął miejsce Carla. Bill Slinger, emerytowany policjant.

- Ten, o którym tak źle mówił Gates? - domyślił się Corey.

- Ten sam - potwierdził Baldo. - Życie mu się od tamtych policyjnych czasów nieco poprawiło. Dlatego przeszedł na emeryturę. Jakies trzydzieści pięć lat temu Carl stwierdził, że już dość się napracował, a ponieważ nie miał rodziny, zaproponował Billowi umowę.

Wprawdzie nie oddał mu całkowicie sklepu, ale na to właściwie wychodziło. Do końca życia Bill miał płacić Carlowi umówiony, i wcale spory procent od dochodów sklepu. Z umowy wynikało jednak, że każdy wypłacony

mu dolar będzie odciągany od ceny kupna firmy, co miało nastąpić po

śmierci Carla. Umowa dobra dla obu stron. Unikano przy tej okazji płacenia ciężkiej forsy adwokatom. Kiedy jednak Carl umarł, okazało się, że nie mówił Billowi całej prawdy. Wstawił do testamentu klauzulę, z której wynikało, że umowa traci ważność, gdyby Bill nie wywiązywał się wobec niego ze swoich zobowiązań. W takim wypadku cały jego majątek miał przejść na własność Kościoła Swedenborskiego, co wszystkim zaskoczyło, gdyż wiedziano, że noga Carla nigdy progu tego kościoła nie przekroczyła. I w ten sposób Bill został wplątany w procesy, z których nie wypłacie się do samej śmierci, jako iż powszechnie wiadomo, że nie ma nic trudniejszego i bardziej uciążliwego, niż procesowanie się z Kościołem, który poczuł nieoczekiwany spadek.

Jill skrzyła w Siedemdziesiątą Pierwszą, a Baldo kontynuował:

- A więc chcecie wiedzieć, czy traktowałem Carla, a teraz czy traktuję Bilia tak samo niemile, jak traktuję naszą przyjaciółkę Evelyn. Moja odpowiedź brzmi: Traktuję Evelyn tak, jak Carl traktował Bilia, a Bilia traktuję tak, jak on traktuje mnie. A więc z uznaniem. A Evelyn, jeśli pozwolicie, będę traktował tak, jak ona traktuje was. Pokazując wam tę rudę chciała się przekonać, czy nie jesteście parą frajerów. Kiedy jednak zobaczyła, że przyjechaliście razem ze mną, pojęła, że nie jesteście. To ją rozwścieczyło, czego nie ukrywała. Wiedziała jednak, o co chodzi i nie robiła awantur,



kiedy wykazałem, w jakim stanie jest ten dom. Była cicho, bo ona o tym doskonale wiedziała.

Jak na nowojorczyków, to moi drodzy, jesteście za miękcy! Postępujcie tak, jakbyście nie znali żelaznej zasady, która brzmi: „Nikt nie chce was rozczarować”. Jeśli ludzie się przekonają, że można was nabrać, to możecie być całkiem pewni, # nie sprawią wam zawodu, i nabiorą was. A więc wszelkie intere

BANKIER

426

sy należy zaczynać od przekonania drugiej strony, że z nabierania nic nie wyjdzie. Taka Ewie teraz już wie, że nie wtryni wam żadnej rupieciarni. Zapamiętacie moje słowa, pokaże wam inny dom, tym razem na odpowiednim poziomie. I wysłuchajcie dobrej rady. Nie kupujcie. Każcie sobie pokazać inne. A gdybym ja był na waszym miejscu, to zadzwoniłbym do innego pośrednika. Dowie się o tym po kilku godzinach i jeszcze bardziej skruszeje. Ona otrzyma lekcję, a wy kupicie taniej.

Sklep o nazwie Carl's Liquors Inc. znajdował się w niewielkim centrum handlowym pomiędzy Dwudziestą Ulicą, a niewielkim strumykiem. Znajdowało się tam kilka mniejszych sklepów i urząd pocztowy. Siedzący za kasą młody człowiek zwracając się do Baldo per „panie Ianucci”, powiedział:

- Pan Slinger poszedł do banku i wróci za jakieś pół godziny - a potem zaprosił ich do niewielkiego, ale przytulnego kantorku.

Slinger pojawił się w dziesięć minut później. Był to wysoki, żyłasty facet w wieku około sześćdziesięciu lat, o opalonej twarzy. Ucieszył się na widok Balda.

- Miło cię widzieć w dobrej kondycji! - zawołał.

- Masz rację, Bill. Kondycja rzeczywiście nie najgorsza. - Baldo przedstawił Coreya jako „swojego współpracownika w tym...”, i Jill, jako jego żonę „ale w przeciwieństwie do męża, przeklętego prawnika, to naukowiec”.

Wymienili uściski rąk, a Slinger powiedział:

- Ostrzegam was, ten facet sobie przypisuje zasługi, za wszystko, co dobre - wskazał na Balda - Gdyby się wam udało nakryć faceta, który zaciukał Mandeville'a, Baldo rozgłosi, że spaliście tamtego dzięki niemu. On tak zawsze.

lole iku. Jwa )ro-

Potem wybierali wina. Baldo wziął trzy kartony z butelkami białego i dwie z butelkami czerwonego. Jill wybrała alkohole do robienia drinków, a Corey dodał do tego butelkę koniaki Slinger, pomimo protestów Balda, usłuchał Jill i wystawił dw oddzielne rachunki odciągając od każdego po dwadzieścia proc cent. To uspokoiło protesty Baldo, który stwierdził natomiast: 1 - Bardzo słusznie, Bill. Bardzo takie postępowanie popieram.

Gdy załatwili wszelkie formalności transakcji, Slinger oparł się o kontuar i patrząc na nich, powiedział cicho: - Zakładam, że robicie postępy i jestem pewny, że przyskrzy-nicie naszego przyjaciela Gatesa. I tak ukrywał się przez całe lata, a wiem, że skurwysyn jest w to zamieszany. Być może, nie od samego początku, ale jest.

Baldo uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami.

- Przedwcześnie byłoby wyrokować. A może ty coś wiesz o tym Dawsonie Nicholsie, co mogłoby nam pomóc?

Slinger w zamyśleniu przygryzł wargi, zanim zdecydował si< cokolwiek powiedzieć.

- Znałem Dawsona - zaczął. - Dobry chłopak. Miał killi problemów, z którymi nie potrafił sobie poradzić. Był to słaby, ale dobry chłopak.

- Proszę powiedzieć, co pan o nim wie? - poprosił Corey.

Slinger przestał się opierać o kontuar i polecił chłopcu, by załadował zakupy na wózek i zawiózł do samochodu. Odczekał, by tamten wyszedł ze sklepu.

- Carl wpoił mi pewne zasady, którym jestem nadal wierny-Jest tylko jeden właściciel, i jeden szef i tylko on decyduje o wszystkim, w tym o bonifikatach rachunków. Ty

esz

-

łka łaby,

u mnie stale, jesteś starym klientem i mogę ci obniżyć cenę. Ale tylko ja. Gdyby to robił subiekt, to wszyscy jego przyjaciele kupowaliby tu tanio i tak powoli przepiliby cały mój sklep.

Dawson, pytacie? Carl bardzo go lubił. Robiło się z nim dobre interesy. Dawson tu zaopatrywał swój motel i Carl dawał mu odpowiednio niższe ceny. Tak samo obniżał ceny dla Jima Mandeville'a. Wcale nie dlatego, by ten tak dużo kupował, ale Carl uważał, że warto było mieć takiego jak Mandeville stałego klienta. Uważał, że to podnosi prestiż sklepu. Mnie prestiż ani ziębi, ani grzeje, ale Carl był inny. Uważał, że z Mandeville'em należało się przyjaźnić. Gdyby dla przykładu komu innemu przyszło do głowy, by starać się o zezwolenie na prowadzenie sklepu z alkoholem w Shropshire, przyjaźń z wpływowym bankierem mogła pomóc w załatwieniu konkurenta. Taki to już był Carl.

- To Mandeville przyjeżdżał do sklepu, by robić swoje zakupy? - zapytał niewinnie Baldo.

- Oczywiście - odpowiedział Slinger, ale w tym momencie pojawił się subiekt z pustym już wózkiem i Slinger kazał mu iść do piwnicy, by skończyć sortowanie nowych dostaw. Gdy chłopak zniknął w otworze prowadzącym do piwnicy, Bill stwierdził:

- Miły chłopak, ale musi się jeszcze wiele nauczyć - pokiwał głową i wrócił do przerwane go tematu. - Tak, Jim Mandeville bardzo dbał o swoje zamówienia. Zamawiał na kilka dni z góry, tak, by towar był już przygotowany i pod ręką. A potem sam przyjeżdżał

swoim land roverem po odbiór. Zawsze kupował towar najwyższej marki, najlepszych firm. - Ponownie potrząsnął głową. - Był bogaty, ale też lubił to podkreślać. Był wielkoduszny, ale zawsze dbał, by wszyscy o tym doskonale wiedzieli. Całe miasto.

Na tydzień przedtem, jak mu rozwalono głowę, był u nas w sklepie przez całą godzinę. Zbliżały się święta i byliśmy bardzo zajęci. Nasz kochany Jim jednak nie żałował czasu na zakupy tego, co najlepsze. Wybrał towaru za czterysta czy pięćset dolarów, ale nagadał się i nachwalił za tysiąc.

- Nie przypominasz pan sobie czegoś konkretnego, szczególnie go z tego, co mówił? - chciał wiedzieć Corey.

- Byłem bardzo zajęty - odpowiedział Slinger. -

Oczywiście wszyscy byliśmy. Czas świątecznych zakupów. Może nie tak, jak przed Nowym Rokiem, ale w każdym razie... Pamiętam tylko że przyszedł w tym czasie Jack Davis, też po towar, i spotkał się przy kasie, w której właśnie ja siedziałem. I Jim zapytał Jacka, czy przyjdzie? Oczywiście miał na myśli swoje świąteczne party. A ten odpowiedział, że bardzo by chciał, ale nie jest pewien, czy mu się uda. Ma w motelu gości, wokół których trzeba skakać. Na to Jim powiedział, że powinien przyjść, bo spotkał tam starego przyjaciela. Jack miał jakiś taki śmieszny wyraz twarzy i zapytał: „Kogo masz na myśli? Kogo spotkam?” Jim nie powiedział. Lubił zaskakiwać i trzymać w niepewności. To dawało mu poczucie siły.

Powiedział jedynie, że stał wspólnym przyjacielem, którego od lat nie widzieli. Jeśli wszystko będzie w porządku, to się tam spotkają i dodał: „Jest tu przez jazdę”. No, ale nie wszystko było w porządku i party w ogóle się nie odbyło.

- A jak sądzisz, kto mógł być tym wspólnym przyjacielem? pytał Baldo, i dodał: - Może się domyślasz?



- Może i domyślam, ale jedynie domyślam. Chodzi mi po głowie, że to Dawson. Chyba tylko on mógł być ich wspólnym znajomym sprzed lat. Był tu następnego wieczoru. To zna w starym sklepie. Przyszedł po butelkę wódki i zaskoczyło to, że jestem. To nie był mój dzień, ale Carl zachorował, a

miałem dzień wolny w komisariacie, więc przyszedłem do sklepu. Od dawna nie widziałem Dawsona. Muszę przyznać, że wyglądał wcale, wcale. O ile sobie przypominam, kupił butelkę wódki, a ja zapytałem, co robi. Odpowiedział, że jedzie do Halifax. Ma tam krewnych, których od lat nie widział. Mieszkał z powrotem w Nowym Jorku, ale nie polubił miasta, i jak tylko nadeszły święta, postanowił dać sobie kilka wolnych dni. Wydawało mi się to dziwne, te wakacje na okres świąt dla faceta, który zajmuje się hotelarstwem, choć prawdę mówiąc, nie pytałem gdzie pracuje. A on mówił: „Wynająłem samochód i jadę do swoich”.

Zapytałem, czy widział się tu już z kimś. Odpowiedział, że bardzo by się chciał zobaczyć, ale rano już musi wyjeżdżać. Nie wspominał nic o tym, że widział się z Jimem. On nie mówił, ja nie pytałem.

- Czy jeszcze potem z nim rozmawiałeś? - indagował Baldo.

- Rzecz jasna - brzmiała odpowiedź. - Przez telefon. Nie unikałem faceta. Kiedy tu mieszkał, nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Jednak gdy był trzeźwy, potrafił być wcale miłym facetem. Wiele wiedział i ciekawie opowiadał. Lubił zresztą opowiadać, a na ogół przychodził o takiej porze, kiedy w sklepie było pusto. Uważam, że to był kiedyś ambitny facet, ale na tym się skończyło.

Pamiętam, jak kiedyś opowiadał, że coś mu się nie powiodło, i nawet nie wie dlaczego. „Wszystko robiłem jak należy” - mówił, a wcale nie był pijany. Był bardzo poważny, tak jak tylko potrafi być pijak, kiedy jest

trzeźwy". Doskonale wiedziałem, co należy robić, kiedy dorastałem. Chodziłem do szkoły i uczyłem się. Byłem przygotowany na ciężką pracę. Chciałem się podobać bossom. Dobrze ożenić. I tak też robiłem, z jednym wyjątkiem. Nie ożeniłem się. Nie miałem czasu na dziewczęta. Zbyt wiele i zbyt ciężko pracowałem. Na nic mi czasu nie wystarczało. „Miałem już dwadzieścia sześć lat, a nie Wychodziłem z kieratu. Byłem sprzedawcą pewnej wielkiej fir

my. Zarabiałem dla nich doskonale, a oni płacili centy. By o tym nie myśleć, zacząłem uprawiać hazard. A ty wiesz, jak to jest. Dwa dni wygrywasz, a trzeciego przegrasz wszystko /. nawiązką. I właśnie dlatego tu przyjechałem. Uciekłem. Tu nie ma kasyna, a ja byłem dla siebie bossem. Miałem nadzieję, że si zmienię.

Przeoczyłem tylko trzy drobiazgi. Pierwszy, jeśli zdobędzi się łatwe pieniądze, dość pieniędzy, by kupić motel i być dla siebie szefem, to już nie można iść do banku, by dostać więcej pieniędzy na prowadzenie interesu. Jak się postawiło na jednego konia, tak właśnie, jak ja zrobiłem, nie można już stawiać na niego.

Drugi - to własne słabości. Jak się człowiek pozbędzie jedne nie wolno popadać w drugą. A mnie się to właśnie tutaj zdar; ło. Nie miałem szefów. Pierwsze dwa, trzy lata pracowałem ja furia, i wszystko szło w porządku. Pomyślałem więc, że jed drink mnie tylko odpręży. A potem potrzebowalem tych drinków coraz więcej, by się odprężyć. Ty się przecież orientuje że nie mam tak wielu gości, bym potrzebował tyle alkohol A potrzebuję, dla siebie.

A trzecia słabość to powrót pierwszej słabości. Stary na wrócił, nowy nie ustąpił, i to już bardzo niedobrze".

- Jasne było, że facet jest sam sobą zmartwiony - kontynuował opowieść Slinger. - Już w ostatnim roku pobytu tutaj of wiadał mi, że ktoś zaczął mu doradzać...

- Czy mówił, kto? - zapytał Corey.

- Mówił - potwierdził Slinger. - Ksiądz. Ten, co prowad dom konwentu. Podobno sam był kiedyś alkoholikiem.

- Pamiętasz, jak się nazywał? - wtrącił się Baldo.

BANKIER

438

- Żartujesz chyba - oburzył się Slinger. - Z największą trudnością przypominam sobie twoje nazwisko, a widujemy się co kilka tygodni. A o tamtym po raz ostatni słyszałem przed dwudziestu laty. Moje własne dzieci oglądam raz na dwa, trzy lata i jak się pokażą, żona musi mi przypominać ich nazwiska.

- No i co mówił Nichols, pomógł mu ten ksiądz? - zapytał Corey.

- Podobno początkowo tak - przypominał sobie Slinger.

-Oni jednak przeważnie tak mówią, że „początkowo”.

Nie pokazywał się tutaj przez kilka miesięcy. Zamawiał towar, ale telefonicznie i w wyraźnie mniejszych ilościach. Potem jednak ponownie zaczął tu wpadać.

Oczywiście, o nic nie pytałem. Jak ktoś popija, to jego problem, nie mój. Jeśli jednak nie może się doczekać na nową dostawę, to jasne, o co chodzi.

Wcale nie byłem zdziwiony, gdy wkrótce potem zniknął. Sam mi przedtem opowiadał: „To tylko kwestia czasu, bym wystawił wszystko na sprzedaż. Nie mam innego wyjścia. Sprzedam temu, co da najwięcej.

Wszystko, co mam, motel i co tam jeszcze. Próbowałem, ale nie wyszło. Może wyjdzie, jak się gdzieś przeniosę.<sup>^</sup> Może tam szczęście mi dopisze”. Zaśmiał się i dodał: „A może nie”.

- Pozwoli pan, Bill, że o coś zapytam - przerwał mu Corey. -Czy widział pan tego księdza? Może spotkał go pan załatwiając jakieś sprawy służbowe?

- Tak, właśnie sprawy służbowe - przytaknął Slinger. - Jako policjant. Kiedyś w nocy. Przyszedł do komisariatu

po pewnego faceta, który spowodował wypadek samochodowy. Szczegółów już nie pamiętam. To było chyba z końcem pięćdziesiątego dziewiątego czy z początkiem sześćdziesiątego. Jakoś tak wkrótce przed wyjazdem księdza. Robił wrażenie niezwykle miłego faceta, w każdym razie na mnie. A wcale nie musiało tak

być. O tej porze wyrwał mnie z łóżka, by jakiegoś faceta wyciągnąć z paki. Oczywiście formalności trwały jakiś czas i mogliśmy nieco porozmawiać. O niczym szczególnym. Jak wszyscy słyszałem pogłoski, że księża nas opuszczają.

Nie robił z tego tajemnicy. Potwierdził. Odniosłam wrażenie, jakby tego żałował. „Zrobiliśmy tu nieco dobrej roboty - powiedział. - Tak mi się w każdym razie wydaje. Chętnie bym to robił dalej”. Domyślałem się, o czym mówi, ale tego nie okazywałem. A on powiedział: „Ci tam na górze uważają jednak, że należy skoncentrować środki i wysiłki w innym miejscu”. I zaraz potem powiedział, że podziwia Mandeville'a. Ja nie podziwiałem, ale trzymałem gębę zamkniętą. I jeśli mam powiedzieć prawdę, to nie bardzo go rozumiałem. - A dlaczego nie lubił pan Jima Mandeville'a? - dopytywał się Corey.

- Nie miałem powodów, by go lubić - wyjaśniał Slingcr. - Mógłbym powiedzieć, że miałem takie same powody, by go lubić jak to, by lubić Eisenhowera. Oczywiście widywałem Mandeville'a z bliska, czego nie mógłbym powiedzieć o Ike'u. On jednak nigdy się mną nie zainteresował i nigdy nic dla mnie nie zrobił, dokładnie jak Ike. Jeśli więc chodzi o Mandeville'a, to po prostu on mnie nie obchodził. I tak było do jego śmierci.

A potem ksiądz powiedział, że niechętnie będzie wyjeżdżał z Shropshire. Nic na to nie odpowiedziałem. On zaczął jednak mówić, jakimi miłymi ludźmi są mieszkańcy naszego miasta i jak miłym facetem jest



Gilbert Rogers. I to zapamiętałem jakoś szczególnie dobrze. On o Gilu Rogersie mówił Gilbert, a większość z nas mówiła o nim „ten skurwysyn Gil”. Byłem wówczas policjantem na służbie i przemilczałem. Wtedy on powiedział, że Rogers reprezentuje ich jako adwokat. A mnie przyszło do głowy, że gdybym był w ich skórze, to modliłbym się

BANKIER

442

szczególnie gorąco i uważnie patrzył temu adwokatowi na łapy. Pamiętam, że ksiądz mówił: „Ten dobry człowiek, który tu prowadził motel, ten, co go sprzedał, zarekomendował nam pana mecenasa. Dotąd nie potrzebowaliśmy korzystać z jego usług, ale teraz tak. Na dodatek okazało się, że ten adwokat tutaj współpracuje z naszym adwokatem z Nowego Jorku”. Oczywiście nadal trzymałem gębę na kłódkę, a wkrótce potem przyprowadzono więźnia i oni obaj wyszli.

- To było już po wyjeździe Nicholisa - stwierdził Corey.

- Tak, już po jego wyjeździe, a tuż przed wyjazdem księży - potwierdził Slinger.

- A nie wiesz, dokąd wyjechał? Oczywiście Nichols, nie ksiądz - uściślił pytanie Baldo.

Slinger wzruszył ramionami.

- Wspominał coś o Chicago, ale nie wiem, czy to była prawda. Nie mówił też, co ma zamiar robić. Potem jeszcze przez kilka lat co pewien czas dzwonił i odnosiłem wrażenie, że u niego wszystko w porządku. Kiedyś telefonował z Lake Tahoe i zapraszał, by go odwiedzić. Pracował podobno w jakimś wielkim hotelu. Mówił: „Jestem tu szefem ochrony”. I dodał: „Nie będzie cię to kosztowało ani centa. Załatwimy pokój i utrzymanie. Dzieciaki mogą się kąpać, a wy macie wieczorny show. Dam wam żetony do kasyna na pięćset dolarów. Zatrzymujecie całą wygraną. Zgoda?”

„A jak mamy tam dotrzeć?” - zapytałem. - „Piechotą potrwa zbyt długo, a może ty kupisz bilety lotnicze?”. Oczywiście odpowiedział, że nie kupi.

Po raz ostatni dzwonił jakieś cztery lata temu. Myśmy już przenieśli tu sklep ze starego miejsca, sprzedałem stary dom. Oba numery telefonów były nowe, ale jakoś się o nich dowie

dział. A więc zadzwonił i powiedział, że jest teraz w San Juan Zapytałem, czy na wakacjach. Odpowiedział, że nie, że jest na czymś w rodzaju emerytury. „Wszystko jednak u mnie w porządku” - zapewniał. Od tego czasu już o nim nie słyszałem.

Następnego dnia rano Baldo właśnie nalewał w kuchni kawę do termosu, gdy wszedł Corey. Zasiedli za stołem i w całkowitym milczeniu pili kawę czekając, by kofeina pobudziła ich szare komórki. Jako pierwszy odezwał się wreszcie Ianucci:

- Czy Jill jeszcze nie wstała? Corey zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie - powiedział. - Ma od nas więcej rozumu. I wcale nie tęsknię za chwilą, kiedy wstanie. Będzie miała kaca i poczucie winy. Lekarz kazał jej uważać na alkohol i nic nie wspominał o tym, że w jej stanie nie wolno jej pić wina.

- A ona pije każdego dnia - stwierdził Ianucci - ale po jednym, dwa kieliszki, a to nie powinno zaszkodzić.

- Tak w każdym razie ona myśli, a ja wolę z nią nie dyskutować.- Corey był rzeczywiście speszony. - Dzień nie zapowiada się najlepiej. Jestem wręcz szczęśliwy, że jedziemy do Pittsfield.

- Oczywiście trudno by jej było robić wyrzuty - zgodził się Baldo. - Jednak to, co ona zrobiła nie było aż tak głupie, jak to, co myśmy robili.

- A co takiego zrobiliśmy? - zdumiał się Corey.

- Dzwoniłeś z tego aparatu do Birnama - odpowiedział Ianucci. - A mnie nawet nie przyszło do głowy, że tego

nie należy robić, a jak już się dzwoni, to najwyżej można zapytać o to, co grają w kinach lub o pogodę.

- Sądzisz, że nasz telefon ma podsłuch?

BANKIER

446

- Nie, nie ma podsłuchu - odpowiedział Ianucci. - Wczoraj założyłem taki aparat w skrzynce rozdzielczej, a dziś rano sprawdziłem. Nic nie wykazuje. Należało jednak założyć go znacznie wcześniej. I trzeba było uważać. Pozostawialiśmy mnóstwo śladów, a Birnam też to i owo powiedział. Trzeba było pomyśleć o jakimś bezpieczeństwie tutaj. A żadnemu z nas nie przyszło to do głowy.

- Przecież tu niczego szczególnego nie mamy. Trochę jakichś dokumentów - protestował Corey.

- Nie można mówić, że nie mamy niczego - nie zgadzał się Ianucci. - A przy tym zadajemy pytania jakbyśmy wiedzieli znacznie więcej, niż wiemy. Opieramy się jedynie na pewnych podejrzeniach, które staramy się udowodnić. Pozwalamy się jednak domyślać, że wiemy bardzo dużo. Musimy od tej chwili być bardziej ostrożni i bardziej uważać na to, co, jak, gdzie i do kogo mówimy.

## XXII

W najbliższy poniedziałek po południu nadeszła odpowiedź Rogera Birnama na telefoniczne pytania postawione przez Co-reya, ale odpowiedź nie zadowoliła Balda.

- Już trzy tygodnie temu przekazałeś pytania dotyczące Pian-tidosi i w tym samym czasie pytania w sprawie O'Hara. W tydzień potem pytałeś o Davisa i o Nicholisa. Chciałeś się dowiedzieć, gdzie ten ostatni teraz się zaszyl. I żadnej wyraźnej odpowiedzi. Jeśli ktoś Nicholisa ostrzegł, to miał czas wynieść się na drugą półkulę. Warren Oldham w ciągu trzech dni sprawdził nam, kto był właścicielem wozu Davisa i jaka firma była rzeczywistym posiadaczem cadillaca, którym jeździł Man-deville. Poprosiliśmy więc twojego przyjaciela Rogera, by sprawdził firmę Bon Ami Motorcars Inc. , Jamaica, Long Is-land, Nowy Jork, a on nam odpowiada, że to firma wypożyczająca luksusowe samochody różnym instytucjom, istniejąca od czasów wojny koreańskiej i działająca ku zadowoleniu licznej klienteli.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć - Corey był nieco speszony. -Pracowałem dla jego brata i to on skontaktował mnie z Rogerem. Ten obiecał nam pomoc. Musi być jakiś powód, dla którego trwa to tak długo. Nie mam pojęcia dlaczego. -

- I ja też nie - wtrącił swoje Baldo. - Wiem jedynie, że może to być jedna z trzech możliwości.

Możliwość pierwsza: Facet jest bardzo zajęty. Nie ma czasu zająć się naszymi sprawami, ale nie chce się do tego przyznać. To jednak jest mało prawdopodobne.

Facet jest na emeryturze, może się zajmować jedynie rachunkami i musi pamiętać o **tym**,



BANKIER

449

żeby wychodząc zabrać sztuczną szczękę. Ma masę czasu, ale niczego nie załatwia i zwleka.

Możliwość druga: Zwleka, bo nie może dotrzeć do potrzebnych informacji, ale wstydzi się do tego przyznać. Wiemy, że jest na emeryturze, ale to nie powinno przeszkadzać. Jeśli się jest raz w kręgu wtajemniczenia, pozostaje się tam na zawsze. Zawsze trafisz na kogoś, kto cię zapamiętał i kto chętnie coś tam dla ciebie sprawdzi.

I możliwość trzecia: Zwleka, bo w rzeczywistości nie jest z nami. I nigdy nie miał zamiaru pomagać. Występuje w charakterze wabika dla kogoś, kogo nie znamy lub nie podejrzewamy, że to właśnie ten. Musimy stać się bardziej podejrzliwi, a powinniśmy byli być takimi od samego początku. Każdy musi być dla nas podejrzany, jak chociażby ten brat, dla którego pracowałeś.

- Ed Birnam? - zdumiał się Corey. - Ed Birnam to człowiek honoru. Pracowałem u niego przez sześć lat i poznałem go. Nieczęsto można spotkać człowieka tak etycznego. Nigdy by się w żadne świństwo nie dał wciągnąć.

- I to właśnie może być powód, dlaczego pozwolił się wciągnąć - stwierdził Baldo. - Z powodów etycznych. Pamiętasz, co ci powiedział, kiedy odchodziłeś? Powiedział, że on przez to już przechodził. Wtedy, kiedy jego brat zrezygnował. I kiedy poinformowałeś go o swoich zamiarach, coś go natychmiast w środku ostrzegło.

Wcale nie twierdzą, że twój były szef jest gangsterem uzbrojonym w pistolet z tłumikiem. Twierdzą jedynie, że jest w swoim biznesie wystarczająco długo, by mieć kogoś takiego w gronie swoich klientów, choć taki facet wcale na gangstera nie musi wyglądać. A jeśli facet jest bardzo skrupulatny, a twierdzisz, że jest, to natychmiast musiało mu przyjść do głowy

HIGGINS

wy: Trzeba sprawdzić, czy interes klienta nie będzie zagrożony. A czyż lepiej można sprawdzić, niż montując punkt podsłuchu i obserwacji? Tak właśnie zrobił ten Marco instalując tu Jacka Davisa w motelu. A może to była taka sama taktyka, kiedy on skontaktował ciebie z Rogerem. I zagrało, wszystko się kręci jak w szwajcarskim zegarku.

Kiedyśmy na cokolwiek wpadali, natychmiast dzwoniliśmy do Rogera. I do czego to prowadziło? Jak do tej pory wszystko utykało na Rogerze, a on wie to, co i my wiemy.

I właśnie dlatego - kontynuował Baldo - przestajemy dzwonić do Rogera. Niczego nie stracimy, a zachowamy informacje dla siebie.

- Nie wiem, co o tym myśleć - przyznał Corey.

- I ja też nie mam stuprocentowej pewności - potakiwał Baldo. - Wiem jedynie, że to, co podsuwa nam Roger, nie ma żadnej wartości i w niczym nie pomaga. Czy to oznacza, że działa z całą premedytacją przeciwko nam? Mogę jedynie szczerze powiedzieć, że nie wiem. Muszę to jeszcze przemyśleć, ale nie wykluczam, że jest to dezinformacja obliczona na to, by nas zniechęcić.

- A więc co robimy? - zmartwił się Corey. - Sami nie mamy dostępu do rządowych archiwów komputerowych.

- Zadzwonimy na Florydę do mojego przyjaciela Harry'ego - powiedział Baldo. - Harry jest jeszcze w czynnej służbie i chętnie pomoże. Umówimy się też na spotkanie z Oldhamem w Springfield. Tak więc

będziemy atakowali z obu stron. Oba powiemy, co robimy i dlaczego. I tam też będziemy pracowali, Warren ma tam to, czego tu nie mamy, a więc aparaturę i środki na zachowanie bezpieczeństwa. Będziemy tam pod koniec

BANKIER

453

tygodnia, a powinniśmy byli znaleźć się tam już dawno. A w każdym razie od co najmniej dwóch tygodni.

Michelle Ianucci podjechała po nich na skrzyżowanie ulic Fort i Main w Springfield o 20.25 i ledwie wsiedli do wozu, zaczęła się skarżyć.

- Miałam długi dzień. Jak i wy, jestem na nogach od wczesnego ranka. Fryzjer, zakupy, lunch z dziewczynami, że nie wspominam już o tym przeklętym ginekologu. Ogromnie męczące. Mówię wam. Gdybym miała choć trochę rozumu, to zaziębiłabym się jak Jill, choć ona twierdziła, że czuje się fatalnie. Mogłabym jednak siedzieć w domu, kichać, dotrzymać jej towarzystwa, a wy, chłopcy, moglibyście wracać sami - przesunęła się na miejsce pasażera pozostawiając kierownicę mężowi. - Jak wam poszło?

Sadowiąc się na tylnym siedzeniu Corey ziewnął i powiedział:

- Powiedziałbym, że posunęliśmy się do przodu. Burt rozesłał wezwania i zwołał ławę przysięgłych na przyszłą środę z zaznaczeniem, że może się przeciągnąć na czwartek.

- Może nawet na piątek - Baldo włączył bieg. - Szczególnie jeśli pierwszego dnia osiągniemy to, co zamierzamy. Nie chcę być nadmiernie optymistyczny, ale jeśli pójdzie dobrze, to w piątek możemy mieć akt oskarżenia.

O 22.15 Shropshire było ciche, a ulice opustoszałe. Na głównej ulicy minął ich tylko jeden samochód, a przed restauracją motelu stały zaparkowane dwa wozy.

- Moglibyśmy wpaść na drinka i na słówko do Jacka - sugerował Corey.

- Nie przypuszczam, by się ucieszył na nasz widok - mruknął Saldo. - Musiał być dziś bardzo zajęty.

Otrzymał kolejną złą wiadomość. - Skręcił w prawo w Berkshire Street.

HIGGINS

- Kolejną? - zdumiała się Michelle. - A co zrobiliście temu biednemu chłopcu poza wysłaniem mu wezwania do sądu? Czego od niego chcecie, przecież nic wam nigdy nie zrobił?

- Wysłaliśmy wezwanie również do Boba Gatesa - odpowiedział Baldo. - Gates to jego adwokat; a to wezwanie uniemożliwia mu występowanie w tej roli. Nie może reprezentować Jacka, gdyż jest świadkiem w tej samej sprawie. Musiałby zgłupieć, gdyby próbował.

- Kogo jeszcze wzywacie? Są jacyś, których znam? - chciała się dowiedzieć.

- Chyba nie znasz - powiedział Baldo. - Pewien ksiądz, emeryt seminarium duchownego w Compton w Kalifornii. Pewien dżentelmen nazwiskiem Marco Piantidosi, który twierdzi, że przeszedł na emeryturę i mieszka w Key Biscayne. Ten zapewne się nie pokaże. To już nie po raz pierwszy ktoś prosi go, by pokazał się tu, na północy i opowiedział to i owo o swojej długiej karierze, ale on ma cały szwadron prawników, którzy stają przed ławą przysięgłych i tłumaczą, że ich klient jest zbyt chory, by mógł podróżować.

-1 to mu się udaje? - nie mogła zrozumieć.

- Na razie, udaje - Baldo pokiwał głową. - Będzie to trudniejsze, jeśli jego nazwisko znajdzie się w akcie oskarżenia, jaki mamy nadzieję przygotować. A takiego figla jeszcze mu nikt nie spletał, chociaż już kilkakrotnie organa ścigania były tego bliskie. Oczywiście gdy w grę wchodzi zabójstwo, sędziowie stają się bardziej

wymagający, zwłaszcza jeśli nazwisko świadka figuruje również na liście oskarżonych.

Przejeżdżali obok komisariatu, przed którym stał jeden samochód z włączonymi światłami.



BANKIER

457

- No i dalej jeszcze kto? - przypominał sobie Baldo - Oczywiście Dawson. Dawson Nichols. Ten przyjdzie z całą pewnością. Twierdzi, że w dniu, w którym Jim zginął, był za granicą. Kiedy się o wszystkim dowiedział, był zdruzgotany.

- A niby gdzie był? - zapytała.

- Joe z nim mówił - odpowiedział Baldo. - Ja jedynie słuchałem i myślałem, że pęknę ze śmiechu.

- Twierdzi, że był w podróży po Europie - wyjaśnił Corey. - Poprosiłem, by uściślił miejsce swojego pobytu, a on odpowiedział, że musi zajrzeć do paszportu, i nie odzywał się przez jakieś piętnaście, dwadzieścia minut...

- ... co znaczy oczywiście, że rozmawiał ze swoim adwokatem z drugiego telefonu - wtrącił Baldo.

- Kiedy wreszcie wrócił, gorąco przeproszał. Całkiem zapomniał, że ma już drugi paszport, a wcale nie potrafi sobie uzmysłwić, gdzie dokładnie był tamtego dnia. Odpowiedziałem, że w porządku, wrócimy jeszcze do tego, kiedy się tu pokaże.

Mijali właśnie dom na Overlook Hills. Nad drzwiami świeciła się stylowa latarnia.

- No popatrz, Joe - powiedział Baldo. - Zapalili latarnie nad drzwiami gospodarstwa na wypadek, gdyby ci przyszło do głowy wpaść tu i zobaczyć, jak wygląda dom, który rodzina Jill pozwoliła dać sobie ukraść.

- Musiałbym mieć sklerozę, by tam teraz wpadać. A w ogóle musielibyśmy zwariować przypuszczając, że uda się ich tak łatwo złapać.

- Dawson chyba też tak sądzi - wtrącił Baldo. - Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że się dusił od śmiechu. Człowiek takich sukcesów jest pewien, że nikt mu nie zagraża.

**la**

- Jakich znowu sukcesów - nie mogła zrozumieć Michelle. Zawsze słyszałam od was, że Nichols jest bankrutem. Hazardzi sta i mały oszust, który gdzieś tam zniknął.

- Wcale nie - zaprotestował Corey. - Nie masz racji, Michel le. Dawson odniósł w końcu sukces. I to nawet poważny. Jes dyrektorem personalnym firmy Escape Resorts Worldwide, a jednocześnie jej wiceprezesem. Tytuł imponujący. Gdy zapy tałem, co naprawdę robi, odpowiedział: „Jestem od załatwiania spraw najtrudniejszych”.

- I wtedy właśnie nie wytrzymałem, wybuchnąłem śmiechem; i przerwaliśmy rozmowę - Baldo wpadł przyjacielowi w słowo - To absolutny nepotyzm, choć rzeczywiście ktoś taki, jak Dawson może być dobry w sprawach „najtrudniejszych”. Ostatecznie robi w tym od lat, a nie dał się złapać.

- Zakładając, że dziadek Jill był jego pierwszą „trudną” sprawą, to rzeczywiście już lata - zgodził się Corey.

- Tak, był dobry. Nie popełnił żadnego błędu - zgodził się Baldo.

Drzewa otaczające parking w kolonii Claretian zaczynały już tracić liście. Leżały na asfalcie i szeleściły unoszone podmuchami wiatru. Baldo zaparkował buicka. Wyszli z wozu i szli powoli wzdłuż ciemnego rzędu domków, w których paliły się jedynie automatycznie zapalane światła nad drzwiami

wejściowymi. Liście szeleściły pod stopami, a od strony jeziora dolatywała ciepła bryza jesiennego wiatru.

- Nie ma to jak wracać do domu - westchnęła Michelle biorąc Balda pod rękę. - Zaczynam się chyba starzeć. Już się nie nadaję do wielkomięjskiego życia.

- To dziwne - przerwał jej Corey. - Światło w pokoju na pierwszym piętrze.

BANKIER

461

- Faktycznie, nie wchodziliśmy tam - przytaknął Baldo. - W każdym razie ja nie wchodziłem. A ty?

- Też nie - odpowiedział Corey. - I Jill też nie miała powodów, by tam wchodzić. Tam są tylko nasze pokoje do pracy i nic, co by jej mogło być potrzebne.

- Może telefon? - głośno myślała Michelle. - Dzwoniła, a potem zapomniała zgasić światło.

Corey potrząsnął głową.

- Nie sądzę. - Przyspieszył kroku. - Mamy przedłużacz. Przeniosłem jej telefon do sypialni i postawiłem koło łóżka. Czowała się nie najlepiej i nie chciałem by wstawała. Baldo położył rękę na ramieniu Coreya.

- Poczekaj chwilkę - powiedział. - Musimy się przygotować. Zaczekajcie tu z Michelle i zachowujcie się cicho. Zaraz wracam z czymś, co może się przydać.

- On trzyma rewolwery w samochodzie? - zapytał szeptem Corey, gdy sylwetka Balda rozplynęła się w ciemności.

- Nie - odpowiedziała również szeptem - Rewolwery ma w domu. W samochodzie są dwa kije od baseballa. Z aluminium i wypełnione ołowiem. Mówi o nich „argumenty”.

Baldo po chwili wrócił z pałkami w ręce i jedną wręczył Co-rey'owi. Była zimna, ciężka i miała wygodną rączkę.

- W razie potrzeby wal z całej siły - pouczał cichym głosem. Najlepiej po kościach, po kostkach, w szczękę. W ostateczności w łeb.

- Jeśli tam ktoś jest, usłyszy, że otwieramy tylne drzwi - szeptała Michelle.

- Nie, te drzwi są już teraz otwarte - zaprzeczył Baldo. -  
Widzicie tę smugę światła? Ten, co wszedł, pozostawił  
je uchylone.

Problem jedynie w tym, czy już nie wyszedł. Zaraz się przekonamy.

Na drzwiach nie było śladów włamania. W kuchni nie było nikogo, tak jak i w sypialni Ianuccich. W pokoju gościnnym na kanapie spała Jill nakryta po samą szyję ciepłym pledem. Na ekranie włączonego telewizora migotały reklamy. Na stoliku obok tapczanu stała szklanka z jasnym płynem, zapewne z wodą, i jakieś buteleczki z lekarstwami na przeziębienie. Michelle przyjrzała się buteleczkom i szepnęła:

-Ta przynajmniej znalazła moje lekarstwa.

Na ziemi obok tapczanu leżały chusteczki z ligniny.

Corey delikatnie odkrył pled, a Jill nie budząc się, westchnęła. Baldo ruchem głowy wskazał drzwi do pokoi, w których pracowali.

Zachowując się możliwie cicho weszli po schodach na pierwsze piętro. Nie było tam nikogo, tylko ich pokoje do pracy były wyraźnie splądrowane. Porozrzucane po podłodze papiery, powyciągane szuflady z biurka, pootwierane szafki.

- Robi to wrażenie - mruknął Baldo.

- Czegóż oni do cholery szukali? - zastanawia! się Corey.

-A wygląda na to, że i tak tego nie znaleźli.

- Ktoś nie wytrzymał - domyślał się Baldo. - Ten, co tu grzebał, nie wiedział dokładnie czego szukać. A może tak naprawdę nie szukał niczego. Ten wandal chciał nas tylko ostrzec. Chciał dać nam do zrozumienia, że mu się nie podoba to, co robimy. Nie przyszedł, by nas zatrzymać. Wie, że na to już za późno. Chciał pokazać,

że nas lekceważy. Dziwię się, że jakąś farbą nie wypisał czegoś na ścianie.

- W każdym razie nie zainteresował się Jill, to najważniejsze - w głosie Corey'a wyczuwało się ulgę. - A ona dzięki Bogu, siedziała na parterze i nie musiał się na nią natknąć.



BANKIER

465

- Może nie chciał jej straszyć - rozważał Baldo. - albo o niej nie wiedział. Sądził zapewne, że wszyscy wyjechaliśmy. Może wie, że ona ma w tym dniu zajęcia. Zadzwoił na oba numery, nikt nie odpowiadał, a więc uznał, że nikogo nie ma w domu.

- To co robimy? - zastanawiał się Corey. - Chyba zadzwonimy do Burta, by przysłał kogoś, kto zna się na odciskach palców. A może też przepytąć Kleryka?

- To drugie nie ma sensu - sprzeciwił się Baldo - Żadnego. Kleryk weźmie stronę włamywacza. On nic nie powie. Kiedy go wypytywałem, z całą bezczelnością powiedział, że pracował u księży. Nie pamięta żadnych nazwisk i zaprzeczał temu, że musiał tu przyjechać, bo go do tej pracy skierowano. To sukinsyn kłamca i nie potrzebujemy go. A jeśli chodzi o odciski, to byli policjanci nie zostawiają odcisków. Tak jak nie otwierają drzwi łomem, a doskonale dobranymi wytrychami. Noszą gumowe rękawiczki. Trzeba tu będzie założyć jakieś lepsze zamki.

## XXIII

Jill Corey oświadczyła, że dyskusje obu panów, jej męża i Bal da na ciągle ten sam temat przyprawiają ją o bóle głowy i nu ności znacznie skuteczniej niż wino, ostre przyprawy i wiru jakiego się nabawiła. Michelle zaproponowała więc, by si gdzieś wybrały i zgodnie z tą propozycją w sobotę w południ panie wsiadły do samochodu i pojechały do oddalonego o jed naście mil Sussex, gdzie znajdowała się ulubiona restauracj Michelle, „The Blissful Dove”. Tu zamówiły roladę z krabó i pół butelki białego, francuskiego wina. A kiedy zjadły i keln przyniósł rachunek, Jill zauważyła przez okno restauracji umi szceny na domu po przeciwnej stronie ulicy napis „Na spi daż”.

- Może to i warto zobaczyć - powiedziała do Michelle. - C możesz przeczytać, jaka firma sprzedaje? Czy nie „Multiple L' stning”?

Z miejsca, na którym siedziała Michelle, liście klonów ni przesłaniały napisu.

- Jest napis: „Właściciel” - powiedziała. - Jakiś sknera usi' je sprzedać sam, by nie opłacać pośrednika.

- Doskonale, możemy mu dodać nieco otuchy, nie sądzisz ? zaśmiała się Jill.

Michelle zgodziła się i poszły. /

Dziewięciopokojowy dom pokazywała im starsza pani, a ki dy skończyły oględziny, Jill zapytała właścicielkę, czy akcept wałaby cenę 110 tysięcy?

BANKIER

467

- Nie - odpowiedziała grzecznie miła staruszka. - Nie akceptowałabym. Moja siostrzenica jest agentem nieruchomości w Connecticut i ona wyceniła mi dom i powiedziała, że rozsądną ceną będzie sto dwadzieścia dwa tysiące pięćset. I to jest właśnie moja cena, przy której się upieram do dnia 11 listopada, do Dnia Weterana.

- A co będzie po 11 listopada? - zainteresowała się Michelle.

- W trzy tygodnie później przeprowadzam się na Florydę - odpowiedziała tamta. - Mam tam mieszkanie, które dzielę z siostrą zmarłego męża. Irena jest świętym człowiekiem, a teraz potrzebuje pomocy i opieki. Jest już zbyt słaba, by mieszkać sama. A i mnie potrzebny jest jakiś bliski towarzysz. Lubię ten dom, mieszkaliśmy tu przez czterdzieści trzy lata. Wiem, że będę tęskniła, ale fakty są nieubłagane. Mam tu prześliczne krzewy róż, piękne lilie i kocham moje tulipany kwitnące tak ślicznie każdego maja, ale nie mam już siły, by koło nich chodzić. A więc jeśli nie sprzedam do Dnia Weterana, mój zmarły mąż określał to zawsze jako Dzień Rozejmu, oddaję dom do agenta i zaczynam pakowanie. Agent podniesie cenę do stu trzydziestu, a potem ktoś, może pani lub ktoś inny, zakocha się w tym domu całkiem jak ja w czterdziestym siódmym, potarguje się, i jeśli moja siostrzenica się nie pomyliła, kupi dom za sto dwadzieścia siedem. W dodatku będzie przekonany, że złapał okazję. Ja dostanę o jakieś dwa tysiące mniej, niż gdybym dostała sprzedając sama. Niewielka strata. A

więc słyszała pani moją cenę. Jeden, dwa, dwa i pół, to  
cena ostateczna.

- Co myślisz o tym, Michelle? Ta wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się, że ta pani mówi przekonująco -  
wyraziła opinię. - Wszystko wydaje mi się w porządku.  
Na twoim miej

469

HIGGINS

, że 'A-

scu jutro rano przywiozłabym tu Joego i powiedziałabym mu, że to wasza wielka i jedyna szansa.

- Mogę jednak również wypisać pani czek z zaliczką - stwierdziła nieoczekiwanie Jill.

- Nie pomyślałam o tym, ale oczywiście możesz to zrobić - przyznała Michelle. - W takim wypadku Joe przyjedzie tu z całą pewnością i z o wiele większą uwagą będzie się przyglądał temu domowi.

- Czy pięć tysięcy wystarczy? - Jill zwróciła się do starszej pani.

- Myślę, że wystarczy - zgodziła się tamta. - Pozwoli pani, przyniosę formularze umowy, które mi zostawiła siostrzenica.

We wtorek po południu okazało się, że ksiądz Donald D'A-olio nie włada kończynami dolnymi i jest przykuty do wózka, co oznaczało konieczność przetransportowania go z lotniska Bradley w Connecticut do hotelu „Hilton Inn Berkshire” w Pittsfield, a potem, po złożeniu przez niego zeznań, odtransportowanie go z powrotem na lotnisko. To natychmiast postawiło pod znakiem zapytania kolejność zeznających świadków, którzy zgodnie z wezwaniami wysłanymi na podstawie listy opracowanej przez Coreya i Ianucciego, w środę mieli się zjawić przed ławą przysięgłych.

Corey i Ianucci zawieźli księdza do hotelu, a gdy wieczorem wrócili do domu i opowiedzieli, co ich spotkało, Michelle zawyrokowała:

- Oczywiście obaj musicie go jutro przywieźć i odwieźć, inaczej stracie trzy do czterech godzin na czekanie, a wygląda na to, że na taki numer nie możecie sobie w tym dniu pozwolić.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że im szybciej dostarczą świadka do sądu, tym lepiej dla całości przebiegu przesłuchań.

BANKIER

471

- Pracowałem z kimś takim w Pentagonie - opowiadał Baldo przy kolacji. - Szczęśliwie niezbyt długo, gdyż nie bardzo się nam układało. Nikomu się z nim nie układało. Kogoś podobnie trudnego nie widziałem nigdy w życiu. Był głuchawy i miał o to pretensje do wszystkich. Sukinsyn kupił sobie genialny aparat słuchowy. Taki, że mógłby usłyszeć, o czym szepcze się na Kremlu. Twierdził jednak, że aparat ten go drażni i ustawicznie go wyłączał. Rezultat był taki, że wszyscy słyszeli, co on miał do powiedzenia, a on innych nie słyszał, bo wiecznie wyłączał ten aparat. Jeśli on o coś pytał, a odpowiedź była krótka, to jeszcze do niego docierała. Jeśli jednak pytanie wymagało jakichś wyjaśnień, to już był koniec. Kropka. Sukinsyn wyłączał aparat i było po rozmowie. Broń Boże przed podejmowaniem z nim jakiegokolwiek dyskusji. A jeśli coś poszło nie tak, jak należy, co zawsze się zdarza, to nigdy nie była jego wina. On albo niczego nie wiedział, albo nikt go nie chciał wysłuchać, albo go źle rozumiano.

- Z psychologii wiem, że to się nazywa „pasywna agresja” - oświadczyła Jill. - Taki facet wykorzystuje swoje kalcectwo jako ucieczkę przed rzeczywistym światem.

- I dokładnie tak właśnie postępuje ten żyjący święty - oświadczył Baldo. - Zabraliśmy go z dworca lotniczego i holowaliśmy do samochodu, a jestem przekonany, że facet mógł chodzić. On ustawicznie zapewniał nas, że wszystko w porządku, że w ogóle nie trzeba było po

niego wyjeżdżać, i nie trzeba go transportować do sądu. A jednak kiedy przyleciał, czekał na nas na lotnisku i nigdzie sam się nie wybierał.

- Tak, powtórzył to dwadzieścia razy - potwierdził Corey. -A przecież powinien zdawać sobie sprawę, że myśmy nic o jego kalectwie nie wiedzieli i że byliśmy tym zaskoczeni. Kiedy rozmawialiśmy z nim telefonicznie, nie uprzedził nas, co jest z jego



nogami. Zakładał jednak, że obsługa domu, w którym mieszka, informuje zainteresowanych o jego stanie. I do nich jednak, jak mówił, nie należy mieć pretensji. Przy bardzo ograniczonych środkach robią, co mogą, by zapewnić możliwie najlepsze warunki swoim niepełnosprawnym podopiecznym.

- Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że w westchnieniach jest doskonały - wtrącił się Baldo. - W drodze z lotniska do hotelu westchnął z sześćdziesiąt do siedemdziesięciu razy. Głębokie, serdeczne westchnięcia poprzedzające przeprosiny za kłopoty, jakie nam sprawia. Kiedy umrze, niewątpliwie znajdzie się w niebie i zacznie od tego, że wybaczy Bogu wszelkie zło, jakie wyrządził mu za jego życia, i wybaczy jednocześnie nam wszystkim. Adolf Hitler miał pecha, że go nie spotkał, bo i jemu też by wybaczył.

Wybaczyłby mu wszystko tak totalnie, że Fihrer z samej rozpaczy popełniłby ponownie samobójstwo.

- Czy wie coś, co może wam pomóc? - zapytała Jill.,

- Być może - Corey skinął głową. - I niewykluczone nawet, że nam to powie, jeśli wyraźnie damy mu do zrozumienia, że chylimy czoła przed poniżeniem, na jakie narażamy go, wystawiając jego wielebność na tak ciężką próbę.

- A to już całkowicie pozostawiam tobie - stwierdził Ianucci. - I z niecierpliwością czekam na twój występ.

- Czekasz? - Corey zrobił minę człowieka głęboko sfrustrowanego. - A ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiasz? Z człowiekiem, który nie wiedział, że

kupił dom, a dowiedział się o tym w dzień, po zawarciu transakcji. Z człowiekiem nie mającym pracy, którego jedynym źródłem utrzymania jest żona, a ta na dodatek jest w ciąży. Z prawnikiem, którego z wyuczonym zawodem łączy jedynie pewne morderstwo dokonane przed dwudziestu pięciu laty, a jeśli prawda nie zostanie wyświetlona, stanie się zawodowym nekrologiem te

BANKIER

475

goź prawnika. W stanie, w którym zamieszkał, nikt nic o nim nie będzie wiedział, z wyjątkiem jednego, a mianowicie tego, że jest to facet, który usiłował wyjaśnić tajemnicę śmierci Jima Mandeville'a, i przy okazji potężnie się wygłupił. Każdy wtedy zapyta: To kogoś takiego miałbym robić swoim adwokatem?

Pierwszym świadkiem stającym przed ławą przysięgłych był uśmiechnięty i przyjaźnie promieniejący D'Avolio. Przewodniczący ławy przysięgłych Sheffley wstał i powiedział:

- A teraz proszę powtarzać za mną... - i odebrał od świadka przysięgę. D'Avolio podał swoje dane personalne i adres. Uśmiechając się przyjaźnie czekał na dalszy przebieg przesłuchania.

Pytania zadawał Corey:

- Ojcie D'Avolio, czy ksiądz pełniąc obowiązki administratora placówki Kongregacji Synów Niepokalanego Serca Marii w Shropshire, stan Massachusetts, poznał Dawsona Nicholisa?

- Tak - brzmiała odpowiedź. - Poznałem tego człowieka trapięcego wątpliwościami i kłopotami, jakie dotyczą wielu z nas. Poznałem, gdyż potrzebował i szukał pociechy, ukojenia ducha i umysłu. Usiłowałem, jak tylko potrafiłem, przyjść mu z pomocą. Pan chyba rozumie, że jako ksiądz muszę się powstrzymać od wnikania w szczegóły tego problemu.

- Jak rozumiem - stwierdził natychmiast Corey - przysięga, jaką ojciec tu przed chwilą złożył, niejako znosi przywilej ojca do powstrzymania się od

przekazywania informacji na temat rozmów, jakie  
grzesznicy prowadzili z ojcem.  
Ojciec D'Avolio zmarszczył się i powiedział niezbyt  
pewnym głosem:  
- Być może.

HIGGINS

- I jak rozumiem również - kontynuował Corey - a mam nadzieję, że i ojciec rozumie, ten przywilej nieujawniania informacji nie obejmuje wiedzy księdza na temat uczynków i zachowania osób trzecich, w szczególności osób cywilnych, którymi zainteresowana może być ława przysięgłych w trakcie obecnego przesłuchania.

- Sądzę, że się zgadzamy - skomentował to ojciec D'Avolic.

- Liczę na to - powiedział Corey. - Gdyż gdybyśmy się nie zgadzali, musielibyśmy razem stanąć przed obliczem sędziego Malcolma Weatherbee, którego prosiłbym o rozstrzygnięcie powstałej między nami różnicy zdań.

Ojciec D'Avolio nic nie odpowiedział.

- A teraz jedynie dla protokołu może ojciec powiedzieć, czy Dawson Nichols był członkiem waszej kongregacji i czy w ogóle był katolikiem? - zaczął pytania Corey.

- Nie, nie był - odparł zapytany. - I chciałbym dodać, że ja tu nie zakładałem kongregacji, a administrując naszą posiadłość w Shropshire od sierpnia pięćdziesiątego szóstego do lata sześćdziesiątego starałem się również wypełniać obowiązki kapłańskie wobec mieszkańców tego miasta, przychodzić z pomocą душom pomocy tej potrzebującym.

- A pan Nichols był właśnie jedną z tych dusz - dociekał Corey.

- Nie wiem, czy tak można powiedzieć - zastanawiał się D'A-olio. - Był on po prostu mieszkańcem tego miasta,

a uważałem, że moim obowiązkiem duchownego było udzielanie pomocy każdemu, kto się o taką pomoc zwróci. Nigdy nikogo nie pytałem o jego wyznanie i nie pytałem też o to pana Nichol-sona. Takich pytań nie zadawał przecież również nasz Zbawiciel, kiedy przychodziły do niego zbłąkane owieczki.

BANKIER

479

- Wśród społeczności tego miasta były również osoby mające problemy z piciem alkoholu - stwierdził Corey. D'Avolio nachmurzył się ponownie i po chwili wahania powiedział:

- Tak, były. Miałem w tym zakresie pewne doświadczenia, jako sekretarz Ligi Świętego Judy współpracującej z siłami policji miejskiej w Chicago. Obowiązki te pełniłem przed przybyciem do Shropshire, co pozwalało mi na zajęcie się podobnym problemem w tym mieście.

- I właśnie w takiej sprawie zwrócił się do ojca pan Nichols - zabrzmiało to nie tyle jak pytanie, co jak stwierdzenie.

D'Avolio pokręcił głową z wyraźnym niezadowoleniem.

- Obawiam się, panie Corey - powiedział - że odpowiedź na to pytanie naruszałaby kapłańskie przywileje, o jakich wspominałem na początku. Odpowiedzi mógłby udzielić jedynie sam zainteresowany.

- Dobrze, proszę ojca - przerwał Corey. - Nie podpisując się pod tym stwierdzeniem proponuję, byśmy szli dalej. Na wiosnę tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku ojciec otrzymał wiadomość, że przełożeni ojca w kongregacji w Chicago podjęli decyzję o sprzedaży posiadłości w Shropshire, czy tak?

- Tak - przyznał D'Avolio.

- I w związku z tą decyzją otrzymał ojciec polecenie dyskretnego zorientowania się, kto spośród

miejscowych mógłby być potencjalnym nabywcą -  
powiedział Corey.

- Dokładnie tak - ponownie przytaknął ksiądz.

- Czy ojciec mówił o tym człowiekowi nazwiskiem Jack  
Davis, którego ojciec poznał za pośrednictwem  
Nicholsa?



481

HIGGINS

- Panie Corey - zaczął D'Avolio - rozmowy pomiędzy mną a Nicholsem...

Corey nie dał mu dokończyć:

- Ojcie D'Avolio, musimy się dobrze zrozumieć. Nie pytałem o to, co o sobie opowiadał ojcu Nichols. Nie pytałem, czy przyznawał się do tego, że pożądał żony sąsiada, jego wołu czy czegoś innego. Pytałem jedynie o to, czy Dawson Nichols na kilka lat przed sprzedażą posiadłości przedstawił ojcu Jacka Davisa. Pytanie nie sugeruje, że ktokolwiek popełnił coś złego. Odnosi się ściśle do transakcji kupna i sprzedaży posiadłości.

My zebraliśmy się tu, w tej sali, proszę ojca -

kontynuował -nie po to, by oddać cesarzowi to, co należy do Boga, a by oddać cesarzowi, co jak obaj wiemy, należy do cesarza. Czy ojciec powiadomił Davisa ó zamiarze sprzedaży posiadłości?

- Tak, mówiłem mu o tym - przyznał D'Avolio.

- A czy w jakiś czas potem, ojcie D'Avolio - drążył dalej Corey - Davis informował ojca, że jego zdaniem potencjalnym nabywcą jest James Mandeville?

- Tak - brzmiała lakoniczna odpowiedź.

- A czy ojciec przekazał tę informację swoim zwierzchnikom - padło kolejne pytanie Coreya. - A w szczególności, czy informował ojciec o tym ojca Dominica Cleary, który był odpowiedzialny za finanse konwentu?

-Tak.

- Czy ojcu wiadomo, że ojciec Cleary przekazał z kolei wiadomość do Henry'ego O'Hara w Nowym Jorku?

- Tak - potwierdził D'Avolio. - Firma adwokacka O'Hara prowadziła sprawy, jakie w dziedzinie prawa miał nasz konwent. Było ich w ogóle bardzo niewiele.

BANKIER

483

- A w rezultacie tego - kontynuował Corey - ojciec odbył rozmowę z panem O'Hara, i w jej wyniku podjął ojciec pewne działanie.

- Pan O'Hara poinformował mnie, że zwróci się do mnie telefonicznie Gilbert Rogers z Shropshire - odpowiedział D'Avolio. - Zadzwoń jako adwokat kupującego, ale przejmie również obowiązek reprezentowania nas. Być może wspominałem o tym panu Davisowi. Nie pamiętam tego dokładnie, ale mogłem o tym mówić. Minęło tyle lat.

- W każdym razie transakcji dokonano ku zadowoleniu obu stron - stwierdził Corey.

- Ja nie byłem zadowolony - stanowczo zaprzeczył D'Avolio. - Byłem do tej posiadłości o nazwie Shores bardzo przywiązany. Rozumiałem oczywiście, o co chodzi, ale wcale mi się to nie podobało. Zresztą trwało to bardzo długo, dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał. Zaczynałem już nawet mieć pewne nadzieje. Pan Mandeville był jedynym poważnym kupcem, ale miał jakieś kłopoty z pieniędzmi. Nie mam pojęcia, o co chodziło. Wiedziałem, był to człowiek zamożny. Zresztą znałem go i szanowałem. Wiedziałem, że kocha tę posiadłość. Przez cały czas jak tam byłem, polował na naszej ziemi, oczywiście za moją zgodą. On i jego przyjaciel Cooper. Wydaje mi się, że byli doskonałymi myśliwymi - uśmiechnął się.

- Pan Mandeville i jego przyjaciele dzielili się z nami zdobyczą - ciągnął ojciec. - Przeważnie ptactwo. Do tego przesyłali po kilka butelek dobrego wina. Z piwnic pana

Mandeville'a. To był wspaniały sąsiad. Z przykrością wyjeżdżałem z Shores, ale pocieszała mnie świadomość, że posiadłość przechodziła na jego własność.

- Czy ojciec się domyśla, jak to załatwiono? - pytał Corey. - Mam na myśli problemy finansowe.

HIGGINS

- Bardzo ogólnie i niejasno - brzmiała odpowiedź. - Kiedyś wieczorem spotkałem pana Dayisa, a ten mi powiedział, że nasz wspólny przyjaciel, a więc Dawson, opowiadał mu, a odniosłem wrażenie, że po prostu dzwonił do niego, że ktoś, kogo oni obaj znali, a może którego znał jeden z adwokatów, wsparł interes swoimi pieniędzmi. To jednak wszystko, co jestem w stanie sobie przypomnieć.

- To więcej, niż oczekiwałem - uspokajał Corey świadka.

-Zeznania ojca ogromnie nam pomogły i jeśli ojciec pozwoli, to je zrekapitulujemy. Wolałbym mieć pewność, że niczego nie poplątałem. A więc ja będę mówił, a ksiądz mi albo przytaknie, albo zaprzeczy:

- Ojciec przyjechał do Shropshire w połowie lat pięćdziesiątych, w tym też czasie ojciec poznał Dawsona Nicholisa, właściciela motelu.

- Zgadza się. - D'Avolio potakiwał głową.

- Pan Nichols przyjaźnił się z Mandeville'em i on zapoznał księdza z Davisem.

- Zgadza się.

- Posesję wystawiono na sprzedaż i kupił ją Mandeville. Kupił przy finansowej pomocy kogoś, kogo ojciec nie znał, ale kto był znany Nicholowski, Davisowi, a również adwokatom Roger-sowi i O'Hara.

- Zgadza się.

- Można więc powiedzieć, że mamy do czynienia z łańcuchem wydarzeń wzajemnie się łączących. Kiedy ksiądz się tu pojawił, Nichols był już na miejscu. Prowadził motel niezbyt umiejętnie i chodził z

Mandeville'em na polowania. Nichols przedstawił ojcu Jacka Davisa, który od niego potem odkupił motel. Rogers był adwokatem Nicholasa, a potem Davisa. Nichols i Davis

BANKIER

487

obaj znali O'Hare. A wszyscy trzej znali człowieka, którego ojciec nie znał, a który finansował transakcję Mandeville'a. Można z tego wyciągnąć wniosek, że Nichols znał wszystkich zaangażowanych w przebieg transakcji.

- Nigdy do tej pory tak o tym nie myślałem - powiedział D'A-olio z wahaniem w głosie. - Wydaje mi się jednak, że ma pan rację. Tak właśnie można powiedzieć.

Corey skłonił się.

- Bardzo serdecznie ojcu dziękujemy - powiedział. - Jeśli o mnie chodzi, to już chyba wszystko, lanucci, czy pan ma jakieś pytania?

- Nie, nie mam - powiedział lanucci. Ława również nie miała pytań.

- A więc doskonale - powiedział Corey. - Bardzo dziękujemy. Prokurator okręgowy załatwił odwiezienie ojca na lotnisko. Raz jeszcze dzięki za wszystko i przepraszamy za kłopoty.

## XXIV

Siedzieli przy kolacji, a Baldo chrupiąc serowe biskwity i pijając białym winem, opowiadał:

- Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że chłopak był wspaniały.

- Poszło nie najgorzej - dorzucił skromnie Corey.

Baldo pociągnął nosem wężąc zapach pieczeni wieprzów dolatujący z kuchni.

- Tego ojca, to nasz mały ustawił sobie tak, jak chciał, a ta ten mówił dokładnie to, co nam było potrzebne.

- Tak, ale to nie moja zasługa - ponownie sprostował Corey

- A potem mieliśmy Warrena Oldhama - kontynuował swój opowieść Baldo. - Oczywiście nie wolno mu tego powiedzieć, bo wpadłby w szal, ale faktem jest, że zrobił wszystko, by zaprezentować się godnie. Miał na sobie nowe ubranie, ostrzygł się i wyglądał niezwykle nobliwie. On w ogóle jest przekonany, że policjant ze stanu Massachusetts to najszlachetniejsza postać współczesności. Zachowywał się więc pewnie, nawet nieco pro wokująco. Za żadne skarby nie chciałby pokazać, że jest **emei** tern schodzącym już z górki.

- Człowiek w moim wieku i z moim doświadczeniem wyczuwa takie rzeczy na odległość, ale że wyczuł to taki młokos, jak nasz chłopak... No, no... - sięgnął po kolejną kanapkę. - Jill, możesz sobie spokojnie rodzić. Zmieniam o was zdanie. Teraz wiem, że to Joe jest rzeczywiście głową rodziny.

- Wsadź mu tę pieczeń na łeb, Jill - zawyrokowała Michelle. - Razem z tym tłuszczem. To mój dom, moja pieczeń, moje naczynia i ja ci zezwalam.



- Mówię całkiem poważnie. Chłopak był świetny - ciągnął Baldo. - Przepytywał Warrena niespełna pół godziny, a ten też wysławiał się zwięźle i treściwie. Przyniósł wszelkie potrzebne dokumenty, podpisane, poświadczone, opieczętowane. Przede wszystkim dokumenty samochodów.

- Cadillac coupe de ville, rocznik sześćdziesiąt sześć, kolor kasztanowy, zarejestrowany na firmę Bon Ami Motorcar Inc., Jamaica, Long Island, Nowy Jork. Użytkownik James Mandeville, Overlook Hills, Shropshire, Massachusetts. Olds-mobile Super Osiemdziesiąt - osiem, rocznik pięćdziesiąt jeden, zarejestrowany na firmę Bon Ami Motorcar, Jamaica, Long Island, Nowy Jork. Użytkownik: Dawson Nichols, motel Shropshire Inn, Massachusetts. I wreszcie chrysler town and country, rocznik pięćdziesiąt siedem, czarny, zarejestrowany na Bon Ami Motorcar. Jamaica, Long Island, Nowy Jork. Użytkownik: John Elmer Davis, Shropshire Inn.

Z kolei przeszliśmy do dokumentów firm. Tak samo pedantycznie zaprezentowanych. Bon Ami Motorcar wydaje się być typową firmą - szyldem, za którą stoi jako jej wyłączny właściciel konsorcjum z Delaware. Nazywa się Principalities Ventures. To rodzaj prywatnego trustu, którego właścicieli niełatwo zidentyfikować. Joe jednak zapytał naszego przyjaciela Warrena, czy widział jakieś dokumenty, z których mógłby wywnioskować, kto właściwie krył się za tym szyldem.

Warren tylko czekał na to pytanie - relacjonował Baldo. - Marco Piantidosi - powiedział. Zawezwany jest jako świadek na jutro. Joe zapytał wtedy, czy Warren widział jeszcze inne dokumenty, z których mógłby wnioskować, że ten sam dżentelmen miał jakiś związek z transakcją nabycia posiadłości w Shropshire? A ten odpowiedział, że tak. Widział dokumenty, z których należy wnioskować, że Dawson Nichols kupił motel

przedstawiając czek wystawiony przez Principialities. A potem, kiedy Jack Davis odkupywał motel od Dawsona, to również płacił funduszami, jakie uzyskał w Principialities. A kiedy twój dziadek kupował posiadłość, to płacił czekiem wystawionym na bank Foothills National Bank, a czek opiewał na sumę miliona dolarów. Połowę pokrycia tej sumy stanowił depozyt w postaci czeku Manufacturers Hanover Trust w Nowym Jorku. Czek wystawiony został na konto Principialities Ventures i podpisany został przez wspomnianego już Marco Piantidosi. Jak wynika z innych akt, zeznawał Warren, te pięćset tysięcy stanowiły pożyczkę pod zastaw posiadłości nabywanej przez Jamesa Mande-ville'a w Shropshire, o nazwie Claretian Shores.

To przygotowało scenę na występ pani z banku - kontynuował Baldo. - Ta przedstawiła czeki i wykazy depozytów potwierdzających zeznania Warrena. A potem puściliśmy członków ławy na półgodzinną przerwę obiadową sugerując delikatnie, że rzeczywista sensacja nastąpi w trakcie popołudniowych przesłuchań.

- A w ogóle ława robiła wrażenie coraz bardziej zainteresowanej - dorzucił Corey.

- Oczywiście, i były po temu powody - przytaknął Baldo. - Już widywałem coś podobnego w przeszłości. Zazwyczaj upływają całe tygodnie, w czasie których robótki na drutach wydają się być zajęciem ekscytującym wobec toczących się przesłuchań. A tym

razem... niewyjaśnione morderstwo, skandal, domysły i poszlaki. Wreszcie coś, co zaczyna przyciągać ich uwagę, nawet ekscytować.

I rzeczywiście po południu zgotowaliśmy ławie show pierwszej klasy - ciągnął swoją relację Baldo. - Naszym pierwszym bohaterem był Robert Gates, który od samego początku miał minę śmiertelnie obrażonego faceta. Ledwie podał swoje na

zwisko, jeszcze nie pytany oświadczył, że nie ma pojęcia, z jakich powodów znalazł się tu w tym charakterze. A Joe poprosił go o nieco cierpliwości zapewniając, że zrobi wszystko, by mu to jasno wytłumaczyć.

A potem nasz chłopak zaczął wypytywać Gatesa o to, co widział wokół budynku banku w noc morderstwa, jak długo rozmawiał w motelu z Jackiem, o czym rozmawiali i jaka była pogoda. To dało członkom ławy jakieś wyobrażenie o okolicznościach, w jakich załatwili twego dziadka, ale Gates wydawał się tego nie dostrzegać. Stawał się natomiast coraz bardziej lakoniczny. Odpowiadał: „Tak”, „Nie”, „Być może”, „Tak jest w raporcie, a ja dokładnie nie pamiętam. To tyle lat”. I tak doszli do sprawy tej rozmowy telefonicznej. Tego telefonu, który zadzwonił, kiedy pączki były jeszcze w piecu. Wtedy też mecenas Gates zaczął się denerwować.

- Jestem pewny, że w raporcie pisałem o tym całkiem jasno - powiedział. - Ja pozostałem w kuchni, a Jack poszedł odebrać telefon. Rozmawiał z recepcji. Nie słyszałem jej i nie wiem, co mówił. Po powrocie powiedział, że to była pomyłka.

- Panie Gates - przewal mu Joe. - W jakiś czas potem wszedł pan w posiadanie informacji, z których wynikało jasno i niedwuznacznie, że to nie była pomyłka. Czyż nie tak?

- Nie rozumiem - powiedział Gates.

- Sądzę, że rozumie pan doskonale - przerwał mu Joe. - Sądzę, że znakomicie wie pan, o co chodzi. Uważam, że

pan wie, kto dzwonił, skąd i po co. Wyczytał pan to w aktach, jakie znalazł pan w kancelarii Gilberta Rogersa, kiedy pan tam podjął praktykę. Domyślam się, że był pan tym wstrząśnięty i zaskoczony. I zapytał pan o to Jacka Davisa, a on potwierdził pańskie podejrzenia i zapewne ujawnił nowe, nieznane panu okoliczności. Innymi słowy, panie Gates, dogrzebał się pan do tego, że

495 HIGGINS

przed laty zawiązana została konspiracja, której celem b; uzyskanie korzyści materialnych. Zatrzymał pan tę wiadomość dla siebie stając się tym samym uczestnikiem tej konspiracji i pozostając w niej do dnia dzisiejszego.

A Gates odpowiedział na to:

- Pan chyba zwariował.

- Nie, wcale nie zwariowałem - odpowiedział spokojnie Joe. - Kosztowało nas to nieco czasu i wysiłku, by do tego dojść. A teraz na pana kolej i pan musi co nieco przemyśleć. Wydaje mi się, że stoją przed panem trzy drogi do wyboru.

- Joe - przerwała Jill. - Czy ja czegoś nie wiedziałam lub zrozumiałam, czy też wy rzeczywiście wiedzieliście o tym ws stkim? O tym, co opowiada Baldo?

- Czy wiedzieliśmy? Oczywiście - potwierdził Corey. - C mogliśmy to udowodnić? Nie, tego dnia jeszcze nie potrafiliśmy. Blefowanie jednak w trakcie przesłuchań ławy przysięgłych nie jest przecież zabronione.

Wszystko przebiegało jak należy, zgodnie z prawem.

Baldo podjął swoją opowieść:

- Droga pierwsza jest prosta. Może nam pan złożyć oświadczenie, że jest pan adwokatem, a więc wszystko, czego się pan dowiedział z akt Rogersa na temat jego klientów, a obecnie pańskich klientów, stanowi informację objętą tajemnicą adwokacką. Jeśli pan tak postąpi, to wtedy ja stwierdzę, że jest to postępowanie niezgodne z zasadą tajemnicy adwokackiej. Adwokat bowiem nie może zachowywać w tajemnicy informacji o tym, że sam popełnił czyn niezgodny z prawem, a więc

czyn przestępczy, czym jest w pańskim wypadku  
przystąpienie do konspiracji natury przestępczej.

yło



jd-



BANKIER

497

- Ja nie popełniłem żadnego przestępstwa -  
odpowiedział rita to Gates.

- A o tym już zadecyduje ława przysięgłych - pouczył go  
Joe. - Jeśli czytał pan nowe uzupełnienie kodeksu  
karnego, to musi pań wiedzieć, że konspiracja  
związana z myślą o zabójstwie i czyny zapobiegające  
jej wykryciu są przestępstwem. Żaden prawnik  
posiadając tego rodzaju informacje nie może się wahać  
ani chwili. Musi stanąć przed sędzią i ujawnić je. W  
przeciwnym razie sam staje się częścią konspiracji i  
podlega karze. Czyż nie mam racji?

Gates nic nie powiedział, a Joe.kontynuował.

- Druga droga - powiedział - to możliwość złożenia tu  
kłamliwych zeznań. Nie możemy temu zapobiec, ale  
można coś zrobić, by to ukarać. Zostałby pan skazany za  
krzywoprzysięstwo, a ja jako adwokat reprezentujący tu  
prokuratora okręgowego będę taką karę rekomendował.  
Gates nadal milczał.

- Trzecia droga to możliwość powołania się na Piątą  
Poprawkę do Konstytucji, zgodnie z którą ma pan  
prawo odmówić zeznań, co nie może być wykorzystane  
na pana niekorzyść. Pan jednak wie doskonale, do czego  
to prowadzi. Wytoczony panu zostanie proces i w  
wypadku udowodnienia winy, w co ani przez chwilę  
nie wątpię, zostanie pan skazany.

Rozumiem, że to wszystko jest dla pana niemiłym  
zaskoczeniem. Gdybym ja był na pańskim miejscu, a  
wcale bym sobie tego nie życzył, zażądałbym nieco  
czasu do namysłu. I dlatego też chciałbym pana zwolnić

na dzisiejsze popołudnie z dalszych zeznań. Oczywiście wezwanie nie traci swojej aktualności i prosimy pana na jutro, na dziesiątą rano. Jeśli pan uzna, że jest panu potrzebny adwokat, nie mamy nic przeciwko temu. Ja na pań

HIGGINS

skim miejscu w każdym razie postarałbym się o adwokata. Proszę jednak nie zapominać, że ma się pan stawić tu jutro o dziesiątej i odpowiedzieć na pozostałe pytania lub wyjaśnić powody, dla których pan nie odpowiada.

- Gates dyszał jak ryba wyjęta z wody - mówił Baldo. - Był biały, jak prześcieradło. Zanim wstał, Joe jeszcze dodał: „Przy okazji, panie Gates. Chciałbym jeszcze dodać, że przed ławą przysięgłych stanie niejaki Maurice Coble znany pod pseudonimem «Kleryk». Wezwany został do bezzwłocznego stawienia się w tej sprawie. Chcemy go zapytać, czy nie rozmawiał ostatnio z panem i czy w trakcie tej rozmowy nie informował go pan o tym, że pan Ianucci i ja prowadzimy śledztwo w tej własni sprawie, czy nie mówił mu pan, że pracujemy w domu Ianucci-go w Kolonii Claretion, w dwóch pokojach na pierwszym piętrze, i czy przypadkiem on nie informował pana o tym, że w czwartek w zeszłym tygodniu w domu nie było nikogo. Chciałbym dodać, że mister Coble złożył w tej sprawie oświadczenie panu Ianucciemu, a ten oświadczenie to w formie pis< mnej przedstawił dziś rano sędziemu Malcolmo Weatherbee. Na tej podstawie sędzia wydał zezwolenie n przeszukanie pańskiego domu, co wykonała policja stanów w tym czasie, kiedy pan składał u nas zeznania. Policja ma pole cenie zarekwirowania wszelkich narzędzi i przedmiotów, któr mogłyby być użyte przy włamaniu, a więc kluczy uniwersalnyc" kompletów wytrychów, rękawiczek

gumowych i innych. Dzień kuję i widzimy się jutro rano o dziesiątej".

Kolejnym świadkiem był „Kleryk” - opowiadał dalej Baldo. Przesłuchanie nie trwało długo. Po raz pierwszy widziałem, b facet zwracał się do kogoś z szacunkiem. Potwierdził, że Gat rozmawiał z nim w czwartek, opowiadał, co robimy, i wypytywał, czy w tym dniu jesteśmy w domu. No, a na zakończenie p: prosiliśmy Jacka Davisa.

BANKIER

501

Nie żywiłem wobec niego współczucia - mówił Baldo. - Nie żywiłbym, nawet gdybym go lubił, ale go nie lubię. Siedziałem więc spokojnie i nawet czułem rosnące we mnie zadowolenie.

Joe zaczął od sprawy rejestracji samochodu, a Jack udawał głupiego. Przyznał natychmiast, że Piantidosi był jego pracodawcą w Nowym Jorku, i potwierdził, że u tego samego faceta pracował Dawson, i że Marko był tym, który dwukrotnie kupował motel podstawiając ich w swoje miejsce. Oświadczył, że nie ma pojęcia, czy Marco pożyczał pieniądze na zakup Claretian Shores. Spojrzał jednak po sędziach przysięgłych i zauważył, że nikt mu nie uwierzył. Zmienił więc nieco zeznanie i oświadczył, że tak mu się właśnie wydawało, ale nigdy nie miał pewności.

- No, a potem wypłynęła ta sprawa z telefonem - mówił Baldo. - Tej rozmowy telefonicznej, w trakcie której Dawson Ni-chols upewniał się, czy Gates zakończył już obchód banku i czy Davis ma go w tej chwili na oku.

- Panie Davis - zapytał Joe. - Chciałbym, by pan przypomniał sobie teraz wydarzenia, jakie się rozegrały wcześniej rano dwudziestego drugiego grudnia w sześćdziesiątym siódmym. Proszę powiedzieć ławie, czy zatelefonował wtedy do pana Dawson Nichols, którego rozpoznał pan po głosie? Było to między czwartą pięćdziesiąt a piątą trzydzieści?

- Zaczął coś bąkać, jąkał się i najwyraźniej chciał uniknąć odpowiedzi - referował Baldo. - Wreszcie powiedział, że

to było tak dawno, że nie jest w stanie sobie przypomnieć.

- A może pan pamięta powód, dla którego pan Nichols chciał ustalić miejsce pobytu jedyne go policjanta odbywającego patrol nocy po mieście? - pytał niespeszony Joe.

- I na to pytanie też nie odpowiedział - ciągnął opowieść Baldo. - Upierał się przy tym, że nie przypomina sobie żadnej roz

mowy z Nicholsem przed i po tej dacie. Słyszał jedynie, że Ni chols wyjechał na zachód i znalazł tam jakąś nową pracę.

W tym miejscu Joe odczytał mu artykuł dotyczący kary krzywoprzysięstwo i odmowę składania zeznań przed ławą przysięgłych.

- Zwracam panu uwagę - powiedział - że pytanie, jakie zada łem, ma ważne znaczenie dla pracy ławy przysięgłych. I dlatego jeśli pan udzieli kłamliwej odpowiedzi zeznając pod przysięgą a my udowodnimy kłamstwo, zostanie pan odpowiednio ukarany. Wiemy, tak samo jak i pan wie, że w tym czasie Nicho" znajdował się tu, w tej okolicy. I mamy powody, by przypuszczać, że był tu w określonym celu, znanym również i pan

I dlatego kiedy mu pan powiedział, że policjant Gates jest u pa na w motelu, zadzwonił jeszcze raz.

Zatelefonował do James Mandeville'a i w wyniku tej rozmowy Mandeville pojechał do banku, gdzie został zamordowany. Było to morderstwo dokonane z zimną krwią i starannie przygotowane.

- A co ona na to? - nie wytrzymała Jill.

- Obliznął wargi, zbladł i po chwili powiedział: „Nigdy tego zdołacie udowodnić”, na co Joe spokojnie stwierdził:

- Bardzo panu dziękujemy. Jest pan wolny.

- I to wszystko? - zdumiała się Michelle. - I co potem? Jczy nie macie zabójcy.

- To, co nastąpi potem, nastąpi jutro - zakończył swoją o

1  
wieść Baldo.



Dawson Nichols miał na sobie blezer z wielbłądziej wełny, kasztanowy krawat spięty złotą spinką z białą koszulą, szare flanelowe spodnie z mankietami i lśniące buty z wężowej skóry. Jego siwiejące włosy były modnie ułożone, a twarz i ręce opalone. Miał starannie przystrzyżone wąsiki. Kiedy się uśmiechał, pokazywał dwa rzędy lśniaco białych, starannie wypielęgnowanych, zapewne sztucznych zębów. Po wejściu na salę Nichols uśmiechnął się do ławy przysięgłych. Corey i Ianucci wymienili z nim uściski dłoni. Corey poprosił, by stanął przed krzesłem dla świadków, złożył przysięgę i usiadł. Nichols wykonał to ze spokojem, z absolutną pewnością siebie.

- No więc zaczynamy - Corey otworzył przesłuchanie. - Panie Nichols, chciałbym pana poinformować, że w toku obecnych przesłuchań prowadzi się postępowanie dowodowe w sprawie zabójstwa Jamesa Mandeville'a Juniora, zamieszkałego w Overlook Hills, Shropshire, Massachusetts. Zabójstwa dokonano dwudziestego drugiego grudnia w sześćdziesiątym siódmym roku, a pan jest obiektem naszego śledztwa. Chciałbym też poinformować pana, że zgodnie z Konstytucją Stanów Zjednoczonych ma pan prawo nieudzielania odpowiedzi na pytania, a pańskie milczenie nie może być tłumaczone na pańską niekorzyść w jakiejkolwiek formie i przed jakimkolwiek sądem. Ma pan prawo do obrońcy. Jeśli pana nie stać na adwokata, sąd wyznaczy obrońcę, który będzie pana reprezentował bez jakichkolwiek kosztów z pańskiej strony. Jeśli się pan decyduje na udzielanie odpowiedzi, w każdej chwili

może pan odmówić dalszego odpowiadania. Jeśli  
wiedząc o tym wszystkim decyduje się pan na  
odpowiadanie, każda pańska odpowiedź może być

HIGGINS

i będzie użyta przeciwko panu w razie procesu sądowego. Czy pan rozumie swoje prawa?

Nichols uśmiechnął się promiennie.

- Oczywiście - odpowiedział. - Natomiast w żaden sposób nie jestem w stanie zrozumieć powodów, dla których mówi mi pan to wszystko.

- Rozumiem, że zgadza się pan udzielać odpowiedzi na pytania? - przerwał mu Corey.

- Nie widzę żadnych powodów, bym nie miał odpowiadać. Wał pan. - Nichols wydawał się być całkiem spokojny i pewny siebie.

- Proszę nam powiedzieć, panie Nichols, gdzie się pan znajdował po południu dwudziestego pierwszego grudnia sześćdziesiątego siódmego roku? - zaczął przesłuchanie Corey.

Nichols znowu się uśmiechnął.

- Wydaje mi się, że już panu o tym mówiłem - odpowiedział - to było wiele lat temu. Z całą pewnością mogę powiedzieć jedynie, że odbywałem podróż po Europie, Afryce, także po Bliskim Wschodzie. Gdzie byłem dokładnie tego określonego dnia, nie wiem. Nie jestem pewien.

- A gdzie spędzał pan święta sześćdziesiątego siódmego? - drążył Corey.

Nichols wpatrywał się w nieokreślony punkt w przestrzeni.

- Naprawdę nie wiem. Nie jestem pewien - mówił jakby z namysłem. - Pamiętam, że poleciałem do Europy, do Londynu, zaraz po Święcie Dziękczynienia. Pracowałem

bardzo ciężko, zostało mi dużo urlopu, a ponieważ nie miałem rodziny, postanowiłem wolny czas spędzić na podróżach. Powiadomiłem moich pracodawców, że wyjeżdżam na miesiąc, na sześć tygodni

BANKIER

509

i wyjechałem. Podróż bardzo się udała. Nie wiem, czy przypadkiem w święta nie byłem w Egipcie. Może w Ziemi Świętej. Po tylu latach trudno sobie przypomnieć.

- W każdym razie, jeśli nie może pan dokładnie powiedzieć, gdzie pan spędzał święta i dni je poprzedzające w sześćdziesiątym siódmym, to czy może pan jednoznacznie i bez najmniejszych wątpliwości stwierdzić, że nie było pana w tym czasie na kontynencie Ameryki Północnej?

- Oczywiście - przytaknął Nichols. - To mogę stwierdzić z całą pewnością.

- Panie Nichols - kontynuował Corey. - Mamy informacje, że w okresie, kiedy był pan właścicielem motelu w Shropshire, miał pan pewne problemy alkoholowe. Czy odpowiada to prawdzie?

Nichols westchnął głośno.

- Mój Boże - zaczął. - Czyż w tym stanie zagładanie do kieliszka jest przestępstwem? Jeśli tak, musicie mieć tu mnóstwo przestępców. Nie nadążycie z budową więzień. A teraz odpowiadam. Rzeczywiście, miałem tego rodzaju kłopoty. Motel nie przynosił dochodów, na jakie liczyłem, co powodowało u mnie ostre stresy. Piłem nieco za wiele. Tyle mogę powiedzieć. Było, minęło i miło mi pana poinformować, nie wraca. I tak jest od trzydziestu lat.

- Od tamtych czasów nie ma pan już kłopotów w biznesie? - chciał wiedzieć Corey.

Nichols zaśmiał się.

- No cóż, panie Corey. Tego nie mógłbym powiedzieć. Dziś rzadko się zdarza, by ktoś nie miał problemów z biznesem. Chociażby od czasu do czasu. Chociaż ja panuję nad sytuacją. I nad samym sobą.

HIGGINS

- A kiedy się to zaczęło? - pytał Corey.

- Nie rozumiem?

- Kiedy, według pańskiej oceny, zaczął się okres, w którym rozwiązała pan swoje problemy i zaczął sam siebie kontrolować? Mam na myśli picie alkoholu.

Nichols zaśmiał się raz jeszcze.

- Pan jest jeszcze bardzo młodym człowiekiem, panie Corey - powiedział. - Kiedy pan dojdzie do mojego wieku, zrozumie, że raczej trudno określać w swoim życiu jakieś daty. Naprawdę nie potrafiłbym powiedzieć, kiedy się ten okres zaczął. Jakoś potem, kiedy sprzedałem motel i podjąłem pracę. Nie urodziłem się do prowadzenia własnego biznesu. Jestem typowym pracownikiem najemnym. Kiedy to zrozumiałem, sprawy stały się ła twiejsze. Lepiej zacząłem dawać sobie radę.

- A kiedy w sześćdziesiątym siódmym pojechał pan do Europy, czy jeszcze pan pił? - pytał Corey.

- Dokładnie pamiętam, że już nie - brzmiała odpowiedź. Już od lat nie piłem. Od czasu, jak wyjechałem z Shropshire, Oczywiście samo miasto nie miało z tym nic wspólnego. To m biznes. Zniknęła przyczyna, zniknęły i problemy. Wylizałem się Może i nie było łatwo, szczególnie kiedy się jest we Francji Najlepsze wina świata. Jednak wytrzymałem. Wytrwałem. Per rier i życie moralnego kawalera.

Z kolei Corey odczytał fragment prawa na temat krzywoprzy sięstwa, co Nichols skomentował:

- Dokładnie wiem, co to oznacza, tylko nie rozumiem, dla czego właśnie mnie pan to przypomina.
- Zaraz to panu wyjaśnię - Corey starał się być uprzedzając<sup>^</sup> grzeczny. - Pan nie jest tutejszy, ale po wyjściu z tej sali spot



BANKIER

513

pan Williama Slingera, byłego policjanta z Shropshire, który pamięta pana z czasów, kiedy prowadził pan motel. On zezna, że na dzień przed śmiercią Jamesa Mandeville'a przyszedł pan do sklepu z alkoholem. W tamtych latach on ten sklep prowadził, a teraz jest jego właścicielem. Zezna, że kupił pan u niego butelkę wódki i opowiadał, że jedzie pan na święta do dalekich, krewnych do Nowej Szkocji. Oznacza to, że co najmniej dwukrotnie pan nas dziś okłamał. Raz mówiąc, że wtedy, kiedy zabito Jamesa Mandeville'a, był pan za granicą, a po raz drugi twierdząc, że w sześćdziesiątym siódmym był już pan wyleczony z alkoholicznych skłonności.

Ma pan teraz dwa wyjścia - kontynuował Corey. - Może pan odmówić dalszych zeznań i opuścić salę licząc na to, że Jack Davis pana nie wsypie. To pan dzwonił do niego tamtego, wczesnego ranka, by się upewnić, czy policjant nie odbywa już patrolu. Ten policjant to obecnie adwokat, pan Robert Gates, który jest też w kłopotach. A ludzie w kłopotach myślą głównie o sobie. I nie mam pojęcia, jak zachowają się wobec pana.

- Drugie wyjście, to oczyszczenie się z zarzutu krzywoprzysięstwa, który panu zagraża. Oczywiście, nie jest to aż tak groźne jak zarzut morderstwa, ale też nie jest to drobiazg. Grozi panu więzienie. Gdybym ja był na pana miejscu, odmówiłbym składania zeznań i opuściłbym salę. Naszym ostatnim świadkiem na dzisiejszy wieczór jest przedstawiciel urzędu telefonów. Przedstawi on zapis z aparatu Jacka Davisa, w tym tej

rozmowy, jaką dziś rano odbył z panem, kiedy był pan w swoim pokoju w She-رتون Hartford Hotel. Rozmowa trwała około dwudziestu minut. Sędzia Weatherbee wydał wczoraj stanowej policji zgodę na założenie podsłuchu na telefon pana Davisa. Tak więc znamy treść waszej rozmowy. I uprzedzam pana, że można z niej wysnuć z łatwością wniosek, że obaj panowie wiecie, kto zabił

HIGGINS

Jima Mandeville'a. I nie sędzę, ażeby osoby tej trzeba było szukać gdzieś daleko.

Nichols milczał.

- Kiedy pan wyjdzie z tej sali - mówił Corey - możliwe, że spotka pan jeszcze kogoś znajomego. Niejakiego pana Marco Piantidosi. Pracował pan dla niego całe lata. Być może jednak nie spotka go pan. Nie wiem, czy przyjechał sam, czy przysłał swoich adwokatów, co go jednak tym razem nie uchroni od konieczności złożenia zeznań w procesie o morderstwo. A więc musi pan podjąć trudną decyzję. I jeszcze jeden drobny szczegół. Doszliśmy do tego, gdzie kupił pan te śrutowe naboje, którymi się pan posłużył zabijając Jima Mandeville'a.

- A teraz może pan odejść.

Ianucci wstał z miejsca i podążył za wychodzącym Nicholsem. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Sheffley powiedział:

- Panie Corey, przepraszam, że zwrócę uwagę, ale czy przypadkiem nie gra pan niebezpiecznej gry?

- Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości -

odpowiedział Corey.- Z tym tylko, że w niebezpieczeństwie nie znajduję się ja. Kiedy ta cała szajka ułożyła w sześćdziesiątym siódmym plan zabicia Jima Mandeville'a, chodziło wyłącznie o sprawy biznesu. Marco Piantidosi dopominał się jedynie o zwiększone zyski, których stale nie było widać. Ludzie, którzy dla niego pracowali, chcieli zaspokoić jego życzenia, gdyż wtedy on zaspokajał ich potrzeby. Tak to tam zawsze szło.

Teraz wszyscy są już nieco starsi. Nieco odmiennie patrzą na życie. Chcą żyć spokojnie i w komforcie. Nasze dzisiejsze pytania stawiają ich samych przed trudnym problemem. Czy warto dlatego, że przed laty byli jego posłusznymi pionkami, spędzić końcówkę życia w więzieniu? Wystarczy nam, by jeden z nich

BANKIER

517

się załamał. Bardzo wątpię, panie przewodniczący, by był nim właśnie ten, który przed chwilą wyszedł z sali. Chcę jednak, by i ten zaczął się poważnie martwić. Przewiduję, że najszybciej załamią się Gates lub Davis. Gdyby jednak to nie nastąpiło, to i tak obu mamy w rękach. Udowodnienie im przestępstwa nie powinno być szczególnie trudne.

Otworzyły się drzwi sali i stanął w nich Ianucci.

- Panie Corey - powiedział głośno - tu jest dwóch panów, którzy chcieliby z panem porozmawiać.

Corey przeprosił ławników. Wyszedł na korytarz i pierwszymi, jakich zobaczył byli Edward Birnam i Ned Polland. Siedzieli na ławce naprzeciwko drzwi i wyglądali na całkiem odprężonych. Birnam wstał i wyciągnął rękę do wychodzącego z sali.

- Miło cię widzieć, Joe - powiedział. Wymienili uściski dłoni, a Birnam wyjaśniał:

- Ned i ja przybyliśmy tu jako adwokaci Marco Piantidcr.i, którego wezwałeś przed oblicze ławy przysięgłych. Zapewne pamiętasz, że Piantidosi jest klientem naszej firmy. Marco zakupił firmę Silent Wanderer od ludzi, dla których pracowałeś, a więc i Marko stał się twoim klientem. Pamiętasz chyba?

- Nie, nie pamiętam - stwierdził Corey. - Niemniej w porządku. Chodzi wam o to, by wyłączyć nas z gry stwierdzeniem, że ja dla niego pracowałem. No cóż, nie pracowałem. Zapewne wykonywałem jakąś papierkową pracę dla firm, w których miał swoje interesy. Przecież pracowałem u was przez sześć lat. Jednak ta gra, którą

prowadzicie, ty i Roger, od tak wielu lat, już się skończyła. To już definitywnie koniec, Ed. W tym momencie, kiedy my tu się do siebie uśmiechamy, Bob Gates składa właśnie oświadczenie. Jest w biurze Magouna o piętro wyżej.

Kiedy skończy, zejdzie tu i powtórzy wszystko przed ławą przysięgłych.

Potem wejdzie ponownie pan Davis. I on się zastanowił i potwierdzi to, co zezna pan Gates. Wiem, co mówię, mam ich rozmowę nagrałą na taśmie.

- A więc gra dobiegła końca, Ed. Nieuczciwe zagrania już ci nie pomogą. Ani twojemu klientowi. Gates i Davis pogrążą Ni-cholsa, a kiedy temu zagrozi dożywocie, zaczniesz przemyśliwać, jak się z tego wywinąć i będziesz skłonny do zawarcia jakiegoś porozumienia z prokuratorem. A ja tu będę na miejscu, tak jak i Baldo. Załatw sobie od razu wielokrotny bilet na samolot.

Birnam uśmiechnął się nieco smutno.

- Rozumiesz chyba, że taka sytuacja stwarza pewne problemy dla dalszej współpracy pomiędzy naszą firmą a twoim biurem adwokackim, jakie tu zapewne otworzysz.

- Obchodzi mnie to tak samo, jak średnia roczna opadów w Tybecie, Ed - odpowiedział Corey. - Sądzę, że tu wreszcie znalazłem to, co mnie naprawdę pasjonuje.

- Kiedy się tam wprowadzacie? - zapytał Baldo.

- W przyszły wtorek - odpowiedział Corey. - Staję się powoli zasiadłym prowincjuszem, a jeśli dzieciak okaże się dziewczynką, w ogóle się z tych lasów nie ruszam.

- Już zrobiłeś tu znakomitą robotę - mruknął Baldo. - Tego się nie da ukryć. Z tego, co mamy wygląda, że Dawson Nichols będzie ostatecznie załatwiony, co oznacza, że Marco ma poważne powody do obaw.

- O mój Boże, wszyscy mamy. - zaśmiał się Corey. - Jakie to. będzie miało znaczenie za sto lat?



BANKIER

521

- Najmniejszego - przyznał Baldo. - Niemniej to, co zostało zrobione, pozostaje. A ty zrobiłeś coś dobrego.

- W każdym razie jestem zadowolony, że mamy to już za sobą - stwierdził Corey.

- Tak, to mamy za sobą, a wiele jeszcze przed nami.

- Na razie myślę o tym, by kupić sobie psa. Naprawdę lubię psy.

**Koniec**

**John Abbot**

**„Miecz”**

Zachwyca i szokuje już od pierwszych stron. Napisany w konwencji „Dnia Szakala” jest fascynującą opowieścią o zamachu przygotowanym na byłą panią premier Thatcher oraz prezydenta amerykańskiego. Elitarna organizacja, której agenci są szkoleni na Bliskim Wschodzie, zleca doświadczonemu i bezlitosnemu zabójcy zadanie niewykonalne dla innych. Poznajemy Sonny'ego, błyskotliwego młodego lekarza, który na przyjęciu w nowojorskim Hotelu Plaza chce się posłużyć rozpylaną trucizną. Czy uda mu się sprytnie obmyślona intryga, czy też plan zrealizuje dopiero w Dniu Niepodległości Stanów Zjednoczonych, gdy prezydent będzie wygłasza! przemówienie do narodu?

John Abbot to pseudonim znanego na całym świecie autora, który chciał sprawdzić, czy wierni czytelnicy zgadną kto napisał tę fascynującą powieść.

**James Baddock**

**„Piccolo”**

Inspektor Steven Redmond z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu prowadzi śledztwo w sprawie śmierci kilku naukowców zaangażowanych w finansowane przez rząd brytyjski prace badawcze. Sierżant Gail Harper współpracująca z Redmondem bardzo szybko odkrywa, że większość tragicznie zmarłych była związana z super-tajnym, brytyjsko-amerykańskim projektem „Piccolo”. Początkowo wydaje się, że zagadkowa seria śmiertelnych wypadków jest nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Kiedy okazuje się, że tak nie jest, Redmond nieoczekiwanie otrzymuje polecenie zamknięcia sprawy.

Redmond i Gail Harper zdają sobie sprawę z tego, że kontynuując śledztwo na własną rękę ryzykują nie tylko karierą zawodową, ale i własnym życiem...

**„Piccolo”** - to błyskawiczna akcja i absorbująca intryga. Powieść trzyma czytelnika w napięciu aż do ostatnich stron."

**- Clive Cussler**



**Wydawnictwo VARIA - APD oferuje książki w sprzedaży wysyłkowej za zaliczeniem pocztowym.**

**Jadwiga Courths-Mahler**

**„Tajemnicza miłość Anny" 20.000,-**

**„Kłamstewka tajemniczej Felizitas" 20.000,-**

**„Nie wolno mi Ciebie kochać" 20.000,-**

**„I obiecuję zazdrość kochanie" 20.000,-**

**„Miłość Heleny Jung" 20.000,-**

**, Dziewicza twierdza" 20.000,-**

**Joan Collins „Miłość, pożądanie i nienawiść" 42.000,-**

Powieść znanej aktorki ukazująca uczucia rządzące ludźmi -ambicję, chciwość i pożądanie, czasem tak gwałtowne i silne, że aż prowadzące do zbrodni.

**Diana Morgan „Chapel Hill" 37.000,-**

Romans, którego akcja toczy się w środowisku studenckim w USA. Czy miłość przewycięży cierpienie spowodowane wypadkiem?

**Harold Coyle „Próba ognia" 42.000,-**

Sensacja, bestseller 1992 r. w USA; ukazuje fascynujący obraz współczesnego świata, w którym król narkotykowej mafii w Meksyku doprowadza do międzynarodowej konfrontacji.

**Janusz Korwin-Mikke „Pewnego razu..." 47.000,-**

Pamiętnik brydżowy znanego wszystkim polityka.

**Serge Jacquemard „Zasadzka" 26.000,-**

Klasyk sensacji światowej; wartka akcja, zaskakujące zwroty, przemoc i kobiety zniewalają czytelnika, zmuszają do przeczytania całości.

**Podane ceny nie obejmują opłat pocztowych.**